

SZUKAJ WYDANIA Z KSIĄŻKĄ

Wydanie z książką w cenie 9,90 zł

GOWIN: TERAZ MUSIMY ZADBAĆ O KLASĘ ŚREDNIĄ

KULISY WOJNY DOMOWEJ W PLATFORMIE

W PREZENCIE DODATEK SUKCESY XX-LECIA MIĘDZYWOJENNEGO



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 43 (361) 2019
28 października–2 listopada
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

O. TADEUSZ RYDZYK:

POLSKI NIE ZŁAMIĄ

TWÓRCA I DYREKTOR RADIA MARYJA W WAŻNYM WYWIADZIE MÓWI NAM:

- O PRZEŚLADOWANIACH KSIĘŻY
- O WYNIKU WYBORÓW
- NA KOGO SAM GŁOSOWAŁ I ZAGŁOSUJE
- O ROZCZAROWANIU PSL I KONFEDERACJĄ
- O WALCE Z OFENSYWĄ ZŁA W POLSCE
- KTO I ILE NAPRAWDĘ PŁACI NA MEDIA TORUŃSKIE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
43
9 772544 269908

CYFROWY POLSAT

MAKSIMUM SPORTU!

Na start 3 miesiące TV bez opłat!



Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu i usług dodatkowych na czas nieokreślony. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

Pakiet Ekstraklasa dostępny z ofertą telewizji satelitarnej i telewizji kablowej IPTV do 30.06.2021 r., z możliwością przedłużenia dostępności. Cały sezon Formula 1®, Bundesliga, LaLiga Santander i Seria A TIM w ELEVEN SPORTS.

The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. All rights reserved.

Wizyta ostatniej szansy?

Po tym jak w 2015 r. zmieniła się w Polsce władza, a wraz z nią prokuratorzy prowadzący śledztwo w sprawie katastrofy smoleńskiej, odbyła się tylko jedna ich podróż na miejsce tragedii. We wrześniu ub.r. grupa śledczych wraz z technikami została przez Rosjan wręcz upokorzona. Ubrano ich w skafandry, aby przypadkiem nie nanieśli na wrak Tu-154M jakichś substancji. Nie pozwolono im wnieść na teren lotniska żadnych urządzeń, nawet telefonów komórkowych. Zabroniono samodzielnego wykonywania zdjęć. Mogli jedynie wskazywać, co życzą sobie mieć sfotografowane przez stronę rosyjską, a później cierpliwie czekać na nadesłanie tej dokumentacji z Moskwy.

Przed rokiem był więc wielki zawód. Tym razem dodatkowe oględziny wraku odbywają się niejako „na życzenie" biegłych, od kilku miesięcy współpracujących z prokuraturą. To doświadczeni badacze wypadków samolotowych, głównie z USA. Wiele lat pracowali m.in. w NTSB, FAA czy FBI – trzech instytucjach najmocniej zaangażowanych w wyjaśnianie przyczyn katastrof za oceanem. Dziś zapoznają się oni z tysiącami stron dokumentów w sprawie katastrofy smoleńskiej, prowadzą własne badania. Do marca 2021 r. mają stworzyć interdyscyplinarną opinię dotyczącą tego, co wydarzyło się w 2010 r. Potrzebują więc jak najdokładniejszego zobrazowania szczątków samolotu (których Rosjanie wciąż nie chcą Polsce oddać) oraz miejsca zdarzenia. Dlatego polscy śledczy zabrali do Smoleńska nowoczesne urządzenia do skanowania i obrazowania trójwymiarowego. Tylko czy będą mogli ich użyć?

Nawet jeśli nie (a przed wyjazdem te wątpliwości nie zostały rozwiane), to z takich szans nie można rezygnować. Obowiązkiem śledczych jest korzystać z każdej sposobności, by być na miejscu katastrofy, monitorować stan wraku, wykonywać kolejne badania, nawet jeśli to tylko zdjęcia.

Prokuratura Krajowa wciąż powstrzymuje się przed adekwatnym nazywaniem postawy Rosjan. Bo za wszelką cenę chce doprowadzić do wyjazdu do Smoleńska amerykańskich ekspertów. Zaczynająca się dziś wizyta da odpowiedź na pytanie, czy można jeszcze na to liczyć.

Pilnujemy tego, jak przebiega to śledztwo i co dzieje się w podkomisji działającej przy MON. Czy i jakie znaczenie ma tu polityka? Niebawem przeczytają państwo o tym w tygodniku „Sieci". Nie odpuścimy tej sprawy, niezależnie od tego, dla kogo prawda o wyjaśnianiu narodowej tragedii byłaby niewygodna.

Marek Pyza



56/0319/F

eprasa.pl 5f22f2ded0

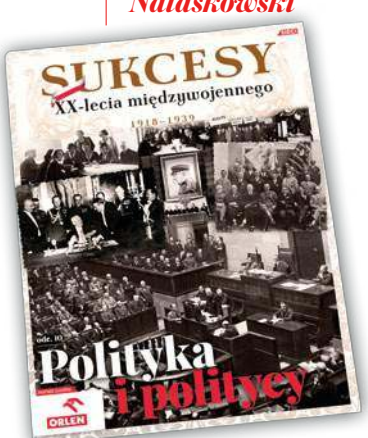
SIECI spis treści



28 *Decydująca dogrywka*
Konrad Kołodziejski



44 Seksedukatorzy i szkoła
Aleksander Nalaskowski



53-64 *Sukcesy XX-lecia międzywojennego*
dodatek historyczny

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **CHŁOPCY Z ZAPAŁKAMI**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZŁOTA POLSKA JESIEŃ**
Jan Pietrzak

13 **PUŁAPKI PAŃSTWA DOBROBYTU**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **LEKOMANIA I REKLAMY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **Z O. TADEUSZEM RYDZYKIEM**
rozmawia Michał Karnowski

KRAJ

28 **DECYDUJĄCA DOGRYWKA**
Konrad Kołodziejski

32 **Z JAROSŁAWEM GOWINEM**
rozmawia Jacek Karnowski

38 **DOMOWA WOJENKA**
Stanisław Janecki

41 **Z WŁADYSŁAWEM TEOFILEM BARTOSZEWSKIM**
rozmawia Marcin Fijołek

44 **SEKSEDUKATORZY I SZKOŁA**
Aleksander Nalaskowski

48 **D JAK DEZINTEGRACJA KOŚCIOŁA**
Hanna Karp

50 **MIĘDZY LITERATURĄ A POLITYKĄ**
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

65 **DZIEWCZYNA Z POPRAWCZAKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

70 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

72 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

74 **W OBRONIE ŻYCIA**
Łukasz Adamski

76 **Z ABBY JOHNSON**
rozmawia Dorota Łosiewicz

79 **W ODPOWIEDZI PANI SENYSZYN**
Milena Kindziuk

ŚWIAT

80 **Z LÁSZLÓ KÖVÉREM, PRZEWODNICZĄCYM WĘGIERSKIEGO ZGROMADZENIA NARODOWEGO**
rozmawia Jacek Karnowski

84 **PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO TRUDEAU**
Aleksandra Rybińska

87 **TURCJA WKRACZA DO AKCJI**
Jan Rokita

GOSPODARKA

90 **JEST JESZCZE CO NAPRAWIAĆ**
Janusz Szewczak

92 **OPTYMISTYCZNIE, ALE BEZ FAJERWERKÓW PO WYROKU TSUE**
Konrad Godlewski, Robert Małecki

KUCHNIA

98 **ARONIA, DEREŃ, PIGWA**
Anna Monicka

102 **MOJE SMAKI: ŁUKASZ MODELSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **WIERNOŚĆ ODWIECZNYM ZASADOM**
Alina Czerniakowska

106 **OBROŃCA ZIEMI I LASÓW**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **R.I.P.**
Aleksander Nalaskowski

109 **JESIEŃ ŚREDNIOWIECZA**
Wiktor Świetlik

110 **ZATRZYMAĆ LOKOWANIE WROGICH IDEI**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **KARYKATURA WYMIARU**
Ryszard Makowski

113 **QUASI UNA FANTASIA**
Leszek Długosz

114 **W KÓŁKO TO SAMO**
Katarzyna Zybertowicz

94/1019/F

eprasa.pl 5322f2ded0

JEDZIESZ NA STACJĘ CHRONISZ SOKOŁA



#DobryKierowca

Kupując na stacjach ORLEN, wspierasz
ODBUDOWĘ POPULACJI SOKOŁA WĘDROWNEGO

Od kilkunastu lat ORLEN wspiera odbudowę populacji sokoła wędrownego. W tym czasie, w gnieździe na kominie płockiego zakładu, wylęgło się kilkadziesiąt piskląt!

Dowiedz się więcej na:
www.dobrykierowca.orlen.pl

ORLEN

eprasa.pl 5322f2ded0



Sygnalista nadaje

W PiS powyborcze wyważanie konstrukcji. Wieczorne spotkania w różnych formatach: czasem V4 (prezes, premier, Ziobro, Gowin), czasem w innych konfiguracjach. Najważniejsze pytanie dotyczyło premiera, którego nie chciała zaakceptować Solidarna Polska, ale ostatecznie zaakceptowała. Bywało gorąco. „Niektóre konfrontacje nawet na wyrobionych zawodnikach robiły duże wrażenie" – mówi osoba znająca kulisy. Ale w końcu znaleziono drogę do kompromisu. Na szczęście, bo wróg już u bram, za chwilę kolejny bój.

PiS ocenia kampanię, ale jedna sprawa wybrzmiewa zbyt cicho: dobra praca sztabu. Jego szef ***Joachim Brudziński*** zdołał osiągnąć rzecz na prawicy bardzo rzadką: szczelność. Nie było przecieków, wzajemnej gry przeciwko sobie w mediach, co paraliżowało wcześniej niemal każdą kampanię. Skutecznie tonował emocje skonfliktowanych, a jak trzeba, przywoływał do porządku. A wiadomo, że naprawdę umie to robić.

Co ważne, PiS nie działało „na dzika" czy „na czuja", ale miało precyzyjny plan kampanii: najpierw bardzo udane letnie pikniki, później kampania główna ze świetnym pomysłem cystern wstydu, które dały do ręki argumenty zwykłym działaczom i posłom. W końcówce boju PiS nie dało się też zepchnąć na pozycje reaktywne, tylko jechało do końca własną agendą. Opozycja tylko raz złapała oddech – przy sprawie lotów marszałka, która mocno poszła w lud. Ale już sprawa Banasia nie zdołała wybić PiS z rytmu. Czego więc zabrakło? Kreatywności przy planowaniu eventów, które stały się nudnawym rytuałem.

Z okazji rocznicy śmierci bł. Jerzego Popiełuszki głos zabrał Waldemar Kuczyński. „Absolutnie wykluczam w tym [zabójstwie] jakąkolwiek rolę Kiszczaka. Był bardzo wiernym towarzyszem Jaruzelskiego i w ogóle człowiekiem niepasującym do takich akcji. To nie był zbir, jak Jaruzelski. To była najlepsza część polskiej komuny". Skoro Kiszczak należał do najlepszej części komuny, to jak wyglądała ta gorsza?

Tymczasem opozycja szuka kandydata na prezydenta. A może kandydatów. Desperacja musi być duża, skoro na giełdzie nazwisk pojawiło się nazwisko dziennikarza Szymona Hołowni. Prezenter TVN miałby być – według tej diagnozy – swoistym odpowiednikiem wczesnego Pawła Kukiza i wystartować jako „niepolityczny kandydat". Przy wszystkich wadach Kukiza to jest jednak człowiek z jakimś charakterem. Dlatego kandydaturę Hołowni popieramy z całego serca.

Cel tych wszystkich poszukiwań jest jasny: chodzi o poszerzenie grona wyborców opozycyjnych o konserwatystów. Hołownia tu pasuje, bo na swoim koncie ma kilka książek dotyczących wiary oraz pomagał dzieciom w Afryce. A więc znów to samo: tak ułożyć układankę, żeby nabrać Polaków. Naiwniaczki mają głosować za LGBT, myśląc, że głosują na katolika. W sumie sztuczki, które na co dzień stosuje Kreml. Finałem ma być demokracja sterowana, w której władza zawsze jest o krok przed społeczeństwem.

Sztuczkę wymyślił także ***Radosław Sikorski***, który zupełnie poważnie zaproponował, by premierem został Jarosław Gowin. Oczywiście premierem z nadania antypisu. „Rząd byłego zastępcy Tuska jest w tej chwili jedyną szansą na przywrócenie w Polsce rządów prawa. Jeśli Paryż wart był mszy, to polska demokracja jest warta Jarosława Gowina" – twierdzi europoseł. Ale Gowin na to nie pójdzie. Choć jest konserwatystą, a pewnie również arystokratą, woli wspierać rewolucję, niż stać się chwilową zabawką krwawej restauracji.

eprasa.pl 5322f2ded0

Czy jednak rewolucja wciąż trwa? Jerzy Baczyński na łamach „Polityki" tak oto interpretuje wyniki wyborów: „Pochód stracił impet i chyba też entuzjazm. To nie oznacza oczywiście, że prezes Kaczyński »odpuści«, ale rewolucja pozbawiona mitu »niezłomnego poparcia mas« jest już tylko puczem i awanturą. A mit właśnie się zachwiał". A więc koniec PiS?



Tę tezę ponownie stawia senator Michał Kamiński (kiedyś PiS, autor słynnej książki pt. „Koniec PiS-u"): „PiS zdaje sobie sprawę, że ten najlepszy moment dla tej partii minął. Oni dla utrzymania władzy zrobią wszystko. [...] moment, w którym oddadzą swoją władzę, nastąpi, on jest w perspektywie, on już majaczy w przyszłości, wiedzą doskonale, że w tym dniu zacznie się ich rozliczanie". Problem w tym, że jeżeli Andrzej Duda wygra w maju – a wygra – to rozliczanie zacznie się najwcześniej za pięć lat.

Kamiński sięga po analogię z historii II wojny: „Wermacht był niezwyciężony, dopóki był niezwyciężony. Stalingrad poza jego wymiarem czysto strategicznym [miał znaczenie psychologiczne]. Od momentu upadku Stalingradu do upadku Berlina upłynęło jeszcze dość dużo czasu. Ale jeżeli Stalingrad był, to był w zeszłą niedzielę" – ocenił. To fałszywa analogia. Za Stalingrad odpowiada Göring, który obiecał Hitlerowi skuteczny most powietrzny, choć nie było na to szans. A w PiS Göringów już nie ma. Dawno przeszli na stronę opozycji.



W ramach walki o Senat opozycja postanowiła przestrzec swoich senatorów przed rozmowami z PiS. Senator Jerzy Fedorowicz otwarcie sformułował groźbę: „Człowiek, który w tym momencie, kiedy taka ważna rzecz się stała w polskiej polityce, nagle zmieni front i odejdzie od ludzi, którzy na niego głosowali, będzie obłożony anatemą do trzech pokoleń. To jest pewne. Jeżeli ktoś ma odwagę taką, żeby zaryzykować swoje życie, swoich dzieci i wnuków, to proszę bardzo". To jednak nie jest żadne zaskoczenie, od dawna wiemy, że w walce o władzę nad Polską sięgną po każdą metodę.



Do grona wybitnych myślicieli analityków dołączył Dobromir Sośnierz, świeżo upieczony poseł Konfederacji. „Ordynacja powinna być budowana tak, żeby zachęcać do głosowania tych, którzy się tym interesują i na tym znają, i zniechęcać tych, którzy się nie znają. Na przykład odpłatne prawo głosu. Gdyby trzeba było zapłacić 10 zł przy urnie, to myślę, że ludzie, którzy idą głosować w oparciu o jakieś totalnie nieistotne kryteria, (np. bo ktoś fajnie wygląda na plakacie), zrezygnowaliby". Ach, w liceum snuliśmy jeszcze bardziej śmiałe plany!

Są też inne pomysły. „Proponowałem, żeby osoby, które korzystają z zasiłków, praw socjalnych, nie głosowały w wyborach. Nie może być tak, że sami dla siebie przegłosowujemy te zasiłki. To konflikt interesów" – ocenia Sośnierz. I dalej: „Albo odwrotnie. Jeśli chcemy brać 500+, to rezygnujemy z prawa głosu". Teraz rozumiecie już państwo, dlaczego wybuchła rewolucja francuska?

Wciąż nie wiadomo, gdzie na sali sejmowej będzie siedziała Konfederacja. Ona sama chciałaby oczywiście miejsc po prawej stronie, patrząc z pozycji mównicy. Ale PiS prawej flanki nie chce oddawać i proponuje Konfederacji miejsce w środku sali. Gdzie konkretnie? „Najlepiej obok SLD" – mówi ważny polityk. Nie wiadomo jednak, czy to bliżej wschodu, czy zachodu.

Konkurencja w dziedzinie głupoty jest bardzo zacięta. Maria Peszek: „Przeraża mnie, że chociaż świat jest o krok od zagłady spowodowanej przeludnieniem, w naszej ojczyźnie nagradza się rodziców za każdą nową istotę. Zbyt często ludzie, chcąc nadać sens swojej nieciekawej egzystencji, płodzą ponad miarę". Ciekawe, czy społeczeństwa – nie tylko polskie – zdążą się obudzić, zanim tacy ludzie zepchną je w czeluść samotnej śmierci.

Coraz lepiej poznajmy też Olgę Tokarczuk, naszą najnowszą noblistkę. „Granica między człowiekiem i zwierzęciem jest postawiona w sztuczny sposób. Żyjemy w czasach, które te granice przesuwają. Cudownie jest wiedzieć, że Nowa Zelandia ustanowiła dekretem, że zwierzęta czują i mają swoje prawa. Za 50 lat będziemy wstydzili się, że jedliśmy mięso. Mięso będzie obłożone ogromną akcyzą i tylko najbogatsi ludzie będą sobie mogli na to pozwolić" – ogłosiła. Proszę pani, jeśli nie zatrzymamy szaleństw lewicy, to za 50 lat Ziemia może stać się prawie że bezludna.

A poseł Wiosny ***Joanna Scheuring-Wielgus*** postanowiła zaczepić głowę państwa. „Jestem w wieku prezydenta Dudy i się zawsze zastanawiam – czego ten facet się uczył, co on czytał, gdzie on bywał, na jakie koncerty chodził, jakie dowcipy zna?" – pytała. Pani poseł, to nieważne. Najważniejsze jest, że przejdzie do historii Polski jako patriota. Historia, zwłaszcza polska historia, zawsze odsiewa ziarno od plew.

Fot. Fratria, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl 5322f2ded0

Chłopcy z zapałkami



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wszystko, co poniżej, nie byłoby możliwe, gdyby nie przekonanie polityków Koalicji Obywatelskiej (uzasadnione w 100 proc.), że nie ma już ani jednej kwestii, w której na „wojnie polsko-polskiej" nie udzieliłyby im poparcia gazety, radia, telewizje i portale internetowe tzw. salonu. Jeśli totalna opozycja któregoś dnia oznajmi, że Ziemia jest płaska, jej media natychmiast zrobią z Kopernika „podłego pisowskiego kłamcę". Gdy stwierdzi, że Ziobro to seryjny morderca, salonowi „rePOrterzy" odnajdą świadków zbrodni na końcu świata. Albo chociaż kogoś, kto widział kogoś, kto twierdzi, że.... itp. itd. Owszem, coraz mniej jest przypadków, gdy owe polityczno-medialne operacje udaje się przeprowadzać po cichu, wiele z nich ma szwy na wierzchu, ale ostatecznie – cóż z tego? Który z dziennikarzy zatrudnionych w mediach niepogodzonych z wyborczym werdyktem społeczeństwa ośmieli się choćby bąknąć pod nosem o etosie i standardach? Kto zwróci uwagę Żakowskiemu, że zbierając podpisy na kandydata bojówek Obywateli RP, sam staje się politycznym bojówkarzem? No kto? Może Lis?

Szczęście w nieszczęściu, że, jako się rzekło, mistrzom polityczno-medialnych akrobacji nie wszystko już wychodzi. Ba, czasem coś, co miało być „bombą", okazuje się kapiszonem, a kiedy indziej ładunek po prostu wybucha im w rękach. Jak w przypadku protestów wyborczych. A było to tak: PiS złożyło wnioski do Sądu Najwyższego o ponowne przeliczenie głosów w sześciu okręgach w wyborach do Senatu, gdyż jego zdaniem „są anomalie polegające na dużo wyższej niż w innych okręgach liczbie głosów nieważnych – takie, które przewyższały różnice głosów między kandydatami". Tylko tyle i aż tyle. Normalna – w normalnej demokracji – procedura. Jak się okazało, nie dla tych, którzy demokrację potrafią jedynie odmieniać przez wszystkie przypadki. „Ten wniosek jest złożony dlatego, że żaden z senatorów demokratycznej opozycji i senatorów niezależnych nie dał się PiS przekupić" – stwierdziła wiceszefowa Wiosny Gabriela Morawska-Stanecka. „PiS-owi bliżej do hasła znanego z dalekiej przeszłości: nieważne, jak głosują, ważne, kto liczy głosy" – oznajmił w TVN24 nieskazitelny Stanisław Gawłowski. Kierownik aquaparku w Łodzi, a przy okazji nowy parlamentarzysta KO – Dariusz Joński (to ten, co myślał, że powstanie warszawskie wybuchło w 1988 r., a stan wojenny wprowadzono rok później...) uderzył w dzwon po prostu głową: „Apel do OBWE. Wybory się jeszcze w Polsce nie skończyły. To, co się dzieje, zaczyna przypominać zamach stanu". Musiał zareagować i Grzegorz Schetyna drżący o fotel lidera PO: „Mamy w Polsce wielki skandal (...). Władza nie akceptuje werdyktu wyborczego, nie akceptuje woli Polaków". „Nagle chcemy liczyć te głosy na nowo? A mam pytanie, gdzie te głosy były do tej pory?! Gdzie one leżały?!" – pieklił się „Misiek" Kamiński. „Po co chcą na nowo przeliczać głosy? Chcą je przeliczać wyłącznie po to, by pozbawić mandatów tych, którzy je zdobyli w sposób administracyjny. To jest koniec polskiej demokracji!". Błysnął rozsądkiem Bartłomiej Sienkiewicz: „Niech PiS nie bawi się podważaniem wyborów do Senatu, bo to popchnięcie Polski w konflikt wewnętrzny już nie do zatrzymania. Na końcu zostanie tylko stan wojenny". Przypomnijmy: wszystkie te kalumnie rzucano na głowy polityków PiS tylko dlatego, że ośmielili się oni skorzystać z demokratycznej procedury powyborczej, stosowanej w Polsce od końca XX w., o zachodnich krajach nie wspominając.

I oto nagle, po wszystkich tych bredniach, breweriach i bzdetach Koalicja Obywatelska... nie, to niemożliwe... sama złożyła protesty wyborcze! Gdyż, jak stwierdził Mariusz Witczak z KO: „Protesty KO mają charakter merytoryczny w odróżnieniu od protestów składanych przez PiS". Gdyż, znowu Witczak: „PiS-owskie protesty wynikają z faktu, że PiS jest niezadowolony z wyniku wyborów" (sic!). A ponadto, tym razem „nowy" senator KO Marek Borowski: „PiS nie ma żadnych dowodów na to, żeby komisje źle policzyły głosy". Czy KO je ma? Na szczęście dla szanownego postkomunisty to pytanie w „wolnych mediach" nie padnie.

Koń jaki jest, każdy widzi. Nawet mecenas Giertych. Wiadomo, że wszystko powyżej to szaleńczy wyścig lewicy, PSL i KO o to, która z nich będzie teraz większym antypisem, czytaj: której z nich salonowi dziennikarze będą nabijać punkty skrajnie antyrządową narracją. Można by rzec, że to żałosne i śmieszne, gdyby nie było jednocześnie koszmarnie groźne. Po czterech latach zohydzania prawicy przez „wolne media i sądy", kandydatów na nowego Cybę nie brakuje. Jak się ich hoduje? Ano, choćby takimi, moim zdaniem, komentarzami, jak te powyżej, i ten, który zostawiłem na koniec, bo popełnił go (podobno) kandydat na nowego szefa PO Bartosz Arłukowicz. To już prawdziwe wezwanie do boju. „Broniliśmy konstytucji? Broniliśmy sądów? To teraz przed nami najważniejsza obrona! Wolności wyborów. Po to właśnie to wszystko robili, żeby móc przeliczyć jeszcze raz głosy. Na ich liczydle. Ktoś ma jeszcze jakieś wątpliwości?". Odpowiedź jednego z anonimowych internautów nie pozostawia złudzeń: „Niczego nie broniliśmy. Staliśmy na placach, prosząc przestępców, by nie łamali prawa. Dyktatury się nie prosi, w dyktaturę rzuca się kamieniami i butelkami z benzyną. Słabe, ale mój naród nie potrafi protestować!".

Oj, totalni, źle się bawicie.

59/0419/F

eprasa.pl 5322f2ded0

1919 2019

100 LAT
POLSKIEGO KOMITETU
OLIMPIJSKIEGO



Wiele dróg, jeden cel.

Sponsorzy Polskiej Reprezentacji Olimpijskiej

Sponsor Strategiczny	Sponsor Generalny	Sponsor Kolekcji Olimpijskiej	Główny Partner Medyczny	Oficjalny Przewoźnik	Partnerzy	Partnerzy Medialni
ORLEN	LOTTO	4F	GRUPA LUXMED	LOT POLISH AIRLINES	Deloitte. COLUMNA MEDICA	RZECZPOSPOLITA POLSKIE RADIO

eprasa.pl 5322f2ded0

Kataloński kryzys eskaluje

Hiszpania

Już drugi tydzień trwają w Barcelonie protesty przeciwko skazaniu przez hiszpański Sąd Najwyższy 12 osób na długoletnie kary więzienia za zorganizowanie nielegalnego referendum niepodległościowego 1 października 2017 r. To byli członkowie rządu Carlesa Puigdemonta, lidera katalońskich separatystów, który sam przebywa od dwóch lat na emigracji w Belgii.

W kulminacyjnym momencie protestów zamaskowani demonstranci obrzucili policjantów kamieniami, butelkami oraz kostką brukową. Policja w odpowiedzi użyła gazu łzawiącego i gumowych kul. W starciach rannych zostało 288 policjantów oraz ponad 600 uczestników protestów. Do tej pory aresztowano 194 osoby.

W reakcji na zamieszki w poprzednią niedzielę w Barcelonie doszło do manifestacji przeciwników niepodległości Katalonii zorganizowanej przez Alberta Riverę, lidera centroprawicowej partii Ciudadanos, który wezwał do zakończenia aktów przemocy. Rivera oskarżył rząd w Madrycie o to, że nie potrafi zapanować nad sytuacją w mieście. Polityk domaga się, aby hiszpańskie władze usunęły ze stanowiska szefa samorządu katalońskiego Quima Torrę i tak jak w 2017 r. zawiesiły autonomię regionu.

Gwałtowne protesty w Barcelonie i bezczynność władz w Madrycie negatywnie odbijają się na poparciu dla socjalistów (PSOE) premiera Pedro Sáncheza. Gdyby dziś odbyły się wybory, PSOE mogłaby liczyć zaledwie na 22 proc. głosów. Według dziennika „El Mundo" Hiszpanie są przerażeni skalą przemocy w Barcelonie, zwłaszcza że pomiędzy pokojowo protestujących zwolenników autonomii wmieszali się anarchiści i skrajnie lewicowe bojówki z całej Europy. Jeden z bojówkarzy przyznał w rozmowie z agencją AFP, że nie jest separatystą ani nawet Hiszpanem, ale przyjechał po to, „by wszystko rozwalić i spowodować chaos". Policja zatrzymała demonstrantów z Niemiec, Francji, a nawet z dalekiej Wenezueli.

Tymczasem Carles Puigdemont wezwał z emigracji rząd hiszpański do dialogu. Stwierdził, że „ruch separatystyczny pokazał swoją siłę", a więc nadszedł czas na negocjacje. Puigdemont i Torra mają nadzieję, że zwolennikom autonomii uda się uzyskać ponad 50 proc. poparcia w listopadowych wyborach parlamentarnych. Z badań sondażowych wynika wprawdzie, że choć wybory nie rozwiążą impasu na hiszpańskiej scenie politycznej i żadna z partii nie zdobędzie większości w 350-osobowym Kongresie, to najbardziej zyskują partie proponujące ostry kurs wobec Katalonii, m.in. opozycyjna Partia Ludowa (Partido Popular) Pabla Casada.

Sama Katalonia jest w kwestii niepodległości podzielona – pół na pół. Kolejne referendum niepodległościowe mogłoby więc nie przynieść rozstrzygnięcia, na jakie liczą separatyści.

Aleksandra Rybińska



Fot. Riderfoot/Shutterstock.com

Czechy

Agentura nad Wełtawą

Służby specjalne Republiki Czeskiej ogłosiły, że wykryły i zlikwidowały agenturalną sieć hakerską stworzoną przez rosyjską FSB. Poinformował o tym na konferencji w Pradze dyrektor tamtejszej Służby Bezpieczeństwa i Informacji (BIS) Michal Koudelka. Grupa miała przygotowywać cyberataki zarówno w Czechach, jak i innych państwach europejskich. Według niego rozbita siatka była częścią łańcucha szpiegowskich powiązań, wykorzystywanego przez Rosjan do operacji także w innych regionach Europy. Koudelka oświadczył wprost, że sieć została stworzona bezpośrednio przez ludzi związanych z rosyjskimi służbami, a finansowana była przez ambasadę Rosji w Pradze. Ta ostatnia natychmiast zareagowała oficjalnym oświadczeniem: „Doniesienia o tym, jakoby ambasada Federacji Rosyjskiej w Czechach finansowała jakąś siatkę, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością".

Wśród polityków i publicystów mało kto jednak daje wiarę tym wyjaśnieniom. W raporcie BIS z 2018 r. znalazła się informacja, że w latach 2016–2017 FSB i GRU przeprowadziły kilka cyberataków na system informatyczny czeskiego MSZ, włamując się do środka i wykradając część danych. W marcu tygodnik „Respect" napisał, że czeskie służby zlikwidowały tajne rosyjskie centrum hakerskie działające pod przykryciem dwóch firm komputerowych w Pradze. Zatrzymano kilku obywateli Rosji oraz Czech, którzy wcześniej mieli obywatelstwo rosyjskie.

Na wspomnianej konferencji Michal Koudelka powiedział, że najgroźniejsza dla bezpieczeństwa państwa jest dziś działalność wywiadowcza Moskwy i Pekinu. Różnica między nimi polega na tym, że Rosjanie są aktywni głównie na terenie przeciwnika, natomiast Chińczycy najczęściej zapraszają zagranicznych polityków, urzędników czy naukowców do swego kraju i tam próbują pozyskać ich do współpracy. Dlatego dyrektor BIS zaapelował zwłaszcza do czeskich żołnierzy i policjantów, by nie korzystali z zaproszeń do odwiedzenia Chin. Sytuacja zaczyna coraz bardziej przypominać czasy zimnej wojny.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 5322f2ded0



Fot. Heidi Besen / Shutterstock.com

USA

Oczekiwanie na Brutusa

Impeachment Donalda Trumpa pojawia się przede wszystkim na ustach ubiegających się o nominację prezydencką polityków Partii Demokratycznej. W ostatniej debacie prawyborczej słowo to było odmieniane przez wszystkie możliwe przypadki.

Telefoniczna rozmowa z ukraińskim prezydentem Wołodymyrem Zełenskim, podczas której Trump miał sugerować, by Ukraina przeprowadziła śledztwo w sprawie Bidenów, coraz mocniej wpływa na kampanię wyborczą. Amerykańskie prawo zabrania bowiem korzystania z pomocy obcych rządów do zbierania haków na przeciwników politycznych. I właśnie w tym demokraci widzą szansę na odsunięcie Trumpa od władzy, a przynajmniej na wywarcie tak mocnej presji na republikanów, by ci sami zrezygnowali z wystawienia Trumpa w wyborach prezydenckich 2020. Czy jest na to szansa?

Dość ciekawą opinię wygłosił były rzecznik Białego Domu Anthony Scaramucci, który piastował swoje stanowisko przez równe 10 dni (karuzela stanowisk u Trumpa przebija wszystko). Scaramucci uważa, że Trump może nie dostać nominacji republikanów w wyborach i sam się wycofa z wyścigu o elekcję. „Za dwa miesiące zostanie uruchomiona procedura impeachmentu. Trump będzie trzecim prezydentem w historii postawionym przed taką sytuacją. Establishment republikanów nie lubi Trumpa i może pęknąć. Teraz go wspierają, bo sondaże partii są wysokie" – mówi Scaramucci, ale zastrzega, że gdy sondaże spadną, prawica może pójść na układ ze spikerką Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. W zamian za pozostawienie Trumpa do końca kadencji republikanie mogą obiecać Pelosi, że nie wystawią go w 2020. To ciekawa koncepcja, ale przy temperamencie i niezależności Trumpa wydaje się raczej mało realna.

Scaramucci ma jednak rację, gdy mówi, że Donald Trump znalazł się w dużym stopniu na łasce polityków prawicy, którzy nie znoszą go za niesterowalność i nieprzewidywalność. Nie można zapominać, że Trump niespodziewanie wygrał prawybory w 2015 r. i przemeblował establishment republikański, uderzając w niego wcale nie mniej ostro niż w demokratów. Niespodziewana afera z Ukrainą w tle mocno pokrzyżowała mu plany rozgrywania republikanów. Trump próbuje ostatnio wmanewrowywać w ukraiński skandal Hillary Clinton. Czy nie powinien jednak baczniej się przyglądać działaniom swojego własnego zaplecza?

Łukasz Adamski



Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

Białoruś

Nerwowo przed wyborami

Przygotowania do wyborów do izby niższej białoruskiego parlamentu wyznaczonych przez władze na 17 listopada wchodzą w decydującą fazę. Zarejestrowano listy kandydatów, teraz zaczyna się kampania, w której uczestnicy wyborów będą mogli przedstawiać swój program w państwowej telewizji. Wybory budzą duże zainteresowanie światowej opinii publicznej, spodziewającej się – w związku z obserwowanym od pewnego czasu dążeniem Mińska do poprawy relacji z Zachodem – większego udziału opozycji w białoruskim parlamencie.

Według niezależnego portalu Naviny Białoruski Front Ludowy zarejestrował 31 kandydatów, ruch Europejska Białoruś – 10, ruch Za Wolność – 7, a ruch Mów Prawdę – 14. Przedstawicieli partii i organizacji opozycyjnych zabrakło w 22 ze 110 okręgów wyborczych.

Ten, zdawałoby się na pierwszy rzut oka, optymistyczny obraz nieco zmieniają inne, napływające z Białorusi informacje. Otóż władze nie zarejestrowały kandydatur dwóch dotychczasowych opozycyjnych posłanek – Aleny Anisim ani Hanny Konopackiej, odmówiono również rejestracji Jurijowi Hubarewiczowi. W przypadku posłanek władze zastosowały na Białorusi podobną jak w Rosji technikę polegającą na kwestionowaniu, pod byle pretekstem, zebranych przez ich komitety podpisów.

Te działania nie zakończyły się zresztą w momencie zarejestrowania kandydatur. Jeden z młodych opozycjonistów, kandydujący jako przedstawiciel Młodzieżowego Bloku z list socjaldemokratycznej Hromady, został skreślony z list, ponieważ studiuje w Warszawie, nie mieszka zatem na stałe na Białorusi, co jest w świetle prawa warunkiem kandydowania. Inni opozycyjni uczestnicy wyborów skarżą się na nieustanne ingerencje przedstawicieli władz.

Lidia Ermoszina, kierująca państwową komisją wyborczą, uprzedziła w oficjalnym komunikacie kandydujących, że ich strony w serwisach internetowych są pod obserwacją i jeśli umieszczone tam treści zostaną uznane przez władze za wywrotowe, to skończy się to skreśleniem z list wyborczych.

Przedstawiciele białoruskich organizacji broniących praw obywatelskich zwracają uwagę, że władze odmiennie niż w poprzednich latach nie dopuściły do udziału w komisjach wyborczych osób reprezentujących ruchy i organizacje opozycyjne. Innymi słowy, zarówno kampania wyborcza, jak i liczenie głosów jest w rękach ludzi Łukaszenki. Czy zdecyduje się on na dopuszczenie opozycji do białoruskiego parlamentu w szerszym wymiarze, niż było do tej pory, zdecyduje najprawdopodobniej presja Zachodu i kalkulacje polityczne reżimu.

Marek Budzisz

eprasa.pl 5322f2ded0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Złota polska jesień



Jan Pietrzak

Sytuację mamy taką, proszę państwa, że „opadają liście z klonów, jesionów, lip, topól, już się ciemnym pąsem wina dom oplótł...", jak zapisał w jesiennym wierszu poeta Marian Ośniałowski. Pół wieku temu przyniósł mi ten wiersz do Hybryd, po czym wyjechał do Paryża, „wybrał wolność" i tam zmarł w Lasku Bulońskim. Zrobiłem muzykę, powstała piosenka, którą dwa lata temu pięknie zaśpiewała Wiola Markowska w studiu piosenki Polskiego Radia. Obecnie wyszła płyta z tym nagraniem pt. „Toast". Dostałem krążek do przesłuchania.

Spoglądając za okno na spadające liście klonów i ciemny pąs wina na murze, wzruszyłem się nostalgicznie, o czym państwu donoszę „w pierwszych słowach mego listu". Felietonista też bywa nieodporny na jesienne chandry. A tu życie polityczne atakuje od rana do wieczora eksplozjami emocji. Świeża posłanka, tzw. świeżonka, grozi, że poda mnie do sądu, bo ją niełądnie nazwałem. A mówiła mi mamusia: „Nie zaczepiaj byle kogo!". Nie pamiętałem i teraz będą mnie po sądach ciągać, jak red. Sakiewicza. Doigrałem się! Jedyna pociecha, że to kolejny akapit do wspomnień, które obiecałem napisać dla Białego Kruka.

Pracuję od kilkudziesięciu lat „w słowach". W Peerelu o tyle było prościej, że istniała formalna cenzura, która wielu słów nie lubiła i je skreślała w obronie jedynie słusznego ustroju ze Związkiem Radzieckim na czele. W ostrzejszych okresach pół słownika było zakazane. W III RP cenzury nie ma i jakiś anonim decyduje, jakiego wyrazu mogę użyć, by „odpowiednie dać rzeczy słowo", jak przykazał Norwid. Nie wszystkie słowa są ładne i miłe dla ucha. Niektóre są paskudne, złośliwe, szydercze, bo taka jest natura rzeczy/ sprawy/ osób, które opisują. Jeżeli znany prof. N. został skarcony przez rektora za użycie słowa „obleśni" w stosunku do ludzi, którzy tacy właśnie są, czy to znaczy, że obleśni zostali skasowani?

Chętnie wezmę udział w rozprawie na temat wolności słowa. Bo to jeden z najtrudniejszych wątków mojej profesji. Słowacki nauczał, „by język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa". Nie przewidział, że przyjdą pokolenia, którym język giętki niepotrzebny, wystarczy nowomowa, dwa tysiące poprawnych politycznie słów, zatwierdzonych przez tajemną sektę. Na szczęście za oknami złota polska jesień, czysta poezja...



Zajrzeć w duszę

Z Przemysławem Stippą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jaka była pierwsza myśl, gdy dostał pan propozycję zagrania Hamleta?

Przemysław Stippa: „Po co?". I było to pytanie skierowane głównie do siebie. Czy jestem gotów się zmierzyć z tekstem dającym tyle możliwości interpretacyjnych, zagospodarować „ramę", którą zaproponował Szekspir.

Jak na tę „ramę" wpływa wiek bohatera/ aktora?

Podczas pracy przekonaliśmy się, jak nieuważnie można czytać ten tekst, ale też jak wiele było reinterpretacji, które myliły tropy. Hamlet, którego przedstawimy w premierowym spektaklu Teatru TV (już 28 października), przekroczył trzydziestkę. Biorąc pod uwagę czasy, w których żył, oznacza to dojrzałego mężczyznę. I ten mężczyzna staje nagle na krawędzi. Musi podjąć decyzję: działać, czy się wycofać. Zrobić krok w przód czy w tył...

Na ile tłumaczenie Jarosława Iwaszkiewicza wpłynęło na interpretację postaci?

Przekład Iwaszkiewicza (przygotowywany dla czterdziestolatka) bardziej niż na polityce skupia się na kwestiach egzystencjalnych. Jest wglądem w duszę Hamleta. I to wydało nam się dzisiaj, w czasach newsów i reklam, esemesów i Messengera, prostych prawd i prawdek, sloganów i haseł, szczególnie cenne.

„Zgłębiając duszę bohatera", odkryłem – i było to dla mnie dojmujące – wielkie pragnienie ciszy. Stwierdzenie: „Teraz cicho", wyraża marzenie Hamleta, by w świecie, w którym pędzi kołowrót zdarzeń, myśli, słów, ludzkich uczuć i czynów, złych i dobrych... Żeby w tym świecie zaznać spokoju.

Fot. Stanisław Loba/PAT

eprasa.pl 5322f2ded0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pułapki państwa dobrobytu



„Naszym celem jest budowa polskiej wersji państwa dobrobytu [...]. Nam chodzi o dobrobyt zupełnie realny. My musimy postawić na wzrost płac i wzrost dochodów społeczeństwa" – powiedział Jarosław Kaczyński. Wtórują mu inni politycy PiS. Czy politycy wypracowują dobrobyt? Najdalszy jestem od lekceważenia ich roli, co robią rzecznicy tzw. demokracji liberalnej, w Polsce reprezentowani przez siły III RP, ze szczególnym uwzględnieniem PO. Gdyż polityka to roztropne zabieganie o dobro wspólne, jak uważali klasycy. To politycy zarządzają państwem, a więc podstawową instytucją wspólnoty, naturalnego ludzkiego środowiska.

Dobrze funkcjonujące państwo musi jednak znać swoje ograniczenia. Może pozytywnie wpływać na rozwój gospodarki, może ją blokować. Politycy powinni stwarzać dobre warunki jej działania, ale nie udawać, że sami ją tworzą. Kaczyński odwołuje się do państwa dobrobytu, które dobrze się kojarzy (komu źle się kojarzy dobrobyt!), oznacza jednak bardzo konkretną jego formę wykształconą na naszym kontynencie w drugiej połowie XX w. A z perspektywy jawi się ona dość kontrowersyjnie.

Od II wojny światowej w Europie, a do pewnego stopnia i w Stanach Zjednoczonych, królowała teoria Johna Maynarda Keynesa, zgodnie z którą kryzysom jest w stanie zapobiec interwencjonizm państwowy i, aby je wyeliminować, powinniśmy zastosować algorytm przekształcający ekonomię w rodzaj perpetuum mobile: w czasie kryzysu dorzucamy pieniędzy do obiegu publicznego, a nawet organizujemy prace publiczne, aby powstrzymać rosnące bezrobocie, a deficyt budżetowy wyrównujemy w okresie napędzanej tymi działaniami koniunktury.

Model funkcjonował niecałe 30 lat, a według jego krytyków ożywiona potrzebą odbudowy zniszczeń wojennych gospodarka zachodnia działała pomimo niego, aby w czasie kryzysu paliwowego, w latach 70., ukazać swoje ograniczenia. Szczególnym dowodem tego okazała się stagflacja, kiedy to dodrukowywanie pieniądza pogłębiało jedynie inflację, nie przyczyniając się wcale do zdynamizowania gospodarki. Rozbuchane państwo opiekuńcze wraz z rosnącymi lawinowo regulacjami i biurokracją okazało się brzemieniem nie do udźwignięcia nawet dla najbogatszych. Od lat 80. wszędzie na Zachodzie obserwujemy próby ograniczenia tych zjawisk, raz bardziej radykalne, jak w wypadku Margaret Thatcher czy Ronalda Reagana, raz bardziej ograniczone, a usiłują dokonać tego partie o wszelkich możliwych orientacjach, również socjalistycznych.

Czy dobrobyt Europy zbudowany został dzięki metodzie Keynesa, jak usiłuje się nam to dziś wmówić, czy był pochodną wypracowanego przez pokolenia wcześniejsze i zakumulowanego bogactwa? To pytanie retoryczne, a czas państwa dobrobytu to konsumowanie wypracowanych wcześniej zasobów. Jest to także okres załamywania się etosu pracy i rozwoju postaw roszczeniowych, co miało udział w obecnym kryzysie Europy.

Nie twierdzę, że wszelkie interwencje państwa w gospodarkę są złe. Jednak wyobrażenie, że staną się one jej siłą napędową, to naiwne złudzenie. Owszem, pewna elementarna forma redystrybucji może temu krótko i w sposób ograniczony sprzyjać. 500+ było sensowną pomocą rodzinom i być może miało pozytywny wpływ na demografię. 500+ na pierwsze dziecko nie ma takiego znaczenia, gdyż wiele również zamożnych rodzin wybiera model dwa plus jeden, a pieniądze tego nie zmienią.

W Polsce system emerytalny pochłania największy procent produktu krajowego pośród krajów OECD, zwiększanie jego kosztów przez obniżenie wieku emerytalnego, a potem 13. emeryturę oraz zapowiedzianą kolejną budzić musi poważny niepokój u każdego, kto wykracza myśleniem poza bieżący dzień.

Ustawowe zwiększanie najniższej pensji napędza bezrobocie. Nie widać tego w okresie koniunktury, ale politycy powinni brać pod uwagę również gorsze czasy. Ograniczone redystrybucyjne działania mogą mieć uzasadnienie, ale im ich więcej, tym stają się bardziej ryzykowne zarówno dla ekonomii państwa, jak i postawy obywateli. Kreują one aparat biurokratyczny, który po osiągnięciu pewnej wielkości nigdzie nie działa dobrze.

Jako przykład odwrotny pokazywać można funkcjonowanie poprzedniej koalicji, która zwijała państwo i oddawała je silniejszym, i to zarówno wewnątrz jego granic, jak i na zewnątrz. Nadal jest to programem PO. Co ciekawe, wcale nie wiązało się to z redukcją urzędniczej armii. Tylko że jedna fatalna polityka nie usprawiedliwia odwrotnych błędów. Zwłaszcza że niezwykle trudno będzie się z nich wycofać.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5322f2ded0

OGNIEM NA WPROST

Ekspiacja pani kanclerz



W końcu się stało. Kanclerz Angela Merkel, przemawiając na ostatnim kongresie młodzieżowego skrzydła swojej partii CDU Junge Union w Poczdamie, stwierdziła, nie pozostawiając żadnych wątpliwości: „Niemiecka próba stworzenia wielokulturowego społeczeństwa zupełnie się nie powiodła". Chwilę później dodała: „Zezwalanie ludziom z różnych środowisk kulturowych na życie obok siebie bez integracji nie działa w kraju, w którym mieszka około 4 mln muzułmanów. To [wielokulturowe] podejście zawiodło, całkowicie zawiodło". Co na to ideolodzy multikulti spod znaku Sorosa i światowej lewicy? Co na to liberalne media, które epatowały okropnościami losu imigrantów, pokazując m.in. zdjęcia martwego dziecka na tureckiej plaży? Otóż milczą jak zaklęte. Skoro europejska liderka sprowadzania sobie na głowę milionów przybyszów z Południa po latach przyznaje się do najpoważniejszego błędu w całej karierze, to znaczy, że ci, którzy jeszcze w to wierzą, są ludźmi określanymi mianem niebezpiecznych dla otoczenia. A wraz z nimi cała lewa strona Europy i świata. Walka ze zdrowym rozsądkiem oraz instynktem samozachowawczym zawsze prowadzi na skraj przepaści.

Dosyć ciekawy obyczaj panuje wśród szyitów. Istnieje tam bowiem instytucja małżeństwa czasowego zwana mut'a, które może być zawarte bez zgody rodziny kobiety. Przez cały czas jego trwania mężczyzna zobowiązany jest do utrzymania żony i płacenia jej wcześniej ustalonej sumy. Po upływie umówionego terminu rozwód następuje z automatu – a kobieta nie ma prawa do odszkodowania z tego tytułu. Haczyk polega na tym, że doktryna nie określa jasno minimalnego okresu trwania związku. Może to być nawet jedna noc, a nawet godzina. Powstaje więc idealna sytuacja do korzystania z usług kobiet „zawodowo lekkomyślnych". Z tym że jest jeden warunek. Ktoś musi udzielić ślubu. Ale i na to sprytni szyici znaleźli sposób. Aby go spełnić, wystarczy pod czerwoną latarnią postawić kapłana, który połączy parę w obliczu proroka. Teologicznie ostatnio rozstrzygnął tę kwestię sam szejk Kuwejtu (autorytet). Co prawda dość przewrotnie, ale – cokolwiek by mówić – logicznie. „Czy małżeństwo na jedną noc jest zabronione? – pyta szejk i sam sobie odpowiada. – Posłaniec Allaha je dopuszczał, a jeśli je dopuszczał, to zabraniając go, oskarżamy posłańca Allaha o legalizowanie cudzołóstwa". Już teraz wreszcie wiem, skąd nasza rodzima „kasta sędziowska" czerpie natchnienie do uzasadnień swoich kuriozalnych wyroków i orzeczeń.

Już ponad 120 dni trwa absencja Ri Sŏl Ju, żony północnokoreańskiego tyrana Kim Dzong Una zwanego „Prosiakiem". Ostatni raz widziano ją u boku męża 20 czerwca podczas oficjalnej wizyty w Chinach. Z jednej strony sprawa wydaje się mocno podejrzana, ponieważ od ubiegłego roku media zaczęły nazywać ją pierwszą damą, pokazując wydarzenia z jej udziałem co najmniej raz w miesiącu. Z drugiej strony uspokajająco działa informacja, że już raz w 2016 r. 30-latka zniknęła aż na dziewięć miesięcy, po czym objawiła się w pełnej krasie – cała i zdrowa. Ale w kraju, w którym ludzie z najbliższego otoczenia satrapy, jak Kim Jong Czol, specjalny wysłannik, który był odpowiedzialny za przygotowanie szczytu z udziałem Donalda Trumpa w Wietnamie, zostają straceni, a do więzień trafiają nawet kobiety – tłumaczkę Shin Hye Yong, którą ukarano za „podważenie autorytetu Kim Dzong Una w wyniku błędu w tłumaczeniu" – są powody do niepokoju. Nie daj, Boże, zupa przygotowana przez małżonkę była za słona.

Portal Tomasza Lisa naTemat.pl znajdzie odpowiedź na każde pytanie, rozwiąże każdą sytuację nie do rozwiązania, a także służy pomocą cierpiącym wyznawcom PO-KO. Wnikliwi dziennikarze tego medium są poruszeni sytuacją panującą wśród rzeszy wyborców antypisu. „Jeśli też zastanawiasz się, jak to możliwe, że mimo takiej mobilizacji, mimo takiego poruszenia znowu triumfują ludzie Jarosława Kaczyńskiego... Nie jesteś sam". „Masz powyborczego doła" – stawia diagnozę portal. Stan ten objawia się „przede wszystkim spadkiem energii. Wcześniej jesteśmy nakręceni, towarzyszy nam hurraoptymizm, wierzymy, że tym razem się uda, albo w przypadku wyborców PiS znowu się uda. I nagle ten optymizm upada. Opadamy z sił. Czujemy niezrozumienie, pojawia się poczucie bezradności, bezsilności. Zadajemy sobie pytanie: o co chodzi? Dlaczego tak? Pojawia się lęk przed przyszłością, przed tym co będzie". Przez kilka lat, grając na niezdrowych emocjach, najpierw wpędzili swoich czytelników w rodzaj psychozy, potem obiecali koniec PiS, a teraz serwują wywiad z „psycholożką", która radzi, co trzeba zrobić. Od dawna mówię, że elektorat opozycji to nie kwestie merytoryczne, programowe, racja stanu. To stan świadomości. A teraz do psychoterapeuty marsz!

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5322f2ded0

Lekomania i reklamy



Marta Kaczyńska-Zielińska

Poranne pasmo telewizyjnych serwisów informacyjnych, prognoz pogody i publicystyki jest przeplatane licznymi blokami reklamowymi. Tabletki witaminowe wzmocnione guaraną, wyciągiem z kakaowca mają natychmiast pobudzić nas do działania i zapewnić dobre samopoczucie przez cały dzień. Kilka sekund później słychać o rewelacyjnym działaniu nasennym melatoniny, następnie na ekranie widać rodzinę usiłującą schronić się przed burzą. Po chwili okazuje się jednak, że tak naprawdę to opowieść o dolegliwościach jelitowych i stuprocentowej skuteczności pewnych pigułek. W następnej porcji reklam sympatycznie wyglądająca pani doradza, by sięgnąć po środek usprawniający funkcjonowanie układu pokarmowego. Bezpośrednio po niej na ekranie pojawia się nowoczesne wnętrze rozpędzonego pociągu i aktor wcielający się w rolę maszynisty przekonuje nas o wspaniałym działaniu leku przeciwbólowego. Swoją drogą warto wiedzieć, że jeden z najpopularniejszych i najczęściej zalecanych w materiałach reklamowych farmaceutyków, uśmierzający ból i działający przeciwzapalnie, cechuje wysoka toksyczność i szkodliwość dla wątroby. Dodatkowo w radiu kilkadziesiąt razy dziennie słychać o witaminie D3, którą powinien przyjmować każdy, o suplementach diety, które mają poprawić nam pamięć, oraz o wielu innych substancjach, które powinny się znajdować w naszych domowych apteczkach, a najlepiej w zasięgu ręki.

Przedstawiciele przemysłu farmaceutycznego twierdzą, że reklamy omawianych produktów to w istocie wyłącznie informacja o ich dostępności na rynku – w domyśle nieskłaniająca w żaden sposób do unikania konsultacji z lekarzem czy też ich zażywania, kiedy nie jest to wskazane. Na marginesie podział na leki, suplementy diety i wyroby medyczne jest dla większości konsumentów nieczytelny. W 2008 r. złożono w Polsce 1115 wniosków o zarejestrowanie suplementów diety. Dziesięć lat później było ich blisko 14 tys. W sumie w latach 2007–2018 na rynku pojawiło się ponad 74 tys. suplementów. Z badań publikowanych na początku br. wynika, że aż 72 proc. Polaków deklaruje przyjmowanie suplementów. Statystyki sprzed kilku lat wskazują na drastyczny wzrost konsumpcji leków przeciwbólowych, na które cztery lata temu wydaliśmy ponad 1,3 mld zł, co odpowiada 115 mln opakowań wymienionych leków. Rocznie zażywamy aż 2 mld tabletek różnego rodzaju.

To alarmujące dane dla naszego zdrowia i kondycji. Nie sposób przyjąć, że na opisaną tendencję nie wywierają ogromnego wpływu wszechobecne reklamy. Świetne wyniki finansowe odnotowują zapewne koncerny farmaceutyczne. Zasady reklamy leków bez recepty, suplementów diety oraz wyrobów medycznych zostały ujęte w ramach przepisów prawa oraz różnego rodzaju zbiorów dobrych praktyk. Na rozpatrzenie oczekuje projekt ustawy o wyrobach medycznych, którego zasadniczym celem jest implementacja unijnych regulacji. Zakazana ma być reklama wyrobów medycznych skierowana do dzieci czy też posługiwanie się autorytetem lekarzy poprzez wcielających się w ich rolę aktorów lub statystów. Konieczne będzie emitowanie ostrzeżeń przed zastosowaniem wyrobów w czasie nie krótszym niż 8 sekund. Treść publikacji zachęcających do nabywania wyrobów medycznych nie będzie mogła m.in. wywoływać przeświadczenia, że brak ich stosowania spowoduje pogorszenie stanu zdrowia, posługiwać się stwierdzeniami, które mówią, że wyrób jest niezawodny czy też sugerować, że nawet osoba zdrowa stosująca wyrób poprawi swój stan zdrowia.

Na początku tego roku do Ministerstwa Zdrowia skierowano petycję o wprowadzenie całkowitego zakazu reklamy leków, suplementów diety oraz wyrobów medycznych. Wniosek spotkał się ze spodziewaną krytyką wielu środowisk, które powołują się przede wszystkim na przepisy UE, które dozwalają wyżej wymienioną formę zachęcania do nabywania produktów leczniczych i mających wspierających witalność, a nawet twierdzą, że zaniechanie reklamy omawianych produktów ograniczyłoby prawo pacjentów do informacji o ich dostępności.



Z wielkim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

ANDRZEJA HEIDRICHA

Autora polskich banknotów, wybitnego projektanta i grafika,
Wielkiego Mistrza małej formy.

Przez ponad 50 lat współpracy z Narodowym Bankiem Polskim
Andrzej Heidrich projektował banknoty powszechnego obiegu
i banknoty kolekcjonerskie, w tym obecne banknoty
z serii „Władcy polscy".
Andrzej Heidrich był autorem banknotu kolekcjonerskiego
„100. rocznica utworzenia Legionów Polskich"
z wizerunkiem marszałka Józefa Piłsudskiego,
uznanego w 2015 roku za najlepszy banknot kolekcjonerski świata.

Adam Glapiński, Prezes Narodowego Banku Polskiego
Członkowie Zarządu Narodowego Banku Polskiego
Pracownicy Narodowego Banku Polskiego

91/1019/F

eprasa.pl 5322f2ded0

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Co z tą wolnością?

Tabloid „Bild” wyraził zaniepokojenie o wolność słowa w Niemczech. Źródłem niepokoju są ataki na polityków AfD, CDU i FDP, którzy – jak uważają ich przeciwnicy z lewej strony sceny politycznej – mają „niewłaściwe poglądy”. „Przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble (CDU) w rozmowie z Bildem jednoznacznie potępił ostatnie wydarzenia. »Kiedy samozwańczy demokratyczny mainstream decyduje, o czym można dyskutować, a o czym nie, to jest to ograniczanie wolności słowa. Wolność wypowiedzi zapewnia tylko ten, kto konsekwentnie znosi inne, być może nawet dziwaczne, opinie oraz angażuje się w rzeczową dyskusję« – oznajmił nestor niemieckich chadeków” – czytamy na portalu tvp.info. Może sprawą należałoby zainteresować Fransa Timmermansa? Walka o wolność słowa i demokrację to zdaje się jego hobby. Niewykluczone jednak, że ograniczą je wyłącznie do Polski.





111

– tyle nowych fotoradarów pojawi się na polskich drogach. Taką informację podał Główny Inspektor Transportu Drogowego.

162 mln zł

– tyle wyniesie łączna kwota wydatków w ramach programu „Zwiększenie skuteczności i efektywności systemu automatycznego nadzoru nad ruchem drogowym”, w tym na nowe fotoradary.

137,7 mln zł

– tyle wyniesie dofinansowanie ze środków Unii Europejskiej w ramach projektu „Zwiększenie skuteczności i efektywności systemu automatycznego nadzoru nad ruchem drogowym”.



Zabijcie mnie!

W Belgii 23-letnia dziewczyna domaga się eutanazji, ponieważ czuje się brzydka. Kelly z uniwersyteckiego miasta Leuven od siedmiu miesięcy walczy o eutanazję. Młoda kobieta cierpi na depresję. „Flamandka Kelly jest ładna, ma rodzinę i narzeczonego. Cierpi na paraliżującą nieśmiałość. »Kiedy patrzę w lustro, widzę potwora« – opowiada dziennikarzom. I jak wielu młodych w jej wieku twierdzi, że po prostu się sobie nie podoba. O możliwości, które oferuje eutanazyjne prawo w Belgii, poinformował ją psycholog. Na eutanazję czeka już siedem miesięcy, bo aby śmiertelny zabieg został wykonany, potrzebna jest pozytywna opinia dwóch psychiatrów i jednego lekarza ogólnego” – informuje niedziela.pl. Rodzice dziewczyny, jej rodzeństwo, w tym siostra bliźniaczka, o całej sprawie dowiedzieli się dopiero kilka dni temu. Cywilizacja śmierci w rozkwicie.

eprasa.pl 5322f2ded0

Białych nie da się dyskryminować?



Brytyjska Komisja ds. Równości i Praw Człowieka jest krytykowana za to, że w badaniach dotyczących rasizmu na uniwersytetach uwzględniła dyskryminację wymierzoną w białych – informuje rp.pl za „The Guardian". Wspomniana komisja działa od 12 lat w Anglii, Walii i Szkocji. Jest utrzymywana ze środków publicznych. Z opublikowanego przez tę instytucję raportu poświęcone rasizmowi na brytyjskich uczelniach wynika, że ofiarami dyskryminacji rasistowskiej padło 29 proc. czarnoskórych studentów, 27 proc. azjatyckich i 9 proc. białych. Ta ostatnia cyfra wzbudziła niemały sprzeciw środowisk naukowych. Wynika z nich, że nie można stawiać znaku równości między dyskryminacją osób o białym i ciemnym kolorze skóry. Trudno nadążyć za meandrami politycznej poprawności.

> Bezprawnych działań przestępców nie da się naprawić bezprawnymi działaniami komisji weryfikacyjnej" – stwierdził Paweł Rabiej, do niedawna członek tejże komisji. Niby wiadomo, że punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia, ale żeby aż tak bardzo?

Podpaski nie dla kobiet

Znak Wenus (symbol kobiecości, czyli kółko z krzyżykiem na dole) znika z opakowań podpasek Always firmy Procter & Gamble. Jak łatwo się domyślić, firma robi to z szacunku dla klientów transpłciowych i niebinarnych. „Procter & Gamble zdecydował się na zmianę opakowania w odpowiedzi na prośby i sugestie, żeby produkt stał się bardziej przyjazny dla osób, które nie identyfikują się jako kobiety, ale nadal miesiączkują" – czytamy na portalu ofeminin.pl. Jak tak dalej pójdzie, to uznam, że Lech Wałęsa miał rację. Wyższa cywilizacja spojrzy, zaduma się, zapyta: „Co oni tu wyprawiają?". Wreszcie „nam przeszkodzą, przetną na pół, Ziemia się zwinie, wszystkich nas zgniecie", a później „przyślą nam Adama i Ewę i od nowa znów będziemy budować świat".



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4), Internet

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Gra warta gromnicy



Dominik Zdort

Obserwując Kościół, warto przyglądać się drobiazgom i starać się czytać między wierszami. Jak choćby ostatnio, kiedy abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Episkopatu, zwrócił się do papieża z prośbą o ustanowienie św. Jana Pawła II doktorem Kościoła i patronem Europy. A potem wniosek ten poparł kard. Stanisław Dziwisz.

Z naszego – polskiego – punktu widzenia sprawa nie budzi wątpliwości, Jan Paweł II cieszy się w Polsce uznaniem i estymą. Tyle że to, co oczywiste jest z punktu widzenia Gniezna, Pelplina i Częstochowy, zupełnie inaczej wygląda, gdy spogląda się przez okno apartamentu nr 201 w rzymskim Domu Świętej Marty.

A mieszkaniec tego apartamentu raczej nie marzy o tym, aby polski papież został 37. doktorem Kościoła. Byłby „najmłodszym" z doktorów i jedynym jak dotąd, który żył w XX i XXI w., najbardziej współczesnym, a więc trudno byłoby ignorować jego nauczanie teologiczne i moralne.

Tymczasem owo nauczanie nie cieszy się dziś, w czasach pontyfikatu o niebo bardziej postmodernistycznego, dużym uznaniem. Starań, aby zepchnąć Jana Pawła II w cień, Franciszek nawet nie usiłuje maskować. Prowadzi konsekwentną (jak to określa Tomasz Terlikowski) dewojtylizację Watykanu. Dlaczego miałby teraz wzmacniać JP2, dodawać jego naukom autorytetu?

Pierwsze wyjaśnienie mówi o tym, że obecny papież po prostu chciałby zaprzeczyć podejrzeniom, że nauczanie Jana Pawła II nie jest mu bliskie. Umówił się więc z polskimi biskupami, że przeprowadzą wspólnie operację wywyższenia dawnego biskupa krakowskiego.

Druga interpretacja byłaby znacznie ciekawsza. Otóż polscy biskupi, widząc narastającą niechęć Franciszka wobec Jana Pawła II, postanowili postawić obecnego papieża niejako pod ścianą. Publicznie wezwali, aby w stulecie urodzin Karola Wojtyły papież wyróżnił swojego poprzednika najwyższymi katolickimi tytułami.

Jeśli tak jest, to Franciszka czeka nader niewygodna decyzja. Czy zawiedzie swoich akolitów zza Spiżowej Bramy, oczekujących zerwania z czasami Jana Pawła II? Czy też zignoruje apel przewodniczącego Episkopatu Polski i byłego papieskiego sekretarza, nazywanego czasem „żywą relikwią"? Jak to rozegra?

Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie, Franciszek tego wistu hierarchom znad Wisły na pewno nie wybaczy. Polscy biskupi zalicytowali wysoko. Ale ta gra jest warta gromnicy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 5322f2ded0

RZECZY POSPOLITE

Prawicowy wegetarianin



Tomasz Łysiak

Krzysztof Bosak zasugerował na Twitterze, że ktoś, kto świadomie rezygnuje z mięsa w jadłospisie, może „obrażać Stwórcę swym zachowaniem, niczym gość gospodarza odmawiając poczęstunku". Całość została ubrana w wygodną retorycznie formę pytania: „Czy można zaryzykować tezę?". Ale sens jest oczywisty: ci, co nie jedzą mięsa, są według Bosaka grzeszni.

Cóż, wynika z tego, że muszę przy najbliższej okazji w konfesjonale wyznać, że nie jem mięsa. Ciekaw jestem, co powie mój spowiednik.

W każdym razie ze zgrozą obserwuję od jakiegoś czasu wzmożenie ideologicznej młócki w tym obszarze. Żeby było jasne: wszystko zaczyna się po stronie naładowanych adrenaliną lewicowców, którzy rozpoczęli batalię z „mięsożercami". To w tych środowiskach powstała, i ciągle mutuje w coraz silniejszych odmianach, batalia antymięsna. Oto ten, kto je mięso, jest w oczach tychże aktywistów oraz coraz liczniejszych wyznawców ideologii lewicowej nieczułym na świat i cierpienia zwierząt potworem. A ludzkość powinna w ogóle rzucić żywienie się mięsem i przejść na panświatowy weganizm. Tokarczuk i inne gwiazdy lewicowej elity wskazują palcem na mięsożercę jako na źródło zła, a wszystko to w absurdalnym klimacie w stylu „Seksmisji", w której samca należało niszczyć i tępić.

Jednak odpowiedź drugiej strony, tej konserwatywnej, także zdumiewa. Okazuje się, że oto w ramach „prawicowego zestawu cech i wartości" powinniśmy praktykować jedzenie mięsa. „Jesteś prawak? Jedz schabowego, golonkę i kiełbasę". A ja nie jem. Nie jem, bo wybieram co innego. Wolę jedzenie bazujące w dużej mierze na jak najmniej przetworzonej żywności pochodzenia roślinnego, odrzucam to, co jest fabrycznie przetwarzane, naładowane cukrami, konserwantami i antybiotykami. Nie podchodzę do tego ideologicznie. Raczej świadomie wybieram to, co ma się znaleźć na talerzu. Bardzo rzadko sięgam po rybę czy owoce morza. Na przykład lubię zjeść fritto misto mare na wybrzeżu Amalfi. Ale to mnie nie czyni konserwatystą. Ani to, że zjem schabowego i kaszankę. Zaręczam.

Kiecka Biedronia



Piotr Cywiński

Najpierw myślałem, że to żart. Ale to żart nie był. To znaczy „Super Express" może robi sobie jaja z Sejmu i nie tylko, ale europoseł Robert Biedroń, ten, co to chciałby zostać prezydentem Polski, już nie. „Superak" ogłosił mianowicie: „Po paniach przyszedł czas na panów! Kto zostanie misterem nowego Sejmu?". I kto się zgłosił?! Robuś osobiście! I tu czytelnicy „Superaka", jeśli zechcą głosować na wskazaną przez Robusia osobę, mają problem. Otóż, gdyby w Polsce było to możliwe, Biedroń wyszedłby za mąż czy się ożenił – nie wiem, nie znam się na tym, ja szary, przeciętny hetero jestem – z osobą, na którą chce, żeby wszyscy głosowali, czyli z Krzysztofem Śmiszkiem, i może mielibyśmy jasność czy to mąż, czy żona. A tak nie mamy. „Sorry panowie, ale wybór jest oczywisty! Lewica głosuje na Śmiszka" – wskazał w internecie europoseł Biedroń na osobę, co jednak takie oczywiste nie jest, czy chodzi o jego kandydatkę na Miss, czy na Mistera Sejmu...

Kim jest osoba? 12 listopada zasiądzie w Sejmie, w czym Biedroń ma swój wkład. Według Robusia Krzyś kryteria na mistera spełnia, skoro Krzysia poleca, a brzmią one: „przystojni, inteligentni, charyzmatyczni – właśnie tacy są nasi kandydaci", jak to ujął „Superak". W czym ów tabloid ma rację, nie wiem, w tym ma na pewno: „Sejm nowej kadencji będzie barwnym miejscem".

Tyle w naszym, polskim tabloidzie. Co w innojęzycznych? Za Odrą seksskandal w koszarach. Plutonowy Bundeswehry Steven P. uprawiał seks bez zabezpieczeń z żołnierzami, a że jest nosicielem HIV, to ich częstował tym, co ma. Ostatnim, z którym tentego, był Sven D., który pytał Stevena, czy jest zdrowy, ów potwierdził, więc Sven uwierzył, „Przecież kolega z wojska nie kłamie", żalił się w sądzie. Był to drugi proces żołnierza Stevena, w 2009 r. poczęstował innego kolegę, dostał dwa lata w zawiasach, że niby nie wiedział. Teraz powiedział w sądzie, że mu „przykro".

We Francji, w paryskiej bibliotece publicznej, odbyły się niedawno warsztaty dla dzieci od lat siedmiu z „kreacji przestrzeni dla działań i refleksji dotyczącej płci i seksualności". Dzieci mogły „poznać siebie" dogłębnie, palpacyjnie, per rectum, a i zagrać w „kreatywne bingo" – zabawę odmienności i zmiany płci. W USA feministki przeprowadziły akcję: „Zadzierajmy kiecki", z przewodnim hasłem „Reclaim our c*nt", czego nie przełożę, bo niecenzuralne.

Co to ma wspólnego z orędownikiem penalizacji edukacji seksualnej Biedroniem w UE i jego – nie wiem, jak to ująć, pisałem, że się na tym nie znam – Śmiszkiem posłem na Sejm? Nic! Tak mi się jakoś bez sensu skojarzyło...

eprasa.pl 5322f2ded0

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

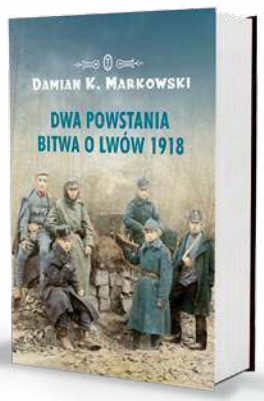
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR

FUNDACJA IM. JANUSZA KURTYKI



Książka warta nagrody

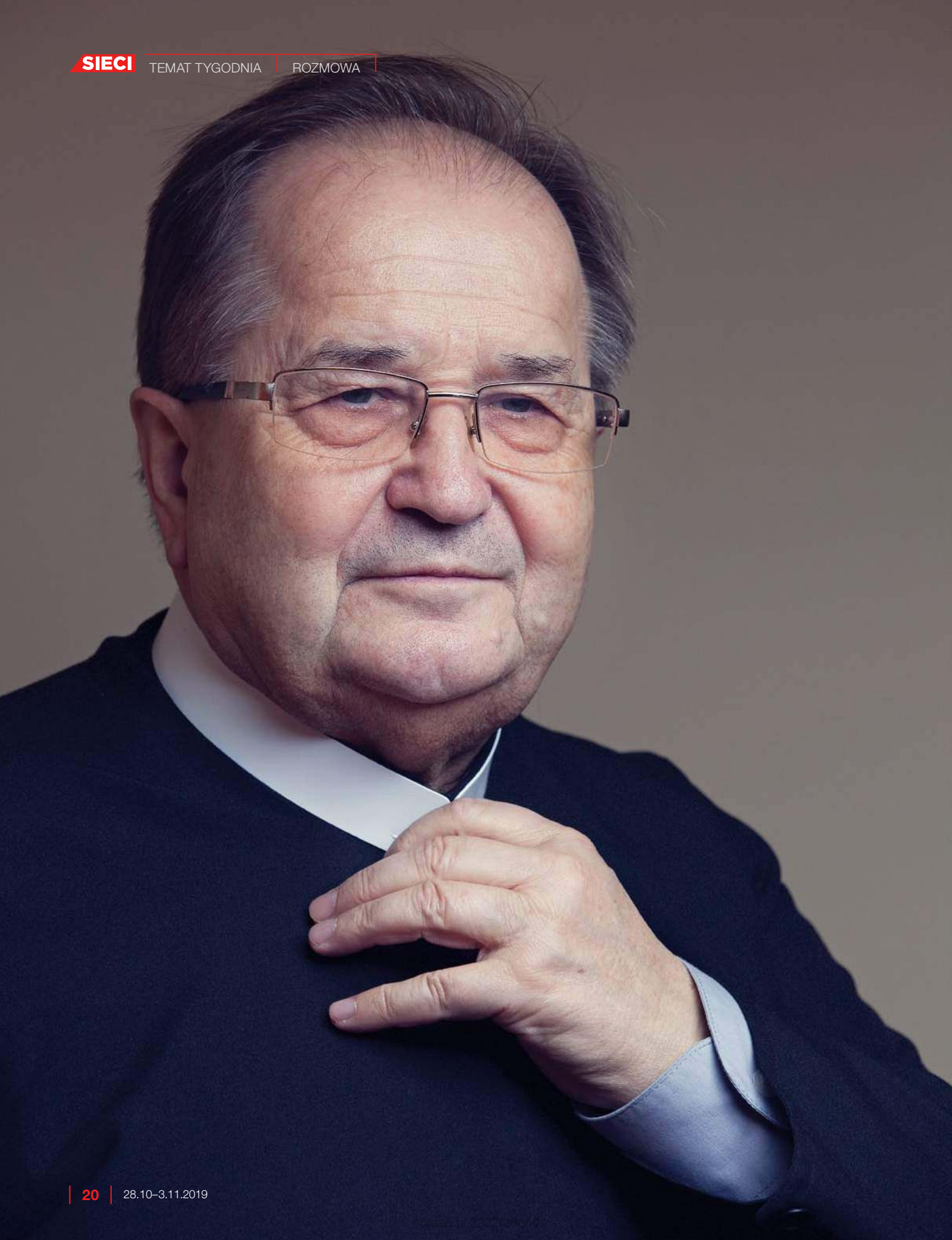
Tegoroczną Nagrodę im. Janusza Kurtyki za książkę „Dwa powstania. Bitwa o Lwów 1918" otrzymał dr Damian K. Markowski, historyk specjalizujący się w badaniu relacji polsko-ukraińskich w XX w.

Jednym z ważniejszych aspektów książki – jak podkreślił laureat podczas ceremonii wręczenia nagrody, która odbyła się 3 października w Belwederze – jest przedstawienie genezy brutalizacji konfliktu polsko-ukraińskiego oraz ukazanie jednego z najważniejszych aktów państwowotwórczych odradzającej się polskiej państwowości.

W swojej pracy dr Markowski kreśli dramatyczną historię walki o wielonarodowy Lwów, który po upadku monarchii austro-węgierskiej staje się krwawą areną sporów między wykluwającymi się organizmami państwowymi. Autor odtwarza przebieg wydarzeń dzień po dniu, pokazuje ich przyczyny oraz skutki, a także zastanawia się nad konfliktem pamięci wokół lwowskiego listopada. Książka opiera się na solidnych naukowych źródłach: polskich, ukraińskich oraz żydowskich.

Nagroda im. Janusza Kurtyki to największy oraz najważniejszy projekt organizowany przez Fundację im. Janusza Kurtyki corocznie od 2017 r. Laureaci nagrody wyłaniani są w konkursie na pracę naukową z zakresu nauk humanistycznych, społecznych lub prawnych, której problematyka koresponduje z tematyką danej edycji. Temat tegorocznej edycji brzmiał: „Polska: wojna i granice w XX wieku". Formą Nagrody im. Janusza Kurtyki jest przetłumaczenie wyróżnionej pracy na język angielski oraz niemiecki, a także wydanie jej na rynku zachodnim i promocja w krajach anglo- i niemieckojęzycznych.

eprasa.pl 5322f2ded0



Wierzę, że Polski nie złamią

Niech każdy myśli o jednym: umrzesz. Każdy z nas umrze. I co potem? Jak staniesz przed Panem Bogiem?

Michał Karnowski rozmawia z ojcem doktorem Tadeuszem Rydzykiem CSsR, twórcą i dyrektorem Radia Maryja oraz wszystkich dzieł przy nim powstałych

Rozmawiamy w Toruniu, w siedzibie Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej (WSKSiM), którą ojciec utworzył w roku 2001. Widziałem, jak ojciec żartuje na luzie ze studentami. Publicznie jednak ojciec raczej stara się być bardzo poważny. Dlaczego?

Tadeusz Rydzyk: Bo to życzliwi ludzie, rozumiemy się. W takim otoczeniu można pożartować. W wypowiedziach publicznych niestety muszę się pilnować, bo wielu jest takich, którzy podchwytują na słowie i z żartu robią skandal, odwracają znaczenia słów. Takie czasy, nawet z żartami trzeba się kryć. Jeszcze kilka lat temu tak nie było w Polsce.

I druga moja obserwacja: znowu ojciec buduje. Między niedawno ukończonym Sanktuarium Gwiazdy Nowej Ewangelizacji i świętego Jana Pawła II a budynkami WSKSiM powstaje Muzeum Pamięć i Tożsamość im. św. Jana Pawła II.

Tak, to wielkie przedsięwzięcie. Chcemy pokazać, jak na polskość patrzył święty Jan Paweł II, największy z rodu Polaków. Tam będzie się odbywała wielka lekcja najpiękniejszej polskości dla wszystkich pokoleń i katecheza. Tu młodzi zobaczą naszych bohaterów, bo pamiętajmy: verba docent, exempla trahunt – słowa pouczają, przykłady przyciągają.

W tym roku minie już 28 lat Radia Maryja. Cała epoka w życiu Polaków.

Zaczynaliśmy tylko z dwiema stacjami, po 100 watów, w Toruniu i Bydgoszczy. I nawet nam nie pozwolili na połączenie tych stacji. Wtedy decydowała o tym Państwowa Agencja Radiowa, w skrócie PAR. Pojawiłem się u nich pierwszy raz z pismem od prowincjała redemptorystów z prośbą o radio na całą Polskę. Byli bardzo zdziwieni, patrzyli na mnie, jakbym był jakimś wyrzutkiem społeczeństwa. Pytali: „Z jakiej racji? Co to ma znaczyć?". Pytali: „A co będzie ksiądz tam nadawał?". Odpowiadałem: „Katechezę. Będziemy nawracać, ewangelizować, jak misjonarze idący w świat". Cały czas byli na nie, zachowywali się w sposób mało cywilizowany, traktowali mnie bardzo nieprzyjemnie.

Jak ojciec wybrnął z tego zakazu połączenia stacji w Bydgoszczy i Toruniu?

Nie wiem, czy mogę o tym mówić, ale też już tyle lat minęło... Było tak: zaproponowali, żebym woził kasety z nagraniami audycji z Torunia do Bydgoszczy. Odpowiedziałem: „Może na osiołku?".

Młodszym przypomnijmy, że internetu wtedy nie było, to był rok 1991.

Ba, nie było jeszcze możliwości skorzystania z nadawania satelitarnego. Zapytałem ich, jak inni łączą swoje stacje. Odpowiedzieli, że przez kabel lub radiolinię. Zapytałem: „No jak tak można? Wszyscy mogą, tylko my nie? Czy Pan Bóg stworzył świat tylko dla komunistów?". I jakoś daliśmy sobie radę.

W jaki sposób?

Znowu przez dobrych ludzi. Ktoś miał i udostępnił nam radiolinię. Prosiłem tylko inżynierów, by sprawdzili, czy nikomu to nie przeszkadza w eterze.

Bez pozwolenia?

Pan Bóg już dawno dał każdemu nie tylko pozwolenie, lecz i polecenie czynienia dobra. Ale pan dyrektor w PAR na kolejnym spotkaniu zaczął na mnie krzyczeć: „Co ksiądz robi?! Jakim prawem?!". Nie mogłem powiedzieć mu

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5322f2ded0

wszystkiego, kłamać też nie mogę. Wybrałem trzecią drogę. Zapytałem go, czy był u spowiedzi. Zdenerwowało go to jeszcze bardziej. Ale ja spokojnie kontynuowałem: „Bo wie pan, ja jestem księdzem. Mogę ochrzcić, wyspowiadać, mogę pogrzeb odprawić...". Chciałem, by sobie uświadomił, że on też kiedyś przed Panem Bogiem stanie. No i dał mi spokój. Ale to był dopiero początek.

Potem była walka o częstotliwości stacji lokalnych, wreszcie o koncesję ogólnopolską.

Tak. Wielokrotnie musieliśmy prosić o mobilizację słuchaczy, ludzi dobrej woli. Pisaliśmy do biskupów, do władz, w tym prezydenta Lecha Wałęsy. Myślałem, że skoro katolik, to pomoże. Ale nic nie pomógł. Problemów i przeszkód było wiele: gdzie postawić nadajniki? Nigdzie nam nie pozwalali. Najpierw korzystaliśmy z częstotliwości stacji diecezjalnych, ale one były tylko wysokie, kiedy ludzie mieli jeszcze odbiorniki przystosowane do częstotliwości niskich, jak w całym dawnym bloku wschodnim. Potem była walka o koncesję ogólnopolską dla Radia Maryja. Zapadła mi w pamięć scena, jak pewien wiceminister łączności krzyczy na mnie: „My ojca zniszczymy, my mamy media". Taka walka szła.

Co ojciec odpowiedział?

Że muszę o tej rozmowie powiedzieć słuchaczom. Bo radio nie jest moje, jest ludzi. On na to: „To ksiądz zaczyna wojnę!". Odparłem, że wojny nie zaczynam, ale się nie poddam. A ofiary zawsze są po obu stronach. Po powrocie z Warszawy położyłem się nad ranem, ale nie mogłem zasnąć. Bardzo to wszystko przeżywałem. I wtedy przyszła myśl: to nie jest Radio Tadeusz, ale Radio Maryja. A skoro Maryja, to Jasna Góra. Zadzwoniłem najpierw do klasztoru jasnogórskiego z pytaniem, czy znajdą termin, bym mógł przed Cudownym Obrazem Matki Bożej odprawić mszę świętą. Znaleźli. Potem do księdza biskupa Adama Lepy, odpowiedzialnego wtedy w episkopacie za media. Ksiądz biskup odpowiedział: „Jadę!". Ogłosiłem przez radio. Przyjechało 5 tys. ludzi, a ojcowie paulini, widząc to, zaprosili nas na plac jasnogórski. I tak się zaczęły nasze lipcowe pielgrzymki na Jasną Górę.

Opowiada ojciec o budowaniu radia i co chwila pojawia się, że ktoś coś dał, że ktoś niespodziewanie pomógł. Ale potem w mediach wrogich, w popkulturze, wraca to szyderstwem, że jak to dał, że na pewno coś ojciec ukrywa?

Kiedy to jest czysta prawda. Niewierzący nie rozumieją, jak wielka jest siła ducha, jak wielu dobrych ludzi nam Pan Bóg zsyła. Dlatego teraz to już często nie mówię nawet, że ktoś coś dał, bo nie wierzą, bo się śmieją. Ale Pan Bóg wie, jak jest naprawdę.

> Głosowałem na Prawo i Sprawiedliwość. A na kogo miałem głosować? Lecz nie na całą partię PiS, ale na ludzi, których jestem pewny, których znam, którzy byli na listach tej akurat partii. Tam też są różni ludzie, ale program ugrupowania jest najbliższy cywilizacji chrześcijańskiej

Często mówicie w radiu, jak ogromne są koszty nadawania radia i telewizji na cały świat. Wystarcza ze składek słuchaczy i widzów?

Ofiarność jest duża, ale nie aż taka, jak być powinna. Nie ma jeszcze w Polsce takiej odpowiedzialności za sprawy Kościoła, jaka bywa gdzie indziej. Opowiadano mi przykład z Ameryki. Oto jest kościół, w którym msze święte odprawiane są w trzech językach: po polsku, hiszpańsku i angielsku. Na mszy po polsku wiernych jest dość dużo, ale ofiary tam składane nie utrzymałyby kościoła. Na mszy po hiszpańsku ludzi jest bardzo dużo, ale to często biedni ludzie, ofiary proporcjonalnie mniejsze niż te od Polaków. Anglojęzycznych przychodzi najmniej, ale bez nich ten kościół by nie mógł istnieć.

Skąd się bierze ta różnica?

Nie są spreparowani tą propagandą, że księdzu się zawsze świetnie powodzi, że jest bogaty, że pasibrzuch, który wszystko ma. A to nie tak wygląda. Opowiedziano mi taką historię: w jednej z parafii w Polsce znalazło się grono takich bardzo postępowych aktywistów, którzy naczytawszy się o bogactwie księży, postanowili wziąć sprawy finansów parafii w swoje ręce. Ksiądz popatrzył i mówi: „Proszę bardzo". Zaczęli liczyć to, co wpływa, zobaczyli, ile trzeba wydać na sprzątanie, remonty, pensje, zabezpieczenia, i bardzo szybko przyszli z prośbą, by jednak ksiądz to przejął z powrotem. Zobaczyli, że nie dadzą rady. Tak samo jest z Radiem Maryja.

Radio Maryja ma przecież miliony słuchaczy.

Ale jaki procent pomaga? Weźmy pielgrzymkę Rodziny Radia Maryja na Jasną Górę. Często to i ponad 200 tys. ludzi. Tych, którzy czują więcej, którzy rozumieją sprawy, o których mówię. A ilu składa ofiarę? Jak 20 tys., to bardzo dobrze. Wiemy, bo prosimy, by koperty z ofiarami były podpisane, by można później podziękować. A przecież ta niezależność radia, to, że ono może mówić prawdę i tylko prawdę, że żadna finansjera nie może nam dyktować, co mówić, a o czym milczeć, bierze się z tego, iż to ludzie je utrzymują. Jak przestaną, to ten głos może zniknąć. I dlatego ci, którzy nam źle życzą, taką propagandę sieją przeciwko nam.

Ta propaganda przypisuje też ojcu ogromne pieniądze od rządu. Ile w tym prawdy? Może ojciec o tym mówić?

eprasa.pl 5322f2ded0

Wszystko jasno mówimy. Bo clara pacta faciunt amicos, czyli jasne układy czynią przyjaciół. Nie jest tajemnicą, że budujemy Muzeum Pamięć i Tożsamość, o którym pan redaktor już wspomniał, bo widział budowę. Czy to robimy dla siebie? Dla bogactwa? Czy dla Polski, dla wychowania przyszłych pokoleń? To prawda, że ministerstwo przyznało dofinansowanie na to przedsięwzięcie, około 117 mln zł. I wielka awantura. A muzeum będzie własnością państwa. Jednak kiedy na pewne centrum sztuki filmowej dano 600 mln zł – cisza. Ale myśmy też dużo włożyli: teren, projekt, know-how, to były duże koszty. Co najważniejsze – od 20 lat prowadzimy badania na temat ratowania Żydów przez Polaków. Zaczęło się od dwutomowej książki wydanej w roku 2000 pt. „Godni synowie naszej ojczyzny". Stale pracuje kilkuosobowy zespół, który te sprawy bada. Mamy już zapisane 40 tys. nazwisk tych, którzy pomagali, ratowali. To jest ważne. To ostatni moment, by to zapisać, upamiętnić, wiedzieć, co się z nimi stało, jaką cenę zapłacili, gdzie leży ich grób. To są tysiące godzin nagrań audio, wideo, dokumenty. Nie ma drugiej instytucji, która by takie zbiory posiadała. Do tego budujemy Park Pamięci Narodowej, gdzie będą oni wszyscy – każde nazwisko – upamiętnieni. Czy to naprawdę zbrodnia, że państwo do takiej pracy też się dołoży? Czy to dla siebie robimy, czy dla wspólnoty narodowej?

Skąd zatem taka zajadłość w atakach, zwłaszcza ze strony Platformy Obywatelskiej?

To świadczy tylko o kulturze tych ludzi... Taka mentalność jak psa ogrodnika, bo przecież sami tego nie zrobią, a nam nie chcą pozwolić. Każdy Polak powinien się cieszyć, jeśli drugi robi coś dobrego dla ojczyzny, czy wierzący, czy niewierzący. I takich też spotykam, byli bardzo życzliwi. Czasem słyszę: „Przepraszam ojca". Pytam: „Za co?". Odpowiada: „Że ojca tak nienawidziłem, że w te wszystkie kłamstwa w mediach wierzyłem, że nie sprawdziłem samodzielnie wcześniej". Dostaję dużo takich listów. Powtarzam wszystkim: nie wierzcie w te opowieści, przyjedźcie sami, zobaczcie, co robimy, co zbudowaliśmy, przekonajcie się, jak to nasze rzekome imperium wygląda, jak służy Bogu, Kościołowi i Polsce. I pamiętajmy, że wrogowie wiedzą, jak nas napuszczać na siebie, zwłaszcza Słowian: Polaków na Polaków, Ukraińców na Polaków. Nie tak było? To jest zasada divide et impera – dziel i rządź.

> Będę głosował na prezydenta Andrzeja Dudę, nie mam już wątpliwości. W pewnym momencie byłem nawet trochę zaniepokojony... Ale powiedziałem mu to, jak miałem szczęście rozmawiać z panem prezydentem raz czy drugi. Uważam, że ten człowiek bardzo ciężko pracuje dla Polski każdego dnia. On nam nie przynosi wstydu, ale honor

Z tej perspektywy, troski o przyszłość Polski, jak ocenia ojciec wynik wyborów parlamentarnych? Obecnie rządzący obóz uzyskał prawo do kierowania krajem przez kolejne cztery lata.

Kilka wniosków. Po pierwsze, jak mamy coś niedoskonałego, to wybieramy lepsze od gorszego. Po drugie, wszyscy jesteśmy ludźmi, a nie aniołami. Popełniamy grzechy i błędy. Spośród ludzi tylko Maryja była bez grzechu. A zatem patrzmy, kto tych błędów popełnia mniej, kto stara się je naprawiać, kto wyciąga wnioski i chce się poprawić. Z tej perspektywy cieszę się, że tak wyszło. Szkoda, że nie lepiej. Bo najważniejsze są sprawy cywilizacyjne, gdyż wszystko inne, jak będzie dobry duch, można odnowić. Pamiętam telefon od pewnego słuchacza z Irlandii, który mówił: „Trzy razy wszystko straciłem w życiu, trzy razy materialnie bankrutowałem. Ale jeżeli jest dobry duch, wszystko możemy, i mnie się udawało odrobić". Poznałem go potem osobiście, już niestety nie żyje. O tym musimy w Polsce pamiętać: walka idzie o tego dobrego ducha, o naszą wiarę i pamięć narodową. I to jest trzeci punkt. Dlatego bardzo pozytywnie oceniam to zwrócenie się w ostatnich czterech latach w kierunku pomocy rodzinie, dzieciom, słabym. Nikt tego nie zrobił wcześniej i dziękujmy panu Bogu za to. Dziwię się, że niektórzy, mimo iż dostali, to wygadują na PiS.

Może uwierzyli, że to przekupstwo?

To nie jest żadne przekupstwo, to konieczna pomoc rodzinie. Na co ma państwo wydawać pieniądze, jeśli nie na rodzinę? A teraz poszerzajmy przestrzeń dobra, wspierajmy wszystko, co temu służy. Nie wszystko odnowione jest być może, nie wszystko da się zrobić od razu. Ale nie można tak podpuszczać ludzi. Bo my wszyscy musimy się wziąć do pracy. Pamiętajmy słowa świętego Pawła: „Napominajcie się z miłością i zachęcajcie". Jest jedna ojczyzna nasza, jedna Polska. Komu zależy na tym, żeby to zniszczyć? Czuję wielki niepokój.

Bo idzie fala propagandy lewicowej?

Nie tylko. To idą międzynarodowe siły, diabelskie. Robią wszystko, żeby zniszczyć rodzinę, zniszczyć człowieka, wiarę, Kościół. To jest ta nowa lewica, jak to niektórzy nazywają. W tym ideologia gender, bardzo niebezpieczna.

To jest tęczowa zaraza wyrastająca ideowo z czerwonej?

Tak, ks. abp Marek Jędraszewski nazwał to bardzo dobrze. To wybitny

eprasa.pl 5322f2ded0



Fot. Andrzej Wiktor

filozof i teolog, znawca zjawisk społecznych. Jego doktorat przeczytał Jan Paweł II, wiem o tym od kogoś, komu papież o tym wtedy mówił. Ten atak na ks. abp. Jędraszewskiego odbieram jako coś wstrętnego, próbę stłamszenia człowieka, pasterza Kościoła, wreszcie zablokowania wolności. Ale wierzę, że się nie da. Musimy przy nim trwać i dziękować Panu Bogu za tak odważnego pasterza. Niech to będzie zachętą dla innych, żeby tak odważnie mówić. Mówić prawdę. Rozważnie, ale i odważnie. Musimy wszyscy widzieć, jak ta propaganda idzie przez wszystkie media, uczelnie, sztukę itd. Tych prawicowych jest bardzo niewiele.

Są też ubogie, pozbawione dostępu do reklam.

To prawda. Liczyłem, że ten rząd coś z tym zrobi, spróbuje zlikwidować tę dyskryminację, nie tylko nadawców chrześcijańskich, lecz przede wszystkim ich odbiorców. Wszystko to jednak lewica nadal trzyma w rękach. Druga ważna sprawa to szkoły, uczelnie. Tam rządzi lewactwo, wytwarza się moda na wszystko, co antypolskie. Nawet niektórych przedszkoli to dotyka. Kolejna rzecz – konwencja stambulska. Czekam, żeby się odważyli z niej wyjść. To bardzo poważna sprawa, otwarcie drzwi w stronę totalitarnych działań. Ktoś w przyszłości może to wykorzystać.

Wierzy ojciec, że można tę falę zatrzymać? Zdarzają się wypowiedzi, nawet księży, pełne rezygnacji, niewiary. Przekonania, że to jest za silna fala, że młodzi ludzie mają tak przerobione przez media umysły, że trudno z tym w ogóle walczyć.

Trzeba wziąć pod uwagę, że tu jest naprawdę działanie szatana. Potrzeba modlitwy, ba, egzorcyzmów trzeba.

Są miasta, na szczęście jeszcze wyjątkowe, gdzie w niektórych szkołach na religię zapisuje się podobno 10 proc. uczniów.

Tu był błąd u zarania. Dlaczego zrobili tak, że zapisują się ci, którzy chcą chodzić na religię? Powinno być odwrotnie: zapisujesz się, jak nie chcesz chodzić. Ktoś to pięknie wymanipulował. Ale trzeba walczyć – szukać charyzmatycznych księży, katechetów, organizować się. W czasach komunistycznych ks. Franciszek Blachnicki potrafił stworzyć wielki ruch oazowy, potrafił mieć na oazach wakacyjnych 200 tys. młodych ludzi. Sam na nie jeździłem. Komuniści nas przepędzali, sanepid i straż pożarna kontrolowały uporczywie, a milicja potrafiła pobić nieletnich. Ale było! Trzeba się modlić o charyzmatycznych księży i siostry zakonne. Nie tylko o liczne, ale też o dobre powołania. Kapłaństwo czy życie zakonne to nie ciepłe bambosze i telewizor, ale ciągły marsz. Inaczej to nie ma sensu. Trzeba też wiedzieć, że szatan istnieje, trzeba zatem modlitwy, różańca. Trzeba ognia w nas! Kiedy

eprasa.pl 5322f2ded0

w Kościele zaczyna się kryzys? Kiedy człowiek odchodzi od Chrystusa, gubi swoją z nim relację.

Druga strona powtarza: i tak was złamiemy. I tak skończycie jak Irlandia.

Nie. Ja wierzę, że Polski nie złamią. U nas ludzie jeszcze się modlą. Trzeba nam modlitwy, prawdziwej, a nie bigoterii i świadków. Wierzę, że jeszcze będzie inaczej. Ale to też zależy od każdego z nas. Niech przekazuje wiarę dziadek, babcia, tak jak przekazuje miłość do Polski. Niech sam odnowi swoją relację z Panem Bogiem, bo bez tego nie ma nic. Jeżeli podchodzisz do wiary tylko jak do obyczaju, folkloru, to nie przekażesz tego. To jest puste. Niech każdy myśli o jednym: umrzesz. Każdy z nas umrze. I co potem? Jak staniesz przed Panem Bogiem?

Odpowiedzą: Boga nie ma.

Nie ma wątpliwości, że Bóg jest. Także rozum oświecony potrafi odnaleźć Pana Boga.

Czyli obronimy Polskę chrześcijańską?

Wierzę w to. Matka Boża nas tyle razy obroniła, że musimy w niej pokładać ufność i nie ulegać zwątpieniu. Widzę, ilu ludzi modli się na Jasnej Górze. Pytam wtedy: „Matko Boża, czy Ty nas zostawisz?". Jest dużo zła zorganizowanego, ale jest i dużo niesamowitego dobra. Wielu ludzi się też nawraca. Z tego może być lawina. Musimy iść, nie możemy wybrać drogi, którą przeszli katolicy na Zachodzie: rezygnacji, odwrotu, wyprzedawania kościołów. Bo stracili Boga w sercu, a on jest najważniejszy. Ale i na Zachodzie widzę odrodzenia, są grupy różne, coraz silniejsze, które się przeciwstawiają. Żyją Ewangelią.

U nas też ostatnia seria ataków na Kościół na tle pedofilskim, niezwykle brutalna, uświadomiła wielu katolikom, że sytuacja jest poważna. Otrzymujemy wiele sygnałów, że są parafie, wspólnoty, które zareagowały większą świadomością swojej wiary, postanowieniem mocniejszego trwania, aktywności.

Oby tak było. Ale warto przy sprawie pedofilii się zatrzymać. Nie mówię, że tego nie ma, czy nie było. To jest skandaliczne i gdyby był taki przypadek, trzeba się z nim absolutnie rozprawić. Tego nie może być. Ale nie możemy dać się zredukować tylko do tego tematu, nie można całego Kościoła sprowadzić do takich przypadków. Weźmy się do roboty, do ewangelizacji. Pan Jezus przyszedł do nas z miłością i głośmy jego naukę, a jeżeli takie rzeczy są, to trzeba je wyrywać z korzeniami i iść dalej.

> Każdy Polak powinien się cieszyć, jeśli drugi robi coś dobrego dla ojczyzny czy wierzący, czy niewierzący. I takich też spotykam, byli bardzo życzliwi

Jakiś kontekst tego, co przeżywamy dzisiaj w Polsce, rzucają nam te oklaski dla Urbana, fetowanie go po jakichś klubach.

Znowu spojrzałbym na to nieco inaczej... Przeróżne głupstwa działy się zawsze, w całej historii. I grzech był, i błędy, i szaleństwa. Ale to były i są pewne grupki. Tylko kiedyś nie było tylu mediów, internetu. Dziś to idzie w świat momentalnie i wydaje nam się, że tego jest tak dużo. Na szczęście nie. Czy ta klaszcząca grupka na pewno wiedziała, co czyni? A może to są dzieci funkcjonariuszy tamtego systemu? Patrzyłbym na to ze spokojem.

Jedna z tez prezentowanych przez media wrogie Kościołowi głosi, że wsparł on obóz rządzący, że wszedł w politykę. Szymon Hołownia napisał: „Niech jak najszybciej opustoszeją te kościoły, w których Pan Jezus jest członkiem PiS". Jak ojciec by na to odpowiedział?

To bzdura. To chore. Nic takiego nie ma ani nie miało miejsca. Może autor tych słów chciał zaistnieć medialnie? Może pragnie skandalu? To jest mylenie spraw. Ja też jestem w Kościele. I co – nie mam prawa powiedzieć, na kogo głosowałem? Mam. Głosowałem na Prawo i Sprawiedliwość. A na kogo miałem głosować? Ale nie na całą partię PiS, lecz na ludzi, których jestem pewny, których znam, którzy byli na listach tej akurat partii. Tam też są różni ludzie, a program ugrupowania jest najbliższy cywilizacji chrześcijańskiej.

Celem tej akurat nagonki jest chyba zmuszenie Kościoła, żeby zaczął ten PiS dla zasady atakować?

Żeby milczał o sprawach publicznych, społecznych, chował głowę w piasek. Czy prymas Stefan Wyszyński nie był oskarżany o uprawianie polityki, kiedy sprzeciwiał się komunistom? A święty Jan Paweł II nie nazywał rzeczy po imieniu? Nie przestrzegał rządzących, gdy źle czynili?

Można dziś powiedzieć, że księża są prześladowani?

Oczywiście. Dziś głównie przez odbieranie dobrego imienia. Budowanie nagonki społecznej. Ksiądz nie może wyjść na ulicę...

...a już zwłaszcza z dziećmi. W mojej parafii kilka miesięcy temu młody ksiądz opowiadał ze łzami w oczach, że szedł przez pl. Zamkowy w Warszawie z grupą ministrantów i leciały w ich kierunku ohydne wyzwiska. Świetny, pełen pasji ksiądz.

No właśnie: czy to nie jest przez media? Czy to nie jest skutek kłamstwa, hejtu, nagonek? Albo to, co było przed katedrą na warszawskiej Pradze, gdzie człowiek z urbanowego towarzystwa przebrał się w sutannę. Jakim prawem? I jeszcze dzieci w to wciągnęli. Jak można? To świadoma nauka nienawiści do księdza. Czy to nie jest prześladowanie? Warto popatrzeć, jak naprawdę księża żyją. Często

eprasa.pl 5322f2ded0

skromnie, często samotnie w parafii. Kto im pomaga? Postawmy się w sytuacji księży i zadajmy sobie pytanie, czy sami byśmy to wytrzymali?

Podobno zwłaszcza młodzi księża przeżywają te nagonki ciężko. Bo starsi doświadczyli komunistycznych prześladowań i są bardziej zahartowani.

Tak. I niektórzy nie wytrzymują.

Minęło 41 lat od wyboru Karola Wojtyły na papieża. Przed Radiem Maryja stoi pomnik Ojca Świętego i słowa: „Ja Panu Bogu dziękuję codziennie, że jest w Polsce takie radio, że się nazywa Radio Maryja". Pomnik papieża Polaka stoi też przed WSKSiM.

Bo gdyby nie Jan Paweł II, tego radia by nie było. To mogę powiedzieć z pełną świadomością. Wiem, że były różne rozmowy przy stole u Ojca Świętego, nie zawsze byłem ich uczestnikiem. Ale wiem, że on był zawsze za radiem, zawsze go bronił. Raz przy kolacji, na którą zaproszenie było wielkim dla mnie zaszczytem i zaskoczeniem, zapytał mnie: „Kto przeszkadza Radiu Maryja?". Nie skarżyłem się, broń Boże, nie wypada. Odpowiedziałem: „Libertyni, Ojcze Święty". Bo taka prawda, libertyński duch.

A teraz mieliśmy ten sabat pod oknem papieskim.

Zostawmy... Bierzmy na rozum, ale przede wszystkim módlmy się i działajmy. To jest działanie szatańskie, trzeba to widzieć i wyciągać wnioski. Jest u nas jeden ojciec, wspaniały misjonarz, który zbudował m.in. piękne sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Pietropawłowsku. Ma 90 lat, do niedawna pościł trzy razy w tygodniu o chlebie i wodzie, a teraz ze względu na wiek czyni to raz w tygodniu. Zapytałem go, dlaczego tak czyni. Odpowiedział, że za Panem Jezusem. Tego szatana można wypędzać tylko modlitwą i postem. Dlatego bardzo się ucieszyłem, kiedy w naszym sanktuarium powstała inicjatywa świeckich mężczyzn, którzy chcieli coś zrobić dla odrodzenia duchowego Europy. Postanowili ofiarować jeden dzień w tygodniu o chlebie i wodzie, z modlitwą, różańcem i komunią świętą. Zgłosiło się prawie 10 tys. ludzi. Później to samo zrobili na wybory parlamentarne. A teraz jest akcja „Modlitwa za posła". Rozdają obrazki z modlitwą do Ducha Świętego, którą się modlił jeszcze mały Karol Wojtyła, dostał ją od ojca. Wielu prosi, świadomie, o bardzo trudnego posła czy senatora.

> Potem była walka o koncesję ogólnopolską dla Radia Maryja. Zapadła mi w pamięć scena, jak pewien wiceminister łączności krzyczy na mnie: „My ojca zniszczymy, my mamy media". Taka walka szła

A ojciec za któregoś się modli?

Jeszcze za żadnego [śmiech]. Na razie za wszystkich, ale zobaczymy, pewnie kogoś wylosuję.

Mnożą się profanacje. Jak katolicy powinni na nie reagować?

Modlitwa, wychowanie, ale i prawa. Trzeba respektować prawo. A prawo takich rzeczy zabrania, w odniesieniu do każdej religii.

Przed nami też wybory prezydenckie. Jak ojciec dyrektor widzi ten wybór stojący przed Polakami?

Ja będę głosował na prezydenta Andrzeja Dudę, nie mam już wątpliwości. W pewnym momencie byłem nawet trochę zaniepokojony... Ale powiedziałem mu to, jak miałem szczęście rozmawiać z panem prezydentem raz czy drugi. Uważam, że ten człowiek bardzo ciężko pracuje dla Polski, każdego dnia. On nam nie przynosi wstydu, ale honor. I oby się nie zmienił, nie osłabł. Życzę mu zdrowia i już nie mam co do niego wątpliwości. I znowu powiedzą, że polityka. Ale ja jestem obywatelem i mam obowiązek wybierać.

Trudno będzie prezydentowi Dudzie wygrać?

Boję się. Niektóre partie wydawały mi się bardziej rozumne. Zostawiam już tych szaleńców bardziej lewicowych, to często pokolenie tych, którzy działali przeciwko Polsce, gdy m.in. w 1920 r. bolszewicy szli na Warszawę. Myślałem jednak, że PSL jest bardziej propolskie. Nie może być tylko ja, za wszelką cenę. Nie może być, że na złość babci odmrożę sobie uszy. Albo Konfederacja – myślałem, że coś wartościowego z tego będzie... Ale jestem bardzo, bardzo rozczarowany. Sądziłem, że są bardziej za Polską, bardziej propolscy. A tu raz po raz widzę szkodzenie Polsce. Można napominać, można z miłością zwracać uwagę, ja też to często robię. Ale nie można szkodzić. Jeżeli komuś zależy na Polsce, nie będzie dobrego ducha niszczył.

Te 28 lat Radia Maryja to też 28 lat nagonek na ojca dyrektora. Skąd siła, by to przetrwać?

Musiałbym mówić bardzo osobiście... Ale dobrze. Mam motywację. Wiem, że popełniam błędy, czasami działam w emocjach, niekiedy pojawiają się negatywne myśli. Ale zawsze się z tego spowiadam. Mam więc spowiedź. Zadaję też sobie pytanie: „Co myśli o tym Pan Jezus"?. On nie tyle wycierpiał. On, Boży Syn, przyszedł do nas posłany od Ojca, przyjął ludzkie ciało, mówił nam o Królestwie Niebieskim, mówił, że przygotowuje nam miejsce w niebie. I tak został potraktowany przez tych, którym tyle dobra wyświadczył. To jak ja przy nim mam się skarżyć? Tego uczyli nas: mnie, siostrę, braci, już w domu, a najwięcej nasza mama. No i jeszcze jedno: ci, którzy tak brutalnie atakują, często nie wiedzą, co robią. Ktoś ich też mógł zbałamucić. Za rzadko sami chcą sprawdzić, poszukać prawdy, do czego nieustająco zachęcam.

52/1019/F

eprasa.pl 5322f2ded0

niedziela poleca



cena **19,90 zł** + KOSZT WYSYŁKI

Kalendarz domowy

Życie ma 365 stron, warto je odkrywać w 2020 r. – dzień po dniu. Siódma edycja bestsellerowego terminarza!

Znajdziesz w nim m.in.:

- słynne porady wodolecznicze ks. Kneippa
- przepisy
- miejsce do notowania
- codzienne listy zakupów
- informacje: patron dnia, imieniny
- rady, ciekawostki oraz sentencje
- godziny wschodów i zachodów Słońca oraz Księżyca
- ewangeliczne motta dnia
- niedzielne Ewangelie z komentarzami

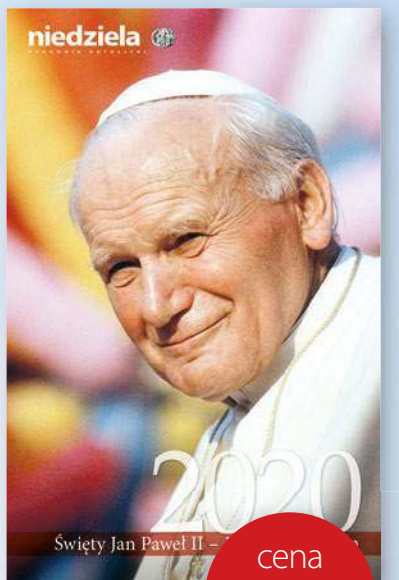


cena **29,90 zł** + KOSZT WYSYŁKI

Kalendarz pastoralny

Kalendarz pastoralny 2020 to doskonała pomoc nie tylko dla kapłanów i katechetów czy stowarzyszeń zakonnych i ruchów, ale też dla wszystkich, którym bliskie jest życie liturgią Kościoła

- czytania mszalne na każdy dzień, przypomnienia na wszystkie niedziele związane z bieżącym rokiem liturgicznym
- liturgiczne wspomnienia mniej popularne w Kościele w Polsce
- papieskie intencje Apostolstwa Modlitwy



cena **4 zł** + KOSZT WYSYŁKI

Kalendarz ścienny Święty Jan Paweł II 100-lecie urodzin

- wypowiedzi Papieża Polaka nawiązujące do wydarzeń i faktów z jego życia
- krótkie kalendarium życia Karola Wojtyły
- duży format: 28 x 43 cm

Zamówienia można składać:
pocztą: **Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela", 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa**
telefonicznie: **34 365 19 17,** pocztą elektroniczną: **kolportaz@niedziela.pl**

www.ksiegarnia.niedziela.pl

eprasa.pl 5322f2ded0



Decydująca dogrywka

Fot. Stefan Maszewski/REPORTER

Wybory parlamentarne zakończyły się remisem. Dlatego o tym, kto przez najbliższe lata będzie sprawował władzę w Polsce, zadecyduje dopiero dogrywka, którą będą przyszłoroczne wybory prezydenckie. I niezależnie od tego, kto ostatecznie stanie naprzeciwko Andrzeja Dudy, od wyniku tych wyborów zależeć będą dalsze losy PO i PiS, a wraz z nimi kształt całej polskiej sceny politycznej



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Październikowe wybory zakończyły się klinczem, niczego ostatecznie nie rozstrzygając. Ich rezultatem jest scena polityczna niemal równo podzielona na dwie połowy, gdzie żadna ze stron nie ma wystarczającej przewagi nad drugą. Minimalna większość PiS w Sejmie została zrównoważona równie minimalną większością opozycji w Senacie, co grozi możliwym patem w parlamencie.

W tej sytuacji kwestią kluczową stają się w Polsce przyszłoroczne wybory prezydenckie. Będą one dogrywką niedawnych wyborów parlamentarnych, bo dopiero wybór prezydenta wyłoni rzeczywistego zwycięzcę.

Reelekcja Andrzeja Dudy otworzy nie tylko drogę do kontynuacji reformy państwa prowadzonej przez PiS, lecz również może się stać początkiem trwałej marginalizacji PO i znaczącej przebudowy sceny politycznej w przyszłości. Z kolei wygrana kandydata PO – a wszystko wskazuje na to, że to właśnie reprezentant tej partii będzie głównym rywalem urzędującego prezydenta – utrwali dotychczasową dominację Platformy po stronie antypisowskiej i może się skończyć szybkim odsunięciem PiS od władzy. Wygląda więc na to, że przyszłoroczne wybory prezydenckie będą dla obu stron bitwą o wszystko.

CAŁA WŁADZA DLA SCHETYNY

Scenariusz działań Platformy został już wstępnie naszkicowany. Jak najszybsze wyłonienie kandydata, a właściwie kandydatki, bo mówi się przede wszystkim o Małgorzacie Kidawie-Błońskiej, i rozpoczęcie kampanii.

eprasa.pl 5322f2ded0



Szybkość decyzji jest tu bardzo istotna, ponieważ pozwala na przejęcie inicjatywy w całym obozie antypisowskim. Chodzi również o zablokowanie wewnętrznych rozliczeń po wyborach parlamentarnych w PO. Start kampanii wymaga bowiem pełnej mobilizacji i skupienia się na jednym celu, którym jest pokonanie Andrzeja Dudy.

Dzisiaj Grzegorz Schetyna walczy o przetrwanie, jeśli jednak uda mu się przeforsować kandydata na prezydenta jeszcze przed styczniowymi wyborami szefa partii, to będzie miał dużą szansę, aby pozostać na stanowisku przewodniczącego PO. Nikt nie będzie raczej zmieniał dowódcy w trakcie decydującej bitwy. Ewentualne zwycięstwo nad Dudą sprawi za to, że Schetyna, dziś oskarżany o zły wynik w wyborach do Sejmu, stanie się niekwestionowanym liderem Platformy. W tym sensie bitwa o prezydenturę jest również bitwą o polityczną przyszłość Schetyny.

Szybkie wystawienie Kidawy-Błońskiej do walki o prezydenturę można będzie zatem uznać za sygnał, że Schetyna kontroluje sytuację. Kidawa-Błońska może bowiem uchodzić za faworytkę obecnego kierownictwa PO. W razie jej zwycięstwa nad Dudą Schetyna nie tylko umocni się w fotelu przewodniczącego PO, lecz będzie mógł również ciągnąć za wszystkie najważniejsze sznurki w państwie.

Wygrana w wyborach prezydenckich otworzyłaby Platformie drogę do pełni władzy. Dziś w PO nikt nie ukrywa, że następnym krokiem jest rozpisanie nowych wyborów parlamentarnych, w których uda się pokonać PiS. W przypadku odbicia Pałacu Prezydenckiego taki scenariusz jest całkowicie realny, a Schetyna, na którym dziś wiesza się psy, ma szansę stać się głównym rozgrywającym w państwie i zająć miejsce zajmowane przez Jarosława Kaczyńskiego.

ZMIANY SĄ NIEUCHRONNE

Sytuacja, w której PO przejmuje urząd prezydenta, a potem – na fali zwycięstwa – wygrywa przyśpieszone wybory parlamentarne, oznacza powrót do stanu sprzed 2015 r. Najważniejszą konsekwencją polityczną wzmocnienia Platformy byłoby zabetonowanie istniejącego układu sił opartego na rywalizacji między PO i PiS, przy czym partia Kaczyńskiego znalazłaby się oczywiście, tak jak kiedyś, w roli głównej siły opozycyjnej.

Zupełnie innych następstw należałoby oczekiwać, gdyby wybory prezydenckie wygrał Duda. Oznaczałoby to bowiem stopniową utratę przez Platformę inicjatywy po stronie opozycyjnej, głównie na rzecz znajdujących się na lewej flance ugrupowań lewicowych z SLD na czele. Można sobie wyobrazić, że w dalszej perspektywie doprowadziłoby to nawet do trwałej marginalizacji PO i podbierania jej elektoratu z jednej strony przez lewicę, a z drugiej przez umiarkowanie konserwatywny PSL. Oczywiście siłą PO pozostają dziś samorządy i aparat terenowy, jednak w przypadku, gdyby Platformie groziło pozostawanie w opozycji przez kolejne cztery lata, te zasoby musiałyby się prawdopodobnie powoli wykruszać.

Długofalową konsekwencją zwycięstwa Dudy może więc być korozja

REKLAMA



PATRONAT MEDIALNY: Jedynka POLSKIE RADIO HISTMAG.ORG

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

70/1019/F

eprasa.pl 5322f2ded0

dotychczasowego układu sceny politycznej opartego na duopolu PO i PiS oraz zastąpienie go w przyszłości otwartą rywalizacją między lewicą a prawicą. Ale choć przyszłoroczne wybory prezydenckie prawdopodobnie będą oznaczać dalsze być albo nie być dla Platformy, to ich wynik nie będzie również obojętny dla przyszłości rządzącej prawicy.

Reelekcja obecnego prezydenta dałaby mu bardzo silny mandat, nie tylko w znaczeniu konstytucyjnym, jako głowie państwa, lecz również w politycznym – jako liderowi, który zdołał uchronić obóz rządzący przed prawdopodobną utratą władzy. Bo nie da się ukryć, że dalsze losy tego obozu zawisły dziś przede wszystkim na Andrzeju Dudzie i na tym, czy wygra on wybory.

Oczywiście kampania i ewentualna wygrana Dudy nie będą możliwe bez zbiorowego wysiłku wszystkich środowisk skupionych wokół PiS oraz ich pełnej mobilizacji. Jednak w przypadku, gdyby obecny prezydent nie wywalczył reelekcji, należy się spodziewać, że zostanie on obciążony pełną, zarówno zawinioną jak i niezawinioną przez siebie, odpowiedzialnością za porażkę. Przegrana może też stać się przyczyną wewnętrznej dezintegracji i – w efekcie – poważnego osłabienia obecnego obozu prawicowego. Walka idzie więc – i to po obu stronach barykady – o naprawdę dużą stawkę.

WYBORCY POSZUKIWANI

Przed prezydentem Dudą stoi niełatwe zadanie. Bo niezależnie od tego, ilu rywali stanie przeciwko niemu, to i tak w drugiej turze Duda będzie musiał się zmierzyć tylko z jednym z nich, który w decydującym głosowaniu zgarnie większość głosów oddanych na kandydatów opozycji w pierwszej turze.

Przy obecnym niemal równym podziale głosów wyborców między PiS i opozycję o zwycięstwie przesądzi zatem prawdopodobnie minimalna przewaga jednego z kandydatów. A więc mobilizacja elektoratu, tak ważna w wyborach parlamentarnych, staje się dziś jeszcze ważniejsza. Przy czym jasne jest, że tak zwane twarde elektoraty nie wystarczą i będzie trzeba jeszcze intensywniej niż dotąd poszukiwać nowych wyborców. Dla obozu rządzącego, który i tak w ostatnich wyborach do Sejmu osiągnął – jako formacja polityczna – największą liczbę oddanych głosów w historii III RP, znalezienie dodatkowych wyborców może być trudne. Szczególnie że kolejne programy socjalne nie wchodzą już w rachubę, a i te dotychczas ogłoszone osiągnęły już – jak się zdaje – maksimum swoich możliwości.

Oczywiście pewną rezerwą, a nawet języczkiem u wagi, może się okazać elektorat Konfederacji, który – jeśli pójdzie głosować w drugiej turze – to raczej nie odda swoich głosów Platformie. Jednak zdobycie jego głosów może wymagać złożenia pewnych deklaracji, np. dotyczących zaostrzenia kompromisu aborcyjnego, liberalizacji polityki gospodarczej czy poluźnienia relacji z USA, co nie tylko jest niezgodne z polityką realizowaną dotąd przez prezydenta i PiS, lecz również może prowadzić do utraty niektórych bardziej centrowych wyborców. A w sytuacji, gdy liczy się każdy wyborca, strata nawet niewielkiej grupki może być ryzykowna.

Pozostaje więc mieć nadzieję, że niechęć wyborców Konfederacji do opozycji antypisowskiej jest silniejsza niż do PiS i, kierując się zdrowym rozsądkiem, opowiedzą się oni przeciwko przejęciu władzy w Polsce przez obóz liberalny.

GRA O WIELKĄ STAWKĘ

Problemy, z którymi będzie musiał się zmierzyć prezydent Duda, są dostrzeżone przez jego rywali. Nieprzypadkowo opozycja skłania się ku wystawieniu kandydatów umiarkowanych. Kidawa-Błońska może uchodzić za kandydatkę teflonową, która unika ostrych sporów światopoglądowych, ale właśnie taka strategia może do niej przyciągnąć wielu wyborców środka, również tych, którzy nie głosowali na PO, albo w ogóle nie poszli do ostatnich wyborów. Dokładnie o tę samą grupę będzie chciał zawalczyć Duda. Chodzi więc o to, aby wyrwać z niej rywalowi jak najwięcej głosów.

Brak silnego kapitału politycznego i dużego doświadczenia nie musi być tu przeszkodą, czego dowodem może być zwycięska kandydatura samego Dudy w 2015 r. Widać więc, że PO częściowo odrobiła lekcję z poprzednich wyborów prezydenckich.

Kapitałem Kidawy-Błońskiej, wyśmiewanym przez wielu publicystów, może być za to dla sporej części wyborców jej pochodzenie (jest prawnuczką czołowych polityków przedsanacyjnej Polski: premiera Władysława Grabskiego i prezydenta Stanisława Wojciechowskiego).

Oczywiście na giełdzie pojawiają się inne osoby, które mogłyby wystartować z ramienia PO, ale ich nazwiska należy dziś traktować w kategoriach plotek lub wewnątrzśrodowiskowych rozgrywek. Zagrożeniem dla Kidawy-Błońskiej może być co innego: utrata kontroli nad partią przez Schetynę, gwałtowny spadek jej notowań (wtedy trzeba byłoby poszukać innego rywala dla Dudy) lub kandydatura Donalda Tuska. Jednak w tej chwili żadne z tych zagrożeń nie wydaje się na tyle realne, aby zaszkodzić wysunięciu jej kandydatury.

Kandydaci innych formacji, w PSL wskazuje się np. na Władysława Kosiniaka-Kamysza, będą startować nie po to, aby przejść do drugiej tury i wygrać – arytmetyka głosów oddanych na ich partie w październikowych wyborach wskazuje, że to niemożliwe – ale po to, aby umocnić swoją pozycję polityczną. Prawdziwa bitwa rozegra się więc – tak jak jest już od wielu lat – między PiS i PO. I niezależnie od tego, kto ostatecznie stanie naprzeciwko Dudy, od wyniku tej bitwy będą zależeć dalsze losy obu formacji.

Stawka jest więc bardzo wysoka, ale nie oznacza to bynajmniej, że prawica stoi na straconej pozycji. Przeciwnie, jej atutem jest wiarygodność, dobra kondycja gospodarcza państwa oraz ponad 8 mln wyborców, których jednak trzeba będzie przy sobie utrzymać. Dudę czeka więc wytężona kampania wśród ludzi, dokładnie taka, jaką przeprowadził niemal pięć temu. Będzie to oczywiście trudniejsze, bo jako urzędujący prezydent ma jeszcze wiele państwowych obowiązków. Z drugiej jednak strony może odwołać się do wszystkich osiągnięć własnego obozu z ostatnich czterech lat. Musi też powiedzieć ludziom wprost, że bez ich głosów większość tych sukcesów zostanie zaprzepaszczona.

W 2015 r. Andrzej Duda potrafił przekonać do siebie wyborców, a nie miał wtedy takich atutów, jakie posiada dziś. Czemu więc nie mógłby tego powtórzyć w przyszłym roku?

eprasa.pl 5322f2ded0

Jak finansować miks energetyczny Polski?

Prezes Piotr Woźniak: „Dywersyfikacja źródeł energii to dla polskich i działających tu firm kwestia bezpieczeństwa energetycznego, ale też konkurencyjnych cen"

O tym, jak sprawiedliwie i bezpiecznie przejść przez proces transformacji energetycznej, rozmawiali paneliści podczas Kongresu 590, który odbył się w podrzeszowskiej Jasionce. Z debaty największych spółek z branży energetycznej wynika, że w najbliższych latach maleć będzie rola węgla na rzecz odnawialnych źródeł energii. Spowodowane jest to przede wszystkim coraz bardziej restrykcyjną polityką klimatyczno-energetyczną Unii Europejskiej, która wyznacza nowe cele redukcji emisji CO_2 i zanieczyszczeń powietrza, a także wymusza poprawę efektywności energetycznej i wzrost wykorzystania OZE. Funkcję stabilizującą w coraz większym stopniu będzie pełnił gaz.

Debatę podczas Kongresu 590 otworzył szef resortu energii Krzysztof Tchórzewski. Minister zaprezentował plan transformacji, jakiej będzie musiał zostać poddany polski sektor energetyczny, by sprostać wyzwaniom stawianym m.in. przez ambitną politykę klimatyczno-energetyczną Unii Europejskiej, a także globalne trendy, takie jak odchodzenie od wykorzystania paliw kopalnych czy bezwarunkowe zwiększanie wykorzystania OZE.

Minister Tchórzewski podkreślił, że zmiany są potrzebne i nieuniknione, jednak transformacja w Polsce i całej UE musi zapewnić konsumentom pewny i stały dostęp do energii w akceptowalnych cenach i przy stopniowym minimalizowaniu negatywnego wpływu energetyki na środowisko naturalne.

Do słów ministra odwołał się m.in. prezes PGNiG Piotr Woźniak, który przypomniał, że krajem najbardziej zaawansowanym we wdrażaniu energetyki odnawialnej jest Dania.

– Kiedy popatrzymy na średnie ceny energii elektrycznej dla odbiorców indywidualnych w Danii, to wynoszą one ponad 0,30 euro za kWh. W Polsce niecałe 0,13 euro. Aby uniknąć drastycznych podwyżek cen energii, warto lepiej się przyjrzeć źródłom tradycyjnym.

Prezes Woźniak podkreślił, że dywersyfikacja źródeł dostaw gazu postępuje bardzo dobrze. Kupujemy paliwo skroplone (LNG) z USA i Kataru. W ub.r. w naszym portfelu importowym osiągnęliśmy 20 proc. LNG. Docelowo chcemy w pierwszej kolejności zaopatrywać się w gaz z własnych złóż w Norwegii, w drugiej – nasze zapotrzebowanie ma pokrywać LNG. Źródła te będą stanowiły uzupełnienie do wydobycia krajowego.



61/0919/F

– W Polsce wydobywamy rocznie 4 mld m sześc. gazu, ale złoża nam się wyczerpują i nie spodziewamy się nowych, dużych odkryć – podkreślił prezes Woźniak. Dlatego firma z powodzeniem sięga po innowacyjne metody pozwalające na utrzymanie poziomu krajowego wydobycia, jak Zintegrowany System Zarządzania Złożem – „Cyfrowe złoże". Platforma ta przyczynia się do realizacji kluczowych dla spółki zadań, tj. zwiększenia sczerpania i przedłużenia żywotności złóż, a jednocześnie do obniżenia kosztów produkcji i większego zwrotu z inwestycji w wydobycie. PGNiG nie rezygnuje także z niekonwencjonalnych źródeł gazu. Na Górnym Śląsku rozwija innowacyjny projekt Geo-Metan, pozwalający wydobywać gaz wysokometanowy występujący w złożach węgla kamiennego. Metan wykorzystywany jest obecnie do produkcji energii elektrycznej, a już niedługo trafi bezpośrednio do sieci dystrybucyjnej.

Spółka czeka również na gazociąg Baltic Pipe, którym gaz ze złóż PGNiG w Norwegii popłynie do Polski. Spółka ma obecnie na norweskim szelfie 26 koncesji. W części z nich już uruchomiono produkcję, kolejne dostarczą gaz wkrótce.

Dywersyfikacja źródeł energii to dla polskich i działających tu firm kwestia bezpieczeństwa energetycznego, ale też konkurencyjnych cen. Jak zauważył prezes PGNiG, w coraz większym stopniu o nasz surowiec dopominają się także producenci energii elektrycznej, np. Elektrownia Dolna Odra. Takich przykładów jest więcej. Kiedy słyszymy o planach spółek energetycznych, to prawie wszystkie chcą w dużym stopniu przejść na gaz – mówił szef PGNiG.

eprasa.pl 5322f2ded0



Wierzę w działania pozytywne

Coraz więcej Polaków, w tym także naszych wyborców, uważa, że z programami społecznymi doszliśmy do granicy. Dlatego w nadchodzącej kadencji trzeba dużo mocniej dowartościować tych, którzy ciężko pracują

Jacek Karnowski rozmawia z Jarosławem Gowinem, liderem Porozumienia, wicepremierem, ministrem nauki i szkolnictwa wyższego

W wyborach parlamentarnych Porozumienie wprowadziło do Sejmu 18 posłów, co zostało uznane za wielki sukces. Czy na waszych kandydatów głosowali jacyś określeni wyborcy? Tę grupę coś łączy?

Jarosław Gowin: Przede wszystkim cieszę się ze zwycięstwa naszego obozu politycznego, wyniku całej Zjednoczonej Prawicy. Ale rzeczywiście Porozumienie wprowadziło 18 posłów i dwóch senatorów. Poparli nas wyborcy konserwatywni w sferze wartości, a jednocześnie nastawieni zdecydowanie wolnorynkowo.

W powszechnej opinii wybory przyniosły wzmocnienie skrzydeł obozu rządzącego: Porozumienia i Solidarnej Polski. To będzie inna kadencja?

To będzie trudna kadencja: brak większości w Senacie, wyrównane wybory prezydenckie, oznaki spowolnienia w światowej gospodarce... Dlatego kluczowe jest, byśmy w ramach Zjednoczonej Prawicy stawiali przede wszystkim na solidarną

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5322f2ded0

współpracę, a nie na podkreślanie wewnętrznych różnic. Ta współpraca powinna być oparta na dwóch zasadach. Z jednej strony uznanie przez PiS pewnej podmiotowości, zwłaszcza programowej, mniejszych partnerów. Z drugiej – musi być jasna hierarchia. Porozumienie tytaniczną pracą wprowadziło 18 posłów i dwóch senatorów. Nie mieliśmy ani złotówki z budżetu, nie mieliśmy wsparcia mediów, czy to publicznych, czy to prywatnych, nasi kandydaci często zdobywali mandaty z niskich miejsc dzięki ogromnemu wysiłkowi struktur partyjnych. Ale wiemy, że jesteśmy w Sejmie dzięki temu, że startowaliśmy z listy PiS. Jeżeli któremukolwiek z polityków czy to Porozumienia, czy Solidarnej Polski zaszumiałoby w głowie i chciałby się rozpychać łokciami, to działałby bardzo krótkowzrocznie.

Zaraz po wyborach poinformował pan o zakończeniu błyskawicznych negocjacji z PiS. Niczego nie chcieliście? Nie było żadnego sporu?

Poinformowałem opinię publiczną o zakończeniu negocjacji, bo tak ustaliliśmy z prezesem Kaczyńskim. Czy nie było sporów? Oczywiście, że były. Nie dotyczyły jednak personaliów, ta sprawa zajęła prezesowi Kaczyńskiemu, premierowi Morawieckiemu i mnie nie więcej niż dziesięć minut.

A sprawy programowe?

O tym rozmawialiśmy kilka godzin, zastanawiając się też nad diagnozą sytuacji. Moim zdaniem wygląda ona następująco. Wybory przyniosły wielki sukces Zjednoczonej Prawicy, bo głosowało na nas ponad 8 mln wyborców, więcej niż na jakąkolwiek listę od 1989 r. Jednocześnie jeszcze więcej Polaków oddało głos na listy opozycyjne – mimo najwyższego w UE tempa wzrostu gospodarczego, najniższego bezrobocia, rekordowych programów społecznych realizowanych przy malejącym długu publicznym. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało, zwłaszcza że struktura demograficzna naszego elektoratu nie jest korzystna.

Pana zdaniem dlaczego?

W obozie rządzącym formułowane są różne diagnozy. Jedni mówią, że reformy powinny być radykalniejsze, inni, w tym ja, oceniają, że otwieraliśmy zbyt dużo pól konfliktów i zniechęciliśmy do siebie szeroko rozumianą klasę średnią. Nie rozstrzygniemy tego dylematu bez pogłębionych analiz.

Czy w trakcie negocjacji z PiS nie było sporów? Oczywiście, że były. Nie dotyczyły jednak personaliów, ta sprawa zajęła prezesowi Kaczyńskiemu, premierowi Morawieckiemu i mnie nie więcej niż dziesięć minut

Poważna nadzieja na samodzielną większość pojawiła się jednak dopiero po wyborach europejskich. PiS uruchomiło wielkie masy wyborców na tle dwóch sporów: o dobre imię Polski i roszczenia w relacjach polsko-żydowskich oraz – co chyba ważniejsze – o wartości, w kontekście światopoglądowej ofensywy lewicy. Czy to nie jest pewien wskaźnik?

Nie zgadzam się z tą diagnozą. Relacje polsko-żydowskie nie odgrywają istotniejszej roli w polskiej polityce, być może również dlatego, że Polacy mają pewność, że dopóki rządzi Zjednoczona Prawica, to żadnego zwrotu mienia bezspadkowego nie będzie. Spór o LGBT rzeczywiście spolaryzował opinię publiczną i przyczynił się do naszego zwycięstwa w wyborach europejskich, w dużej mierze za sprawą środowisk skrajnej lewicy, które zachowywały się w sposób urągający poczuciu smaku i zdrowego rozsądku ogromnej większości Polaków. Nie podzielam jednak pańskiego zdania, że dopiero w maju pojawiła się szansa na samodzielną większość. Od dwóch lat sondaże wskazywały, że popiera nas ponad 40 proc. wyborców. Ale zakładając, że ma pan rację i między wyborami do Parlamentu Europejskiego i do Sejmu zaszło coś, co uszczupliło skalę poparcia dla Zjednoczonej Prawicy, to roboczo sformułowałbym hipotezę, że miało to związek przede wszystkim z niektórymi zapowiedziami gospodarczymi. Wzbudziły one zaniepokojenie wśród przedsiębiorców, i to zwłaszcza tych małych, którzy wcześniej zazwyczaj głosowali na PiS.

Wysokością proponowanej płacy minimalnej?

Nie tylko. Wcześniej była zapowiedź likwidacji ograniczenia składek na ZUS do 30-krotności przeciętnego wynagrodzenia czy pewne zmiany w prawie karnym postrzegane przez przedsiębiorców jako zbyt drakońskie. Dodałbym jeszcze obserwację z kampanii bezpośredniej: coraz więcej Polaków, w tym także naszych wyborców, uważa, że z programami społecznymi doszliśmy do granicy. I nie chodzi tylko o możliwości budżetowe, ale o pytanie o proporcje między działaniami socjalnymi a działaniami prorozwojowymi. I jeszcze coś: obawa, że przy tej skali programów społecznych mogą one być nadużywane przez tych, którzy z premedytacją żyją na koszt państwa. Dlatego uważam, że w nadchodzącej kadencji trzeba dużo mocniej dowartościować tych, którzy ciężko pracują.

Na drodze do jeszcze wyższego poparcia nie stanęła jednak Koalicja Obywatelska, nie stanęła lewica, ale stanęły PSL i Konfederacja, dwa ugrupowania odwołujące się do prawicowych wartości. Zsumowane głosy PiS, Konfederacji i PSL dają ponad 10,5 mln. Można postawić tezę, że tu coś się wymknęło. Może część młodzieży chce twardej odpowiedzi na zagrożenia cywilizacyjne i stąd skok poparcia dla Konfederacji?

eprasa.pl 5322f2ded0

PSL odebrało nam właśnie tę część elektoratu miejskiego, który poczuł się zaniepokojony tym, co ocenia jako „rozdawnictwo". Ci wyborcy są dla nas do odzyskania. To samo dotyczy drobnych przedsiębiorców, którzy, jak przypuszczam, dość szeroko zagłosowali na Konfederację. Ich też możemy do siebie ponownie przekonać. Czy dotyczy to jednak trzonu wyborców tej partii? Tu już nie byłbym taki pewien. Widzę trzy zasadnicze trudności. Po pierwsze, to ugrupowanie, które głosi poglądy radykalnie wolnorynkowe, bliskie mi, ale dalekie Jarosławowi Kaczyńskiemu, Mateuszowi Morawieckiemu czy Zbigniewowi Ziobrze. Po drugie, w sprawach światopoglądowych Konfederacja stawia wszystko na ostrzu noża. Gdybyśmy np. poparli postulat całkowitego zakazu aborcji, to nie tylko uruchomilibyśmy mechanizm wychylenia się wahadła w lewo, lecz z całą pewnością stracilibyśmy dużą część umiarkowanych wyborców, którzy zapewne przerzuciliby się na PSL. I wreszcie rzecz najtrudniejsza. Między Zjednoczoną Prawicą a Konfederacją rozciąga się przepaść w sprawach polityki zagranicznej. Chodzi o wyraźnie prorosyjskie nastawienie konfederatów. Trudno je traktować jako chwyt stosowany na użytek kampanii. Przecież w wypowiedziach Janusza Korwin-Mikkego akcenty prorosyjskie są lejtmotywem od 30 lat.

Chodzi jednak nie o te partie, ale o ich wyborców. Może tam trzeba skuteczniej łowić?

Jeżeli pan redaktor sugeruje, że gdybyśmy poszli bardziej na prawo, to przejęlibyśmy ten elektorat bez strat w centrum, to uważam, że nie ma pan racji. Zresztą wielu wyborców Konfederacji to typowy elektorat buntu, który na Zjednoczoną Prawicę patrzy jako na element „systemu" i nawet mu nie przejdzie przez myśl, by na nas głosować.

Od 2005 r. nie było jednak przypadku, w którym prawica pod sztandarem PiS utorowała sobie drogę do jakiegoś sukcesu, zabiegając o tzw. wyborców środka. Każdy z nas zna jakichś „lemingów" i wie, że to grupa wyjątkowo mocno zablokowana, bardziej emocjonalnie niż rozumowo. Nawet badania naukowe potwierdzają, że to ludzie nieskłonni do jakiegokolwiek dialogu. Ostatnie wybory także pokazały, że antypisowskość jest tak ważnym elementem ich tożsamości, że próba ich pozyskania będzie działaniem jałowym.

Rzeczywiście, romans między nadobną panną, którą jest klasa średnia, a chwackim młodzieńcem, czyli Zjednoczoną Prawicą, nie układa się w tej chwili najlepiej. Pan widzi problem tylko w fochach nadobnej panny. Ja chcę się zaś zastanawiać, czy aby młodzieniec nie jest trochę szczerbaty, trochę kostropaty. Może powinniśmy otworzyć się programowo na tę część postulatów klasy średniej, która jest zgodna z interesem państwa. Bo dziś najważniejszy wyścig na świecie to wyścig o talenty, o wysokiej klasy specjalistów. Jeżeli pan mówi, że możemy się od tych ludzi odwrócić, bo oni i tak na nas nie zagłosują, to ja się na takie podejście kategorycznie nie zgadzam. Bo można wygrywać wybory bez poparcia klasy średniej, ale na dłuższą metę nie da się skutecznie rządzić i rozwijać Polski bez jakiejś formy współpracy z tymi ludźmi.



Fot. Andrzej Wiktor

Czy po czterech latach rządów możemy jednak wskazać jakieś przykłady miejsc, w których ta współpraca się powiodła? Była pańska droga w sferze szkolnictwa wyższego, była droga premiera Glińskiego w sferze kultury, obie nieco inne, ale obie próbujące ten cel osiągnąć. Poszły na to ogromne pieniądze, mnóstwo wysiłku, a można powiedzieć, że skończyło się tak, jak zaczęło: gwizdami.

To, co spotykało premiera Glińskiego ze strony części kręgów artystycznych, było skrajnie niesprawiedliwe. Ja natomiast wcale nie narzekam na współpracę ze środowiskiem akademickim. Proszę zwrócić uwagę, że duża część wybitnych naukowców, niekoniecznie – delikatnie mówiąc – o poglądach prawicowych, popiera moje reformy. Z kolei minister Emilewicz prowadzi udany dialog z organizacjami antysmogowymi, często zorientowanymi raczej lewicowo. Wspomniany przed chwilą premier Gliński jest bardzo wysoko ceniony przez środowiska NGO-sów za uruchomienie dużych programów grantowych. Na pewno można podać wiele innych podobnych przykładów z obszaru pozostałych ministerstw.

Z drugiej strony mamy casus prof. Aleksandra Nalaskowskiego. Nie chodzi mi o ten konkretny przy-

eprasa.pl 5322f2ded0

padek, ale o sprawę dużo poważniejszą: o pewną totalizację środowisk akademickich, o nasycanie uniwersytetów lewicową ideologią. Z tej współpracy, o której pan mówi, w żaden sposób nie wynika pluralizacja. Z kolei bez choćby kawałka uniwersytetu, prawica wcześniej czy później przegra.

Proszę zauważyć, że prof. Nalaskowskiemu włos z głowy nie spadł...

...ale ci, którzy go zawiesili, wysłali czytelny sygnał, co grozi niepokornym. Cel pedagogiczny został osiągnięty.

Przeciwnie. To, że władze Uniwersytetu Mikołaja Kopernika wycofały się z pierwotnej decyzji, jest sygnałem dla środowiska akademickiego, że nie ma przyzwolenia na ograniczanie pluralizmu poglądów i wolności słowa na uczelniach. Ale wracam do pańskiej diagnozy: i w Polsce, i niemal na całym Zachodzie środowiska akademickie w większości mają poglądy lewicowo-liberalne. W jaki sposób chce pan z tym walczyć? Administracyjnie? Chce pan odsuwać ludzi o poglądach lewicowo-liberalnych od pracy na uczelniach? Wiem oczywiście, że nie. Polska prawica ma głęboko zakorzeniony gen wolności. Prostych rozwiązań nie ma. Moim zdaniem należy wejść ze środowiskami opiniotwórczymi w dialog i spróbować przekonać choć część do naszych propozycji. Byłem, jestem i będę natomiast kategorycznie przeciwny jakiemukolwiek ograniczaniu autonomii uczelni. To jeden z fundamentów cywilizacji Zachodu.

Ale te fundamenty podważa druga strona, czyniąc z uniwersytetu narzędzie ideologiczne, mocno przesunięte na lewo. I jest to zjawisko bardzo szerokie, któremu nie sposób zaprzeczyć.

W pańskiej diagnozie jest i wiele racji, i wiele uproszczeń. Przesuwanie się na lewo i skłonność do ideologizacji nauki są wyraźnie widoczne w części środowisk humanistycznych. Takie zjawisko z pewnością jednak nie występuje, w każdym razie na znaczącą skalę, na uczelniach technicznych, medycznych, ekonomicznych. Na uczelniach rolniczych raczej nie znajdzie pan szerokich rzesz wyznawców poglądów Olgi Tokarczuk. A ile przez ostatnie cztery lata było przypadków podobnych do sytuacji prof. Nalaskowskiego? Dosłownie kilka. Gdzieś odwołano wykład wybitnej uczonej, która broni życia, gdzieś jakieś spotkanie z prawicowym politykiem organizowane przez studentów. Powinniśmy strzec się generalizacji w rodzaju frazy o „lewicowych uniwersytetach". W większości przypadków one są po prostu pluralistyczne, choć często z liczebną przewagą osób o poglądach lewicowo-liberalnych.

> Położę się Rejtanem, jeżeli ktoś będzie próbował na uczelniach ograniczać wolność słowa zwolennikom ideologii gender

Do tego mnożące się gender studies, produkujące taśmowo aktywistów skrajnej lewicy, ideologów.

A na ilu uczelniach mamy dziś w Polsce gender studies?

Sądzę, że na każdej większej uczelni.

Otóż to nieprawda. Gender studies jako samodzielny kierunek prowadzone są tylko na Uniwersytecie Opolskim. Byłoby pewnie więcej, ale – co bardzo optymistyczne – nie ma chętnych do studiowania. Owszem są pojedyncze kursy, elementy wplatane do innych studiów. Podsumowując: to, że polemizuję z panem, nie oznacza, że nie widzę problemu. Położę się jednak Rejtanem, jeżeli ktoś będzie próbował ograniczać wolność słowa zwolennikom ideologii gender. Jeżeli są tacy na uczelniach, mają prawo podejmować projekty badawcze, prowadzić zajęcia w tym zakresie. Ale jednocześnie moim obowiązkiem jest stworzenie takich rozwiązań, które zagwarantują pełny pluralizm poglądów i pełną wolność słowa. Bo ma pan rację, że problem wolności słowa na uniwersytetach istnieje. Bywa ona zagrożona nie tyle ze strony władz uczelni, bo to się dzieje sporadycznie, ile ze strony nietolerancyjnej większości, która może wywierać presję na – umownie mówiąc – konserwatywnej mniejszości. I tu być może jakieś wzmocnienie wolności badań i dyskursu naukowego jest potrzebne. Na marginesie: z punktu widzenia nasycania młodych umysłów treściami lewicowymi sytuacja jest dużo poważniejsza w szkołach niż na uczelniach. Uczelnie są dużo bardziej pluralistyczne. Zdziwiłby się pan, jak wielu czołowych polskich naukowców to zwolennicy Zjednoczonej Prawicy.

Presja, o której pan mówi, bywa równie dotkliwa jak represje administracyjne. A może nawet bardziej dotkliwa, bo trudna do nazwania czy pokazania, często nieuchwytna.

To prawda. Ale jeśli ktoś we współczesnym świecie chce być konserwatystą, musi być odważny.

Patryk Jaki stwierdził niedawno, że „trwa proces wrogiej socjalizacji społeczeństwa – zamiany flagi biało-czerwonej na tęczową, społeczeństwa wolnościowo-konserwatywnego na lewackie". Wielu komentatorów zauważa, że na wyborczy rynek wchodzą roczniki mocno lewicowe. Jak obóz rządzący powinien na to wyzwanie odpowiedzieć? Czy ten problem nie powinien stanąć w samym centrum myślenia obozu rządzącego?

Nie bagatelizuję tego, co pan mówi, ale jest pytanie o instrumenty. Sprzeciwiam się wykorzystywaniu instrumentów administracyjnych w polemikach światopoglądowych.

To oczywiście byłaby pułapka. Prawica nie przyjęła „zaproszenia do bycia reżimem", które już na początku jej rządów wystosowały środowiska lewicowe, i to jest jeden

eprasa.pl 5322f2ded0

z kluczy do jej sukcesu. Ale też nie znalazła sposobu na procesy, które podmywają jej fundamenty. Czekanie na śmierć też nie jest żadnym rozwiązaniem.

Pan przywołuje argumenty reprezentantów czegoś, co nazwałbym konserwatyzmem lęku. Ja jestem zwolennikiem konserwatyzmu odwagi. To, w jaki sposób dawać mu wyraz w środowisku akademickim, pokazali dekadę temu studenci, którzy założyli liczne organizacje o profilu konserwatywnym. Przykładem mogą być Młodzi dla Polski, z którego wywodzi się spore grono ministrów czy wysokich urzędników naszego rządu. Mówiąc krótko – trzeba budować to, co 25 lat temu nazwałem chrześcijańskim społeczeństwem obywatelskim. Nie podobają nam się złe książki? Piszmy dobre. Martwimy się o to, czego studenci nauczą się na kiepskich, zideologizowanych wykładach? Głośmy lepsze. Zakładajmy własne organizacje pozarządowe, think tanki, prywatne szkoły, realizujmy projekty artystyczne wychodzące z inspiracji chrześcijańskich. Zwycięstwo w wojnie kulturowej wymaga pracy organicznej i długiego marszu.

Ta recepta na zatrzymanie złych trendów okazała się jednak mało skuteczna w ciągu minionych czterech lat. Jaka jest szansa, że zadziała w kolejnej kadencji?

W pańskich słowach pobrzmiewa ton defetyzmu. A przecież to my decydujemy o programach szkolnych (choć już nie o programach kształcenia na uczelniach, bo to domena ich autonomii). To my możemy kształtować wrażliwość społeczną za pośrednictwem publicznej telewizji i publicznego radia. I musimy sobie zadać pytanie, czy wykorzystujemy te instrumenty odpowiednio. Nie mam czasu na oglądanie telewizji. Ale z tego, co słyszę, to głównym przekazem kulturowym TVP jest disco polo. Czy kultura wysoka jest promowana w dostatecznym stopniu? Wyjąwszy oczywiście TVP Kultura czy pięknie się rozwijający Teatr Telewizji.

Który od pierwszej do ostatniej minuty ogląda kilkadziesiąt tysięcy widzów.

To smutny wskaźnik naszej kondycji kulturowej. Dlatego powiedziałem o konieczności długiego marszu.

Każdy prezes telewizji stanie przed dylematem, jak zapewnić wysoką oglądalność, bez której otoczka informacyjno-publicystyczna będzie trafiała w próżnię.

Rozumiem to. Może zatem pora, by porozmawiać o takim sposobie finansowania mediów publicznych, który uwolni je od jarzma komercjalizacji. W przeciwieństwie do pana nie uważam wcale, że środowiska – umownie mówiąc – prawicowe – są w defensywie. W wielu obszarach mamy imponujące osiągnięcia. Dla rozwoju polskiej myśli politycznej bezcenny jest wkład serii wydawniczej Ośrodka Myśli Politycznej. Środowisko „Teologii Politycznej" pozostaje jednym z najbardziej opiniotwórczych kręgów intelektualnych. Nie da się przecenić wkładu IPN w budowanie świadomości historycznej Polaków. Najchętniej czytanym tygodnikiem od lat pozostaje „Gość Niedzielny". To konkretne przykłady tego, co nazywam długim marszem.

Co pan sądzi o drodze, którą obrał premier Węgier Viktor Orbán, próbujący np. zatrzymać zagraniczne finansowanie organizacji pozarządowych, będące przecież nie zawsze, ale często wsparciem dla organizacji podminowujących tradycyjne wartości?

Jestem przeciwny tego typu działaniom. Zdaję sobie sprawę z tego, jak potężne siły i jak potężny kapitał jest wprzęgnięty w podminowywanie polskiej tradycji. Ale metoda zakazu – o ile w ogóle da się pogodzić z etosem demokratycznego społeczeństwa – bywa skuteczna tylko na krótką metę. Wierzę w działania pozytywne.

Faktem jest, że np. objazdowe marsze równości, które spadają na kolejne miasta, są w jakiś sposób finansowane. Zobaczyliśmy to czarno na białym w głośnym programie TVP pt. „Inwazja".

Wszystkie organizacje pozarządowe, zarówno te organizujące marsze równości, jak i orszaki Trzech Króli, podlegają tym samym regułom finansowym. Jeśli ktoś naruszył prawo, finansuje swoją działalność nielegalnie, powinien ponieść konsekwencje. Za złamanie prawa, a nie za poglądy.

Co powinno być tym wiatrem, który poniesie Zjednoczoną Prawicę przez kolejne cztery lata? Do tej pory najważniejszą rolę odgrywała owa „rewolucja godności", o której mówi premier Morawiecki, programy socjalne, przekonanie, że rząd ukrócił złodziejstwo. Ale to wszystko powoli traci swoją moc. Jeżeli projekt oparty na programach socjalnych nie przyniósł 47–50 proc., to znaczy, że nie da reelekcji w 2023 r. Nie ma z czego tracić.

Ta „rewolucja godności" była niesłychanie ważna. Wyciągnęła miliony rodzin z biedy, odbudowała zaufanie do państwa, a tym samym pogłębiła poczucie więzi z tym państwem. Sprawiła, że wielu ludzi poczuło się na nowo obywatelami odpowiedzialnymi za rzecz wspólną, o czym świadczy rekordowa frekwencja wyborcza. Jednak, jak już wspomniałem, narasta przekonanie, także wśród wyborców Zjednoczonej Prawicy, że dalej iść tą drogą nie można, bo to już nie będzie „rewolucja godności", ale budowanie państwa, które uzależnia obywateli od swojej opieki. Według mnie wiatrem na kolejne cztery lata powinno być coś, co jest może mało efektowne, może żmudne, ale co jest konieczne: podnoszenie jakości funkcjonowania państwa. A więc sfera usług publicznych, walka ze smogiem, poprawa prawa gospodarczego, zachęty podatkowe na rzecz inwestycji... O, widzę, że już się pan znudził.

Skąd! Właśnie chciałem powiedzieć, że to porywająca perspektywa.

Doceniam elegancję, z jaką mówi mi pan, że jestem nudziarzem [śmiech]. Mimo to dokończę: uporządkowanie prawa pracy, uspójnienie systemu

eprasa.pl 5322f2ded0

wsparcia rodzin, nowe inwestycje infrastrukturalne w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego, uruchomienie wielkiego programu retencji i wiele innych działań poprawiających jakość życia obywateli na czele z usprawnieniem służby zdrowia.

Postulaty słuszne, ale jest coś takiego w polskiej polityce, że nawet najlepszy program modernizacyjny prawicy może przegrać z pustymi, naprędce skleconymi pięcioma czy sześcioma ogólnikami opozycji. Minione dekady zrobiły swoje. Czy modernizacja w wydaniu PiS może porwać miliony Polaków?

A co pan by zaproponował? To nie jest złośliwe pytanie. My, politycy, nie mamy gotowej recepty na wszystko. Nie jest tajemnicą, że należę do tych, którzy szukają inspiracji w środowiskach intelektualnych.

> Romans między nadobną panną, którą jest klasa średnia, a chwackim młodzieńcem, czyli Zjednoczoną Prawicą, nie układa się najlepiej. Ale na dłuższą metę nie da się rządzić i rozwijać Polski bez jakiejś formy współpracy z tymi ludźmi

To nie moja rola, ale moim zdaniem bez jakiegoś wyraźniejszego, choć roztropnego wejścia w zderzenie cywilizacyjne PiS swojej władzy już dalej nie przedłuży. Te wybory pokazały, że w Polsce konserwatywna większość jest na wyciągnięcie ręki. Trzeba spróbować zbudować mocną wspólnotę wokół wartości. Trzeba zacząć kształtować postawy, a nie tylko im się poddawać.

Moja recepta jest następująca. Trzeba budować instytucje. Wspomniałem już o roli IPN. Ale jest instytucja, która wywarła jeszcze większy wpływ na świadomość historyczną Polaków. To oczywiście Muzeum Powstania Warszawskiego. W obecnej kadencji premier Gliński stworzył Instytut Pileckiego, który jest wspaniałym instrumentem polskiej dyplomacji historycznej. Ja sam stworzyłem Narodową Agencję Wymiany Akademickiej, która wspiera oddziaływanie polskiej nauki na naukę światową. W najbliższej kadencji trzeba wzmocnić filary tego, co nazwałbym konserwatywną modernizacją Polski.

REKLAMA



49/0819/F

eprasa.pl 5322f2ded0

Domowa wojenka

Mimo ataków na Grzegorza Schetynę szanse na jego odsunięcie od przywództwa w PO są niewielkie i z każdym dniem będą się zmniejszać



STANISŁAW JANECKI

Im szybciej po wyborach parlamentarnych chciano się w Platformie Obywatelskiej rozliczyć z Grzegorzem Schetyną, tym lepiej dla niego. Im bardziej w to rozliczenie angażował się były szef partii Donald Tusk, tym korzystniejsze było to dla obecnego przewodniczącego. Im prędzej ujawnili się chętni do startu przeciwko Schetynie w walce o fotel przewodniczącego partii, tym bardziej ułatwiali mu możliwość obrony stanowiska. Im więcej mówiono o potrzebie zmian w partii i jej strategii, tym więcej atutów zyskiwał obecny lider. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta.

Krytyka przywództwa w Platformie Obywatelskiej, krytyka wyborczej strategii oraz rezultatu wyborów zostały przez Grzegorza Schetynę zaplanowane i niejako skanalizowane, a teraz są realizowane w wersji najodpowiedniejszej dla obecnego przewodniczącego partii. Tak zwana frakcja młodych, czasem nazywanych „wściekłymi" (Borys Budka, Agnieszka Pomaska, Krzysztof Brejza, Sławomir Nitras, Michał Szczerba, Arkadiusz Myrcha, Bartosz Arłukowicz, Joanna Mucha), jest przez Grzegorza Schetynę rozgrywana metodą kija i marchewki i wbrew mitom obecnie może dużo mniej, niż sama na ten temat opowiada.



Fot. Andrzej Wiktor

Wieczór wyborczy Koalicji Obywatelskiej

eprasa.pl 5322?ded0

Borys Budka i Joanna Mucha zostali wypuszczeni, by jak najszybciej ujawnić swoje przywódcze ambicje i w ten sposób dać czas Schetynie na sprowadzenie tych ambicji na ziemię, a szans na przywództwo w okolice zera. Osobną grę Schetyna toczy z własną kandydatką na premiera przed wyborami i na prezydenta RP po wyborach, Małgorzatą Kidawą-Błońską. Żeby ukierunkowywać jej ambicje na prezydenturę, a nie na przywództwo w partii, czego rezultaty już widać u samej zainteresowanej w postaci wątpliwości, czy funkcja szefowej partii jest dla niej odpowiednia. Jedynym wewnątrzpartyjnym konkurentem, któremu Schetyna właściwie nie może nic zrobić, jest prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. Ale on tak zarządza stolicą, że sam sobie ogranicza szanse na większe zaangażowanie w partii oraz w walce o jej przywództwo.

Gdy zatem przeciwnicy Grzegorza Schetyny, a szczególnie media zaangażowane po stronie Koalicji Obywatelskiej i opozycji, już składają przewodniczącego PO do politycznego grobu, może on nie tylko powtórzyć za Markiem Twainem, że „pogłoski o jego [politycznej] śmierci są mocno przesadzone", ale im dalej od wyborów, tym jego pozycja będzie mocniejsza.

ROZGRYWAJĄCY I ROZGRYWANI

Najszybciej Grzegorzowi Schetynie udało się zabezpieczyć własne interesy tam, gdzie leżało główne zagrożenie, czyli w relacjach z Donaldem Tuskiem, największym wewnętrznym przeciwnikiem, mającym maksymalne wpływy na mobilizowanie oponentów. Zanim Donald Tusk zdołał Schetynę po wyborach rozegrać, ten rozegrał przewodniczącego Rady Europejskiej, choć w powietrzu wisiało upokorzenie szefa PO. Tusk nie chciał się z spotkać ze Schetyną tuż po wyborach, żeby go nie legitymizować po porażce. Jednak Schetyna zaczaił się na niego (jako reprezentant Europejskiej Partii Ludowej) w Brukseli, doprowadził do krótkiej rozmowy i wrzucenia na Twittera stosownej dokumentacji. Opatrzenie zdjęcia z tego krótkiego spotkania tekstem „Na Zachodzie bez zmian" miało sugerować, że nie ma żadnej wojny ani choćby pogorszenia w relacjach z Donaldem Tuskiem. Dla Schetyny okoliczności rozmowy były upokorzeniem, lecz do działaczy PO i opinii publicznej popłynął korzystny dla niego komunikat. Późniejsze o kilka dni spotkanie Tuska w Brukseli z Ewą Kopacz nie mogło już funkcjonować jako wsparcie przeciwników Schetyny, choć zapewne tak zostało pomyślane.

Tusk oczywiście nie złożył broni i będzie Schetynę w różny sposób podgryzał, lecz najgroźniejsze dla obecnego przewodniczącego PO były dni bezpośrednio po wyborach. Tusk wprawdzie 1 grudnia 2019 r. przestanie być szefem Rady Europejskiej i będzie miał więcej czasu na wojnę ze Schetyną (jak wszystko na to wskazuje, pozostając w Brukseli – jako przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej), lecz ten będzie już dobrze okopany, największe ataki z wnętrza partii miną, chęć do rozliczeń i rewolucji kadrowej osłabnie, Borys Budka i Joanna Mucha będą już „pokąsani", a za jego atut może być poczytywane zagospodarowanie Senatu na własnych warunkach oraz wytyczenie strategii walki o prezydenturę Polski.

Dwa tygodnie po wyborach parlamentarnych Grzegorzowi Schetynie udało się narzucić własną agendę. I na jej końcu, a nie na początku, jak chcieliby Donald Tusk oraz rywale w partii, jest wybór przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Dwa tygodnie po wyborach sytuacja jest więc taka, że wbrew entuzjazmowi przeciwników odsunięcie Grzegorza Schetyny od kierowania Platformą Obywatelską nie jest ani proste, ani łatwe. Przede wszystkim dlatego, że zanim przeciwnicy się zorganizowali, Schetyna już intensywnie działał metodą faktów dokonanych. I nie musiał się nawet specjalnie denerwować, gdy „Gazeta Wyborcza" opisała funkcjonowanie sztabu wyborczego, a właściwie torpedowanie tego sztabu przez samego Schetynę i jego trzech bardzo bliskich współpracowników, czyli Piotra Borysa, Roberta Tyszkiewicza i Mariusza Witczaka. Taką krytyką Schetyna nie musi się przejmować, gdyż „GW" właściwie skompromitowała jednego z młodych głodnych wilków, czyli Krzysztofa Brejzę. Skoro jako szef sztabu wyborczego nic nie mógł i nie był w stanie zrobić, jak miałby się nadawać na najwyższe stanowiska w partii? Podobnie jak „wrobiony" w kampanię Bartosz Arłukowicz.

Grzegorz Schetyna okazał się znacznie sprytniejszy i bardziej przewidujący od swoich partyjnych rywali, dając im formalnie władzę (kierowanie sztabem) i udowadniając, że nie tylko nie są mistrzami świata, ale że do ważnych funkcji się po prostu nie nadają. Tym bardziej, im intensywniej po wyborach wypłakują się w rękawy dziennikarzy „GW". Z moich informacji wynika, że w podobny sposób Schetyna będzie teraz rozgrywał Borysa Budkę i Joannę Muchę oraz każdego, kto zgłosi aspiracje do konkurowania o przewodniczenie partii.

REWOLUCJONIŚCI I OPORTUNIŚCI

Na koniec października 2019 r. stan jest taki, że Grzegorz Schetyna nadal ma praktycznie pełną kontrolę nad terenowymi strukturami partii, gdyż sam je meblował. Ma kontrolę nad partyjnymi pieniędzmi oraz nad tym, jak będzie wyglądał Klub Parlamentarny Koalicji Obywatelskiej. Umiejętnie doprowadził do szybkiego ujawnienia się pretendentów do stanowiska przewodniczącego partii, więc zyskał czas, żeby do wyborów w PO, najpewniej dopiero w lutym 2020 r., się z nimi rozprawić bądź ich osłabić, szczególnie Borysa Budkę. Schetyna ma zatem prawie trzy miesiące na zwalczanie rywali i dyscyplinowanie członków partii.

Donald Tusk i jego zwolennicy w PO liczą na to, że przeciw Schetynie zmobilizują tych działaczy, którzy mają realną władzę, dysponują dużymi pieniędzmi i setkami tysięcy posad, czyli marszałków województw, gdzie rządzi PO, oraz prezydentów miast, szczególnie tych największych. Zostali oni wybrani w innym cyklu niż parlamentarzyści, a poza tym partyjna centrala praktycznie niczego im nie może nakazać, np. w kwestii zatrudnienia krewnych i znajomych królika. Tusk chciał z nich uczynić samodzielną siłę polityczną, lecz to się nie powiodło, więc wcale nie muszą być teraz skłonni wierzyć w gwiazdę odchodzącego przewodniczącego

eprasa.pl 5322f2ded0

Rady Europejskiej i nie muszą chcieć zadzierać z Grzegorzem Schetyną. Jego z kolei stać na zapewnienie marszałkom i prezydentom status quo oraz na przekonanie, że nie mają żadnego interesu w popieraniu samozwańczych partyjnych delfinów, skoro ich szanse na zwycięstwo nie są wcale duże. Grzegorz Schetyna jest bardzo doświadczonym politykiem, szczególnie w grach i intrygach, i wie, że na dłuższą metę marszałkom oraz prezydentom opłaca się oportunizm i czekanie, a nie angażowanie w partyjne wojny domowe czy też wojny na górze, nie wiedząc, jaki będzie ich rezultat. W walce o przychylność marszałków i prezydentów ma więcej atutów i większe szanse niż Donald Tusk.

Schetynie nie udało się zawrzeć zawieszenia broni z Tuskiem, ale jego największy rywal jest już dużo słabszy niż jeszcze rok temu. Tym bardziej że Tusk nie zaryzykuje walki o prezydenturę (co potwierdza m.in. zaprzyjaźniony z nim prezydent Sopotu Jacek Karnowski) i przewodzenie opozycji, więc może tylko knuć przeciw obecnemu przewodniczącemu PO, do czego ten jest jednak przyzwyczajony. I zna stronników oraz faworytów swojego największego rywala, czyli przede wszystkim Rafała Trzaskowskiego. Ale prezydent Warszawy nie może zbyt szybko wystartować w walce o władzę w partii, o ile w ogóle się na to zdecyduje. Wie bowiem, że szybko może się natknąć na kontrę i ewentualne haki, o których znalezienie nie musi być trudno, zważywszy na to, co robi w stolicy.

Zresztą Rafał Trzaskowski, podobnie jak Małgorzata Kidawa-Błońska, żyją przede wszystkim mirażem ubiegania się o prezydenturę państwa, a nie przewodzenia PO. I w tej roli Trzaskowskiego wsparłby Donald Tusk, choć ta kandydatura jest raczej przygotowywana na rok 2025. Ale sam Rafał Trzaskowski jest mocno znudzony i znużony zarządzaniem Warszawą, więc mógłby wystartować już w wyborach prezydenckich w maju 2020 r. Mógłby, gdyby przewodniczącym partii nie był Grzegorz Schetyna. A ten po to wymyślił Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na premiera, żeby ją przygotować do roli pretendentki do prezydentury państwa. Dla Schetyny jest ona kandydatką optymalną, w przeciwieństwie do Trzaskowskiego.

Będąc szefem partii, Schetyna nie da Trzaskowskiemu pieniędzy na kampanię, gdyż nie będzie wspierał faworyta Donalda Tuska, także faworyta w walce o usunięcie go ze stanowiska szefa partii. Dla Tuska i Schetyny jest oczywiste, że jeśli Kidawa-Błońska zostanie namaszczona w kwestii prezydentury i stanie się to odpowiednio wcześnie, Trzaskowski może wystartować przeciwko Schetynie w wyborach partyjnych. Dlatego Grzegorz Schetyna jak najdłużej będzie grał z Małgorzatą Kidawą-Błońską jako kandydatką KO na prezydenta, odwlekając jej zgłoszenie, żeby nie tylko odwieść ją do kandydowania na szefową partii, lecz uniemożliwić Rafałowi Trzaskowskiemu włączenie się w tę rozgrywkę.

> Grzegorz Schetyna okazał się znacznie sprytniejszy i bardziej przewidujący od swoich partyjnych rywali. Może zatem powtórzyć za Markiem Twainem, że „pogłoski o jego [politycznej] śmierci są mocno przesadzone"

WUNDERWAFFE SCHETYNY

Grzegorz Schetyna dysponuje jeszcze Wunderwaffe, gdy chodzi o wybory przewodniczącego PO. Obecnie w parlamencie funkcjonuje hybryda w postaci klubu Platforma Obywatelska-Koalicja Obywatelska, a partia Nowoczesna istnieje tylko siłą rozpędu. W dodatku w tym dogorywającym ugrupowaniu bardzo mocno podważane jest przywództwo Katarzyny Lubnauer, a na jej następcę wskazuje się 35-letniego Adama Szłapkę. Grzegorz Schetyna może zakończyć męki Nowoczesnej i albo zaproponować jej członkom wstąpienie do Platformy Obywatelskiej, albo jeszcze przed wyborami przewodniczącego PO zorganizować zjazd zjednoczeniowy PO i Nowoczesnej, w wyniku którego powstanie nowa partia.

W pierwszym wariancie Schetyna mógłby zyskać kilka tysięcy nowych członków PO, którzy w większości głosowaliby na niego. W drugim wariancie miałby szeroką paletę możliwości, gdyż nowa partia to nowy statut i całkiem nowe możliwości oraz metody wybierania przewodniczącego. Pozycja Schetyny w radzie krajowej oraz zarządzie jest wciąż na tyle silna, że mógłby on taki zjazd zjednoczeniowy i nowy statut nowej partii przeforsować.

Im dalej od wyborów, tym większa będzie więc przewaga Grzegorza Schetyny nad wewnętrznymi przeciwnikami i więcej możliwości walki z nimi, aż do całkowitej ich pacyfikacji. A gdy sytuacja się już ustabilizuje, Schetyna z wrogami się rozprawi, jak już to miewał w zwyczaju, eliminując m.in. Jacka Protasiewicza, Stefana Niesiołowskiego, Stanisława Huskowskiego, Michała Kamińskiego czy Marka Biernackiego.

Obecny przewodniczący PO, mimo że jest przedmiotem licznych ataków oraz jest wzywany do ustąpienia, wciąż jest kilka kroków przed swoimi rywalami i wrogami. I ten dystans będzie się z czasem zwiększał, a nie zmniejszał. To wszystko sprawia, że szanse na odsunięcie Grzegorza Schetyny są mniejsze niż na zachowanie przez niego przywództwa w PO i będą się zmniejszać z każdym dniem. To pokazuje, jaką przewagę ma Schetyna nad Borysem Budką, Rafałem Trzaskowskim, Ewą Kopacz, Joanna Muchą czy Bartoszem Arłukowiczem w partyjnych wojenkach, grach i podchodach. Oni są wciąż na etapie zuchów mimo opieki wpływowego drużynowego, czyli Donalda Tuska.

eprasa.pl 5322f2ded0

Musimy skończyć z opozycją totalną

Kiedy premier Kaczyński wyjeżdżał za granicę, np. do USA, przygotowywałem mu odpowiednie tezy, brief dotyczący spraw energetycznych. Z tego, co wiem, pan premier oceniał mnie pozytywnie – mówi Władysław Teofil Bartoszewski, poseł Polskiego Stronnictwa Ludowego, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Ile lat czekało PSL na posła z Warszawy?

Władysław Teofil Bartoszewski: 72 lata. Od stycznia 1947 r., gdy został nim Stanisław Mikołajczyk. Został zresztą wybrany, ale szybko musiał uciec – grożono mu zabraniem immunitetu i uwięzieniem. Co prawda po upadku PRL w sejmie kontraktowym był poseł PSL z Warszawy, ale wybrany z listy krajowej.

Zapach historii.

To niesłychana rzecz, bo tak się składa, że do PSL Mikołajczyka w lutym 1946 r. wstąpił mój ojciec, został aktywistą w warszawskim Śródmieściu, pisał biuletyn dla kierownictwa partii, później zamknęli go na półtora roku w piwnicach Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Wypuszczono go po interesujących wysiłkach i zwrotach akcji, dzięki komuś, kto współpracował z nim jeszcze w Radzie Pomocy Żydów.



Gesty, mimikę odziedziczył pan po ojcu.

Tak, mówią, że nawet ruchy mam po tacie. Ale jak się z kimś żyje przez kilkadziesiąt lat, to siłą rzeczy pewnych nawyków się nabywa. Na pewno mówię wolniej niż ojciec, który uważał mnie w dzieciństwie za flegmatyka. Sam myślę, że wdałem się też chyba w dziadka, który był przed wojną zastępcą dyrektora skarbca Narodowego Banku Polskiego.

Pan też w bankowości swoje lata przepracował, doświadczenie zagranicznych korporacji, języki. Wypisz wymaluj poseł tego przaśnego PSL...

[śmiech] PSL nie jest przaśne! Gdy mój ojciec był na kongresie PSL w 1946 r., jeszcze jako dziennikarz, to odnotował, że miejsce polskiego inteligenta jest z tymi ludźmi. Dziś też miejsce polskiego inteligenta jest w partii Władysława Kosiniaka-Kamysza.

70 lat temu PSL było inne, tak jak jego rola w komunizmie. Dziś miejsce PSL w systemie jest zupełnie inne.

Zgoda, ale od 2015 r., gdy prezesem został Kosiniak-Kamysz, PSL zmieniło się w centrum, w partię chadecką, centroprawicową, liberalno-konserwatywną.

Jak się pan w tym towarzystwie w ogóle znalazł?

Ponad rok temu prezes Kosiniak-Kamysz zaprosił mnie na konwencję, bym coś tam powiedział. Od razu poczułem, że jestem u siebie. PSL się zmienia, tak jak zmieniają się wyborcy tej partii.

Rolnicy przeszli na stronę PiS.

Nie do końca, ale nawet jeśli, to z roli żyje w tej chwili 400 tys. osób w Polsce – to nie jest wystarczająca baza na partię polityczną. Mamy ewidentnie opuszczone centrum – jedna strona poszła w lewo, druga w prawo, a spora część wyborców została osamotniona.

Pana zdaniem i Platforma, i PiS abdykowały z tego centrum?

Tak. Platforma poszła zdecydowanie zbyt mocno w lewo, co skończyło się tak, jak się skończyło. Z kolei PiS poszło w stronę nieakceptowalną dla innej części tego centrum. My zagospodarowaliśmy tę przestrzeń sierot po PO-PiS, czyli niedoszłej koalicji z roku 2005.

eprasa.pl 5322f2ded0



Zdjęcia Andrzej Wiktor

Pan też czuje się sierotą po PO-PiS?

Tak. Absolutnie nie aprobuję dzisiaj pewnych zmian, jakie wprowadza Prawo i Sprawiedliwość, ale byłem i jestem za lustracją, nie odmawiam Polsce tradycji historycznych czy pewnej specyfiki narodowej, której nie powinniśmy porzucać. Nie będziemy też prowadzić antykościelnej polityki.

Widzi pan taką tendencję po stronie opozycji?

Są takie pokusy. Sam mam zastrzeżenia do wypowiedzi niektórych księży i biskupów, ale nie będę nigdy podważał tego, że jesteśmy krajem chrześcijańskim. Wincenty Witos też prowadził nieustanne potyczki z hierarchią, ale był gorącym katolikiem. Nie można atakować w Polsce wierzących za to, że są wierzący. Jednak w PSL nie zaglądamy ludziom za firanki ani pod kołdrę.

Zostawmy to. Przez lata wykładał pan na zagranicznych uczelniach, opowiadając także o historii Polski. Dużo jeszcze lekcji musimy odrobić na gruncie polityki historycznej?

Oczywiście! I tutaj od razu powiem, że najskuteczniejsze nie są wysiłki polityków, odbierane w tamtych ośrodkach i środowiskach jako propaganda, lecz starania naukowców, historyków. To ma zupełnie inne przełożenie. U nas, w Polsce, też zaczęto robić coś porządnego.

Co ma pan na myśli?

Choćby wysiłki pani minister Magdaleny Gawin i działalność Instytutu Pileckiego. To, co robią, jest bardzo korzystne dla Polski – chodzi o tłumaczenia na język angielski kolejnych źródeł i dokumentów, otwartą placówkę instytutu w Berlinie. Dzięki takim wysiłkom możemy powiedzieć naszym partnerom za granicą: nie musicie nas słuchać, po prostu poczytajcie fakty.

I pan jako polityk opozycji nie ma problemów z pochwaleniem rządu PiS?

Nie mam tam, gdzie należy go chwalić. Absolutnie potępiam atak na trójpodział władzy, destrukcję w systemie sprawiedliwości, brak odpowiedzialności w zarządzaniu służbą zdrowia, fatalną politykę rolną itd. Pewnie, że mam problem z niektórymi działaniami Ministerstwa Kultury – to, że nie ma dyrektora Muzeum Polin, nie pomaga Polsce na świecie. Ale jeśli dzieje się coś bardzo pozytywnego, to nie mam problemu, by to pochwalić. Dla mnie to jasne.

Nie jest to do końca jasne, ostatnie cztery lata zdominowała strategia totalnej opozycji.

Nie byliśmy totalną opozycją i nie będziemy taką nigdy. Jeżeli rząd robi coś dobrego, jak choćby w polityce społecznej, to będziemy go wspierać. A jeżeli robi głupoty, to będziemy przeciwko – podobnie z oceną poszczególnych ministerstw. Tak rozumiem misję odpowiedzialnej opozycji w demokratycznym państwie. Jako opozycja musimy skończyć z „totalnością", to do niczego nas nie prowadzi.

A może pan to po prostu tajny agent Jarosława Kaczyńskiego w szeregach opozycji? Wszak współpracował pan z nim przed dekadą.

Agentem prezesa Kaczyńskiego nie jestem [śmiech]. Choć faktycznie swojego czasu pisałem notki do wystąpień Jarosława Kaczyńskiego. Ale ja byłem urzędnikiem, a nie

eprasa.pl 5322f2ded0

współpracownikiem. Nigdy pana premiera nie spotkałem.

Jak do tego doszło?

Pracowałem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych za rządów premiera Marcinkiewicza, ale i premiera Kaczyńskiego. Byłem odpowiedzialny za bezpieczeństwo energetyczne – pełnomocnikiem był co prawda Piotr Naimski, ale w MSZ też był ktoś potrzebny.

I jak to wyglądało w praktyce?

Kiedy premier Kaczyński wyjeżdżał za granicę, np. do USA, przygotowywałem mu odpowiednie tezy, brief. Z tego, co wiem, pan premier oceniał mnie pozytywnie.

A wspomniany przez pana wcześniej Piotr Naimski?

Z ministrem Naimskim, którego znam od dawna, mogę się sprzeczać godzinami o plusy, minusy, koszta – elektrowni atomowej, odejścia od węgla, pomysłach na inwestycje takie jak Baltic Pipe. Ale nigdy z mojej strony nie będzie to sprzeciw na zasadzie nie, bo nie. Energetyka to bardzo ważny obszar, który pilnie domaga się działań. Inaczej dochodzimy do absurdów, gdy węgiel sprowadzany z Mozambiku jest tańszy niż ten ze Śląska. Możemy się pewnie różnić, także z ministrem Naimskim, ale raczej nie co do celów, lecz co do narzędzi. Na pewno uzależnienie od Rosji jest niewłaściwe, bo jej interesy strategiczne będą zawsze inne. Jestem absolutnie przeciwny gazociągom Nord Stream...



> Gdy pracowałem w banku szwajcarskim, to najwyżej cenionym wykształceniem były studia inżynierskie – bo inżynier jak ma problem, to go rozwiązuje, a nie dyskutuje bez przerwy

Mówi pan jak człowiek z PiS.

Mówię po prostu jak rozsądny człowiek. Trzeba utrzymywać kontakty z rozmaitymi ludźmi, ale trzeba pamiętać, że nasze interesy będą zawsze odmienne, nie obiecujmy sobie wielkiej przyjaźni.

Po co panu w ogóle polityka? Miałby pan dobrą fuchę w którejś z zagranicznych korporacji.

Tutaj w Sejmie można zrobić coś pożytecznego. Wiem, jak to może brzmieć, ale naprawdę w to wierzę. Chcę wejść do komisji spraw zagranicznych, a także do tej zajmującej się energetyką. Na tych obszarach się znam, nikt mi nie podrzuci wadliwej ustawy ani poprawki jak z historią o „lub czasopisma". A to bardzo drażliwe obszary, gdzie lobbyści chętnie suflują takie rozwiązania.

A czego pan się nauczył w tych zagranicznych korporacjach, co może się przydać w Sejmie?

Pracowałem w management consulting dla dużych przedsiębiorstw. Nauczyłem się tego, że najlepsze efekty przynosi praca zespołowa, a także konieczności delegowania pewnych kwestii innym osobom. To drugie przydałoby się zwłaszcza rządowi.

Rząd jak korporacja. Gdzieś to słyszałem.

Nie jest przypadkiem, że premier Morawiecki wziął sobie do rządu ludzi, którzy sprawdzili się w bankowości jako zespół. Oni wiedzą, jak współpracować, jak szukać rozwiązań. To zresztą charakterystyczne – gdy pracowałem w banku szwajcarskim, to najwyżej cenionym wykształceniem były studia inżynierskie – bo inżynier jak ma problem, to go rozwiązuje, a nie dyskutuje bez przerwy. Swoją drogą najmniej ceniono ekonomistów, bo oni mieli teorię i chcieli, żeby świat się do niej dopasował [śmiech].

Jak zatem ocenia pan korporację rządową premiera Morawieckiego?

Słodko-gorzko. Część sukcesów, którymi chwali się premier, nie jest zasługą tego ani innego rządu, ale efektem koniunktury na świecie. Nie ujmując pewnych sukcesów rządowi, zwłaszcza w polityce społecznej czy socjalnej, nie do końca jest tak różowo. Reforma edukacji jest daleka od ideału, wolałbym też, by przy takim zadłużeniu szpitali przekierować tam część pieniędzy, nawet kosztem powiększenia deficytu. Polityka zdrowotna – katastrofalna. Polityka rolna – bardzo zła. Polityka energetyczna – nie istnieje. Są w tym rządzie ministrowie, których cenię, jak minister Emilewicz, innych mniej albo wcale – ale to tak jak w poprzednich tematach: staram się oceniać konkretne sprawy i wysiłki, a nie całość. Powtórzę – musimy w ciągu tej nowej kadencji jako opozycja skończyć z totalnością i skupić się na konkretach.

eprasa.pl 5322f2ded0

Seksedukatorzy i szkoła

Żywy, chociaż w dużej mierze sztucznie wykreowany przez opozycję spór o tzw. edukację seksualną ma czytelne podłoże światopoglądowe. Tylko ktoś naiwny i zupełnie niezorientowany może bowiem pomyśleć, że podstawową kwestią jest tu dobro dzieci. Nic takiego! To nowy, a właściwie stary front wojny ideologicznej stawiającej sobie za cel trwałe odkształcenie albo wręcz uszkodzenie polskiego społeczeństwa. Jest to jednak front obrzydliwy, bo wkraczający do szkół i próbujący ich przestrzeń zamienić w pole demoralizujących zmagań



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Kwestia seksualności człowieka ma już u nas swoją historię. Przeglądając swoje archiwum, znalazłem artykuł naukowy z 1991 r., w którym omawiałem sposoby upowszechniania pornografii wśród młodzieży. A były to czasy, gdy w kioskach czasopisma erotyczne i pornograficzne można było nie tylko kupować, ale i bezkarnie je tam przeglądać, czasy gdy na bazarach można było kupić najdzikszą pornografię, łącznie ze słabo wówczas ściganą pornografią dziecięcą czy zoofilią. W porównaniu z tamtymi osobliwymi (także ekonomicznie) latami mamy teraz Polskę niemal purytańską. Jakkolwiek nietrudno zauważyć, że homolobby było wówczas niemal niezauważalne i wraz z innymi „lobby" omijało szkołę dużym łukiem. Nikt nie ośmielił się proponować polskim miastom parad homoseksualistów ani nie domagał się wrzaskliwie tolerancji dla odchyleń od normy. To ostatnie nie wymagało dekretowania, gdyż jako społeczeństwo tak naprawdę nie zajmowaliśmy się czyjąś intymnością i nikogo z tego względu nie sekowaliśmy. Tej drugiej stronie nie było do niczego potrzebne manifestowanie swojej odmienności. Cztery ściany mieszkania gwarantowały im tolerancję, realizację seksualnych fantazji i swobodny dobór partnerów. Tak samo jak nam – heterykom.

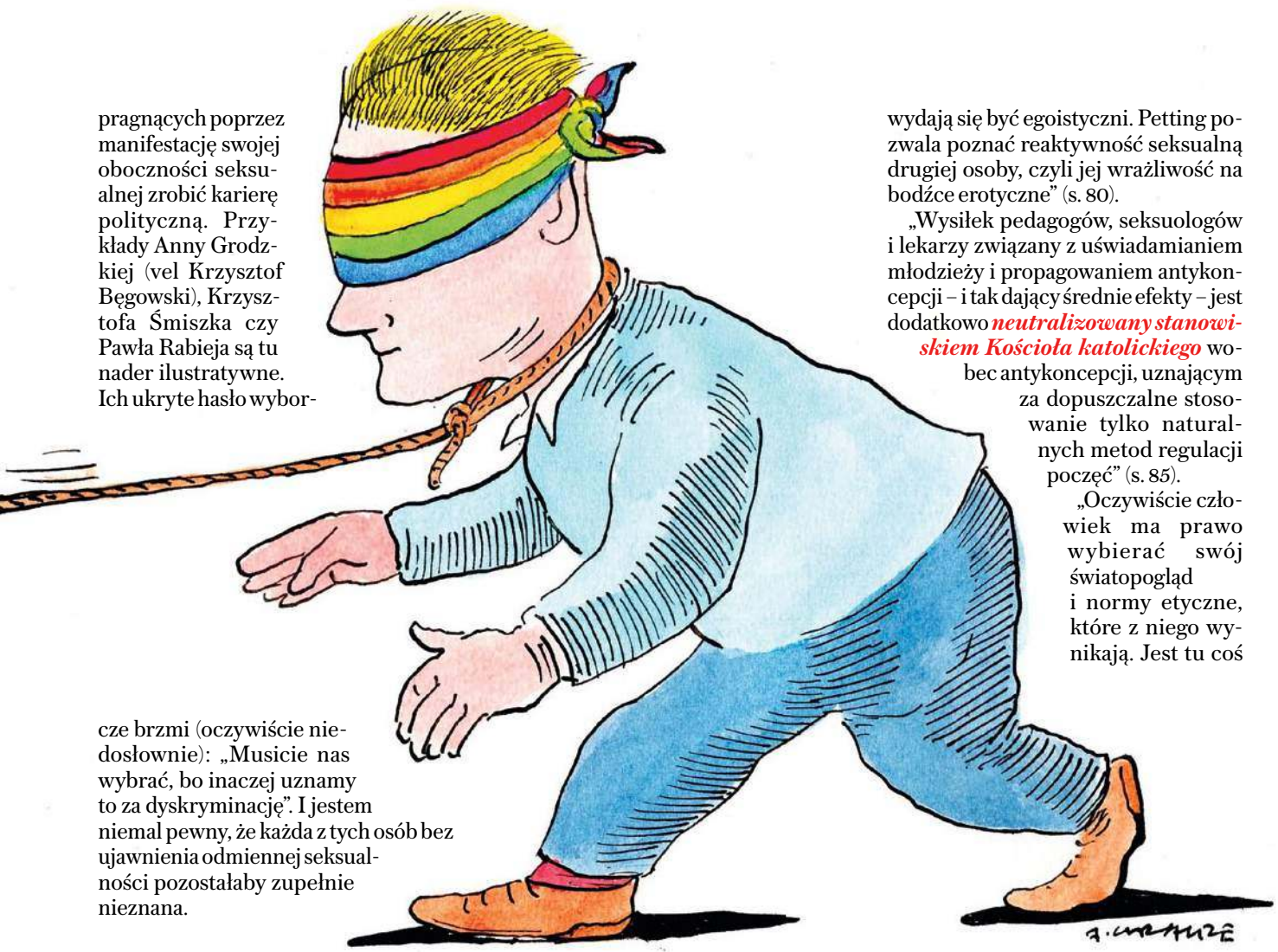
DYSKRYMINACJA?

Nawet ukazanie się w 1990 r. magazyn dla homoseksualistów „Inaczej" pod redakcją Andrzeja Bulskiego nie wzbudzało sensacji. Traktowano to jako rodzaj biuletynu branżowego, jakkolwiek sprzedawanego w ogólnodostępnej sieci. Oprócz artykułów było tam mnóstwo erotycznych, a nawet soft-porno zdjęć. I tutaj doszło do znamiennego zdarzenia. Twórca tego czasopisma zaapelował do Lecha Falandysza z Kancelarii Prezydenta Lecha Wałęsy o wpisanie do Karty praw i wolności zakazu dyskryminacji kogokolwiek ze względu na orientację seksualną. Tak się stało, a prof. Falandysz udzielił nawet z tej okazji wywiadu magazynowi „Inaczej". Oczywiście o niedyskryminowaniu homoseksualistów nie ma potrzeby nawet dyskutować, bo dyskryminacja sama w sobie jest czymś podłym. Rzecz jednak w tym, że od chwili gdy komunistyczny aparat bezpieczeństwa dowodzony przez Kiszczaka zakończył niesławną akcję „Hiacynt", nikt w Polsce homoseksualistów nie dyskryminował, także z tej przyczyny, że homoseksualizm – w przeciwieństwie do koloru włosów czy skóry – nie jest cechą widoczną ani rozpoznawalną „na ulicy". Zatem ów zapis o niedyskryminowaniu był de facto przygotowaniem gruntu pod to, co mamy dzisiaj – pod manifestowanie odmienności seksualnej, której – właśnie w myśl niedyskryminowania – nie wolno nazwać zboczeniem ani dewiacją. Z tego zakazu zdają się zwolnieni tylko medycy. W podręcznikach do psychiatrii, urologii czy seksuologii medycznej, a nawet genetyki, homoseksualizm, wbrew dyrektywie WHO, nadal jest dewiacją lub chorobą. Dodam – na razie.

Poczyniony mocno na wyrost zapis o niedyskryminowaniu ze względu na orientację seksualną był nie tyle obroną przed wyimaginowanymi atakami, ile utorowaniem sobie drogi do traktowania odmienności jako atutu w rozmaitych zmaganiach. Doskonale oddał to F. Veber we francuskim filmie „Plotka", gdzie główny bohater zagrożony zwolnieniem z pracy udaje homoseksualistę i tym samym staje się nietykalny, a nawet awansuje. Na naszym gruncie widać to na przykładzie kariery politycznej Roberta Biedronia, który stał się osobą publiczną wyłącznie poprzez tzw. coming out i założenie organizacji Kampania przeciw Homofobii (zwraca uwagę przysłówek „przeciw" sugerujący istnienie jakiegoś wroga). Dopiero później dyskontował to w działaniach politycznych. Śmiem twierdzić, że przede wszystkim jako homoseksualista stał się posłem, dopiero potem próbował przekonywać do swoich, skądinąd do dzisiaj mglistych, kompetencji politycznych. Otworzył wrota dla innych osób

eprasa.pl 5322f2ded0

pragnących poprzez manifestację swojej oboczności seksualnej zrobić karierę polityczną. Przykłady Anny Grodzkiej (vel Krzysztof Bęgowski), Krzysztofa Śmiszka czy Pawła Rabieja są tu nader ilustratywne. Ich ukryte hasło wyborcze brzmi (oczywiście niedosłownie): „Musicie nas wybrać, bo inaczej uznamy to za dyskryminację". I jestem niemal pewny, że każda z tych osób bez ujawnienia odmiennej seksualności pozostałaby zupełnie nieznana.



BALON PRÓBNY

Aby sprawnie przemycić „niedyskryminowanie", czyli faktyczną promocję zachowań homoseksualnych, do szkół, akcja musiała być zakrojona na szerszą skalę. Objęła więc całkowite zdjęcie tabu z problemu ludzkiej seksualności w ogóle. Homoseksualizm ma się rozpuścić w seksualności jako takiej i propagandzie techniczno-zmysłowych doznań.

W 1999 r. recenzowałem podręcznik autorstwa pedagoga (obecnie podającego się za seksuologa) Zbigniewa Izdebskiego i lekarza Andrzeja Jaczewskiego „Kocha, lubi, szanuje. Wychowanie do życia w rodzinie". Recenzowałem maszynopis, nie wiedząc, że podręcznik jest już wydrukowany i przygotowany do dystrybucji w szkołach. Był on przeznaczony dla gimnazjum, a o stadium zaawansowania prac wydawniczych (czyli de facto o wydrukowaniu bez recenzji eksperta) wiedział ówczesny wiceminister edukacji. W tymże projekcie znalazłem takie m.in. fragmenty. Nie sądzę, aby trzeba je było komentować.

„Rodziców trzeba zrozumieć, uszanować ich troskę o was, zgodzić się porozmawiać na te intymne tematy, pójść z matką do ginekologa, gdy zaistnieje taka potrzeba, nie być obrażonym na propozycję ojca czy matki dotyczącą na przykład użycia środków zabezpieczających, ***nawet gdy jest na to jeszcze za wcześnie"*** (s. 20).

„Przeciwnicy każdej przedmałżeńskiej aktywności seksualnej odrzucają ***petting,*** uznając go za zachowanie niedopuszczalne. Inni uważają, że jest on techniką, która ***uczy opanowania, altruizmu,*** co szczególnie przydaje się młodym mężczyznom, ponieważ często w swych zachowaniach seksualnych wydają się być egoistyczni. Petting pozwala poznać reaktywność seksualną drugiej osoby, czyli jej wrażliwość na bodźce erotyczne" (s. 80).

„Wysiłek pedagogów, seksuologów i lekarzy związany z uświadamianiem młodzieży i propagowaniem antykoncepcji – i tak dający średnie efekty – jest dodatkowo ***neutralizowany stanowiskiem Kościoła katolickiego*** wobec antykoncepcji, uznającym za dopuszczalne stosowanie tylko naturalnych metod regulacji poczęć" (s. 85).

„Oczywiście człowiek ma prawo wybierać swój światopogląd i normy etyczne, które z niego wynikają. Jest tu coś szczególnie ważnego, a mianowicie konsekwentne ***przestrzeganie norm, które uznaje się za własne i słuszne"*** (s. 90). Tutaj nie sposób nie skomentować. Z tego zalecenia wynika, że nie jest ważne, jakie sobie wybieramy normy etyczne (np. że słabszym nie należy pomagać), ale ważne, abyśmy byli w tym konsekwentni. Przyznam, że to jeden z większych absurdów pedagogicznych, z jakim się spotkałem.

Autorzy sugerują też specyficzny stosunek do transseksualistów. „Gdy będziemy traktować ich zgodnie z tym, czego oczekują, a więc np. zwracać się do nich w rodzaju żeńskim, to ***sprawimy im największą przyjemność".*** (s. 111) Zatem nie są ważne odczucia Zbyszka, który przed chwilą grał w piłkę z Waldkiem, ważniejsze, aby nawet wbrew sobie sprawić Waldkowi przyjemność, mówiąc do niego „Monika"?

eprasa.pl 5322f2ded0

Zatem sprawianie przyjemności skrzywionemu koledze zostaje postawione ponad elementarny komfort własny. A co jeśli inny kolega poprosi o seks? Dla jego przyjemności też nie należy mu odmawiać?

Przypominam, działo się to już 20 lat temu, ale to przegapiliśmy. Nie zapaliła się nam w głowie czerwona lampka. Podręcznik oprotestowałem. Już nie poszedł do gimnazjum (13–16 lat), ale zaopatrzony w obwolutę trafił do liceów. Mimo mojej całkowitej dyskwalifikacji go jako podręcznika w ogóle.

WOJNA TOTALNA

Rozluźnienie norm obyczajowych poprzedzało lub towarzyszyło niemal każdej zmianie społecznej. Nie miejsce tu, aby tę tezę obszernie dokumentować. Tutaj tylko dwa przykłady.

Aleksandra Kołłontaj, rosyjska komunistka i komisarz ds. opieki społecznej, w książce „Nowa mentalność a klasa robotnicza" (1919) postulowała dopuszczalność wszelkich związków i konfiguracji seksualnych, w tym homoseksualnych. Książkę wychwalał podobno sam Lenin. Uznawała też, że na obozach pionierskich winna być koleżeńska wymiana usług seksualnych pomiędzy uczestnikami. Jak sama to określała „seks ma być tak samo dostępny jak szklanka wody". W eseju „Kościół z defektem" J. Pacan rekonstruuje myśli Herberta Marcuse'a, ideologa rewolty 1968 r., ucznia szkoły frankfurckiej: „Przekonywał on, że do rewolucji potrzebna jest totalna destrukcja społeczeństwa, a tę można osiągnąć poprzez seksualizację wszystkich sfer ludzkiej egzystencji. Ambicją przedstawicieli szkoły frankfurckiej było unicestwienie religii, rodziny i zachodniej cywilizacji. Willi Munzenberg tak podsumował cel zachodnich rewolucjonistów: »Zachód zrobimy tak zepsutym, że będzie śmierdział«".

Czyż można mieć wątpliwości, że jesteśmy świadkami kolejnej rewolucji obyczajowej będącej forpocztą mających nastąpić totalnych i wywrotowych zmian? Czyż uderzenie w polskie społeczeństwo seksem i ostentacją jego dewiacji nie przypomina działań dawnych harcowników, czyli grup jeźdźców nękających wojska przeciwnika przed zadaniem im właściwego ciosu? Dlatego stoję na stanowisku, że tzw. ideologia LGBT jest de facto doktryną wojenną i wynikającą z niej strategią działania, a nie wyłącznie zespołem światopoglądowych przekonań i zamiłowaniem do tyleż wesołkowatych, ile uwolnionych od ograniczeń zabaw.

BEZ WYJĄTKÓW

W wojnie totalnej nie ma miejsc neutralnych, wszystko trzeba zaatakować i zawłaszczyć. I tak polski świat artystyczny to gejowski raj, o czym pisała kiedyś Joanna Szczepkowska, ponosząc konsekwencje zawodowe. Polityka i akademia zostały co najmniej zneutralizowane, co dobrze ilustrują moje przygody na uniwersytecie. Niezwykła, a wręcz kunktatorska ostrożność w tych sprawach partii rządzącej pokazuje, że problemu seksualizacji nie warto ruszać. Wyborcom muszą wystarczyć popisy oratorskie w tej sprawie. I to pole skradła PiS Konfederacja, uzyskując sejmowy awans. Po stronie opozycji słychać oczywiście akceptujące cmokanie dla „małżeństw" homo czy adopcji dzieci. Kościół zepchnięto do narożnika wyolbrzymionym nagłaśnianiem afer pedofilskich.

Została szkoła. A szkoła kusi w dwójnasób. Po pierwsze, są tam dzieci, które wszak nie mogą wejść w życie dorosłe bez stosownego zastrzyku „tolerancji", „równości" i wiedzy o płci kulturowej, po drugie, szkoła to szansa oddziaływania na wiele osób jednocześnie, a to czysta ekonomia. Istnieją liczne dowody naukowe na to, że im wcześniejsza inicjacja uzależnienia, np. alkohol czy narkotyki, tym trudniejsze jest stosowanie jakiejkolwiek terapii, a to czyni uzależnienie niemal nieodwracalnym. Seks może stać się takim uzależnieniem. Oswajanie dzieci i młodzieży z seksualnością, czynienie jej taką samą czynnością jak zjedzenie hamburgera czy jazda na hulajnodze, to niebezpieczeństwo, które po stokroć zwielokrotnia i czyni dzieci bezradnymi wobec własnych popędów. Podsuwanie dzieciom „zabawek" w postaci słodkich wypieków o kształcie waginy czy penisa, zakładanie prezerwatywy na banana, zabawy w „przyjacielski dotyk", „tęczowe piątki" czy „równościowe polonezy" rozkręcają mechanizm, nad którym dziecko nie jest w stanie potem zapanować. Potrzeba zaspokojenia tak rozbudzonych potrzeb staje się niemożliwa do pohamowania. Dodatkowym wymiarem tej kwestii jest miejsce akcji. Ma nim być szkoła. A to nie jest bez znaczenia. W powszechnym przekonaniu szkoła jest miejscem, gdzie przekazuje się treści ważne, sprawdzone i bezpieczne. Słowo wypowiedziane przez nauczyciela przed klasą ma zupełnie inne znaczenie niż słowo powiedziane na ulicy czy w kinie. Szkoła bowiem sakralizuje treści. Idzie więc o to, aby swoim autorytetem uświęciła także działania mające na celu zaabsorbowanie młodej uwagi kwestiami seksu. Do obsesji włącznie. Takie działania mają znamiona nie tylko przestępstwa, ale wręcz zbrodni.

Warto też zauważyć, że wędrowni edukatorzy seksualni zupełnie nie biorą odpowiedzialności za skutki swojego działania i są w tej materii bezkarni. Szerokie otwarcie wrót ludzkiej cielesności i seksualności, wpajanie przekonania, że „nic co ludzkie nie jest mi obce", także grzech, bezwstyd, odważne rozmowy o własnej intymności, zabawa imitacjami narządów płciowych z wełny (autentyczne!) czy opowiadanie o przeżyciach w trakcie masturbacji (też prawdziwe!) z czasem przerodzi się nie tylko w pełną akceptację homoseksualizmu („bo są razem szczęśliwi"), ale i w przyzwolenie na pedofilię, kazirodztwo czy ekshibicjonizm. To tylko kwestia czasu i podtrzymywania temperatury. Brak związku pomiędzy edukacją seksualną a seksualizacją i w dalszej kolejności wynajdywaniem coraz bardziej wyszukiwanych gier seksualnych jest tylko pozorny.

WIDZIEĆ NIEPRAWDZIWIE

Dyskusji o obecności edukacji seksualnej w szkole towarzyszą pewne mity i przesądy. Pokażmy kilka z nich.

Dzieci i tak wszystko wiedzą, bo oglądają pornografię w sieci. To częsty argument mający dekretować przesąd, że edukacja seksualna temu zapobiegnie. Otóż jest to skończona

eprasa.pl 5322f2ded0

brednia. Przede wszystkim, nie wiadomo, jaki odsetek dzieci i młodzieży ogląda strony porno. Badania, które próbowano w tym zakresie prowadzić, dały wyniki zupełnie niewiarygodne. Nie ma bowiem powodu, aby w anonimowej ankiecie na ten temat badani mówili prawdę. Popularność pornografii wynika z oferty w tym zakresie. Ewentualna popularność wśród nieletnich wynika z indolencji rodziców, którzy nie próbują nawet sprawdzać raportów z połączeń z określonymi stronami. Kilkoro moich znajomych robi to regularnie i w obecności dziecka, a próba skasowania raportów przez dziecko skutkuje długotrwałym szlabanem na internet. Najskuteczniejszą metodą walki z pornografią jest eliminowanie jej z pola widzenia, z palety ofert. Trzeba tylko chcieć.

Nastolatki powszechnie współżyją. To także teza zwolenników seksualizacji, czyli edukacji seksualnej w szkole. Badania na ten temat są także niewiarygodne, bo oparte wyłącznie na deklaracjach badanych. A z drugiej strony – znam się na tym i doskonale wiem, jak uzyskać drogą badania pożądany wynik. Wieloletni (25 lat) i codzienny kontakt z młodzieżą pomiędzy 13. a 19. rokiem życia pozwala mi na sformułowanie tezy, że nastolatkowie są powszechnie niewinni, a ich gry seksualne kończą się na sferze werbalnej. Większości z nich nie jest też obojętne pojęcie grzechu. Lansowanie poglądu o powszechnej aktywności seksualnej nieletnich jest tylko marketingowym uzasadnieniem obecności w szkole tych, którzy mniej lub bardziej wprost do takiej aktywności namawiają.

Rodzice nie sprawdzają się w roli edukatorów seksualnych, rodzice nie chcą pełnić tej funkcji. To typowa figura retoryczna oparta na zasadzie „my wiemy lepiej". Wpajanie tej nieprawdziwej tezy jest całkiem zrozumiałe. Rodzice bowiem stanowią konkurencję dla edukatorów seksualnych i czynią ich obecność w szkole niepotrzebną. A konkurencję trzeba zwalczać. Najlepiej poprzez opowiadanie, że jest niekompetentna i daleko gorsza od naszej oferty.

Tu chodzi o bezpieczeństwo seksualne nieletnich. To może i szlachetne hasło, ale zupełnie nieprawdziwe. Bezpieczny seks małoletnich i zapobieganie niepożądanej ciąży stały się synonimem bezpieczeństwa jako takiego. Widziałem kiedyś zajęcia w przedszkolu mające uczulać dzieciaki na „zły dotyk". Gdy tylko zauważyłem, że prowadzący bardzo realistycznie demonstruje różne „złe dotyki", że sprawia mu to najwyraźniej dość perwersyjną przyjemność, to zameldowałem o tym dyrektorce, a ta natychmiast „edukatora" wygoniła. A ile dyrektorek nie wygoniło? Bezpieczny seks małolatów to taki, którego nie ma, do którego nie dochodzi. I tylko takie stanowisko może zajmować normalny, dorosły człowiek. Każde inne jest uchylaniem furtki, że można, ale trzeba się zabezpieczyć. Propagowanie zachowań seksualnych wśród nieletnich winno być jednoznacznie traktowane jako dewiacja psychiczna, a takich osobników trzeba trzymać od dzieci z daleka.

> Stoję na stanowisku, że tzw. ideologia LGBT jest de facto doktryną wojenną i wynikającą z niej strategią działania, a nie wyłącznie zespołem światopoglądowych przekonań

A SZKOŁA?

Co może zrobić w tym zakresie polska szkoła? To pytanie zapewne ciśnie się na usta wielu czytelnikom. Zatem (p) odpowiadam.

1. Przede wszystkim może postulować takie zmiany, które pozwolą jej skutecznie bronić dzieci przed seksualizacją. A gwarantem takich zmian musi być odważny i gotowy wziąć na klatę furię lewackich mediów minister.
2. Należałoby gruntownie przemyśleć program wychowania do życia w rodzinie i oprzeć go na aksjomacie, że normalne zachowania seksualne to wyłącznie takie, które niosą w sobie potencjał prokreacyjny. Wszystko inne jest dewiacją czy anomalią. Należy podkreślać, że orientacja homoseksualna jest z natury jałowa. Należy przy tym zrezygnować z poprawnościowego słownictwa i nie przedstawiać homoseksualności jako równoprawnej do hetero „orientacji" seksualnej. Trzeba o niej poważnie mówić jak o chorobie czy zaburzeniu.
3. Nie wolno tworzyć atmosfery wokół seksu jako dozwolonego sposobu „korzystania" z drugiego człowieka, pod warunkiem zachowania należytych środków ostrożności.
4. Każdą klasę na początku roku należy przeszkolić w ramach lekcji edukacji dla bezpieczeństwa. Taki instruktaż powinien zawierać sposoby reagowania na próby wyłudzeń, szantażu, zachowań agresywnych, zachowań seksualizujących, zalotów homoseksualistów, pedofilów, ekshibicjonistów etc. Nie ma powodu, aby zachowania seksualnie niebezpieczne oddzielać od innych zagrożeń. Bezpieczeństwo jest jedno. Rodzicom zaś należy podsuwać materiały pomocne w intymnych rozmowach z dziećmi.
5. W miarę możliwości dążyć do tego, aby to wychowawcy klas prowadzili takie zajęcia z uczniami. Dla postronnych podwoje szkoły otwierać tylko w nadzwyczajnych i dobrze uzasadnionych przypadkach.
6. Należy na terenie szkoły wprowadzić zakaz wszelkich manifestacji ideologicznych, światopoglądowych czy obyczajowych.

Oczywiście powstaje pytanie – co na to Unia albo WHO? Wszak mogą nas za to gnębić i wytykać palcami. Ale czy gdy zrezygnujemy z walki o naszych uczniów, to UE przestanie nam dokuczać, a nasz prestiż na świecie wzrośnie? Czy w walce o naszą przyszłość mamy ulegać politpoprawności? Nie sądzę.

eprasa.pl 5322f2ded0

D jak dezintegracja Kościoła



Dr Hanna Karp, medioznawca

Lewica po wyborach podnosi głowę. Leszek Miller – w okresie PRL sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Skierniewicach, później członek Biura Politycznego KC PZPR, a obecnie europoseł – nie ukrywa, że czuje się politycznie spełniony. W kraju uaktywnili się jego najmłodsi partyjni koledzy. Choć i dawne upiory komuny, wydawałoby się z politycznego śmietnika, są wciąż żywe. Jerzy Urban, rzecznik stanu wojennego, i jego towarzysze z pisma „Nie" na różne sposoby starają się o sobie przypomnieć, byle podnieść nakład upadającego rynsztokowego pisemka. Młodzi Polacy już nie pamiętają czasu „świetności" tego tygodnika. A już okres stanu wojennego wydaje im się podobnie odległy jak II wojna światowa. Być może dlatego bezmyślnie statystują lewackim ekscesom skierowanym przeciwko polskiemu państwu i Kościołowi. Nie sposób się oprzeć pytaniom o tych, którzy je organizują. Kim są przyłączający się do obrazoburczych manifestacji, organizujący świętokradcze parady, zakłócający porządek mszy św., uczestniczący w aktach dewastacji świątyń czy profanujący święte wizerunki. Sami często definiują się jako lewica, ale też znajdują przyjazne poparcie i miejsca na politycznych listach PO. Może rzeczywiście w kraju już nie ma jednego narodu. Skąd tak bardzo nienawidzący Kościoła czerpią wzorce zachowań i wiedzę o nim? Co wiedzą o śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki, którego 35. rocznica strasznego mordu niedawno minęła.

TAJNA SEKCJA „D"

Trudno się oprzeć refleksji, że resort – jak zauważył niedawno red. Jacek Karnowski – który zabijał księży, wciąż na różne sposoby działa i jest niepokojąco aktywny. Najbardziej drastyczne działania przeciwko duchownym katolickim realizowała specjalna służba IV Departamentu MSW, nazywana Grupą „D". Sekcja „D" („dezintegracja" i „dezinformacja") powstała w 1973 r., a więc w epoce Edwarda Gierka, uznawanej za czas odwilży, przyjaznej polityki komunistów wobec Kościoła. W rzeczywistości Gierek prowadził wówczas z Kościołem zakrojoną na wielką skalę grę pozorów. Sekcja „D" kierowana przez płk. Konrada Straszewskiego pomyślana została jako podwójnie tajna – bo zakonspirowana także w strukturze tajnych służb MSW, zwalczających Kościół. Straszewski od 1952 r. pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w pionach zajmujących się inwigilacją Kościoła i walką z nim. Od 1974 r. do 1981 r. był dyrektorem nadzorującym m.in. samodzielną Grupę „D". W 1984 r. awansował do stopnia generała dywizji Milicji Obywatelskiej, dwa lata później przeniesiony został na emeryturę. W latach 1986–1988 był doradcą prezesa... ZUS (sic!). W III RP spokojnie dożył 92. roku życia. Zmarł niedawno, 9 października tego roku. Włos z głowy jego i kolegów nigdy nie spadł.

Akcji sekcji „D" nie dokumentowano ze względu na tajność. Wszelkie zgromadzone materiały były niszczone po wykonaniu zadania. Kierownictwa resortu i przedstawicieli najwyższych władz PZPR na bieżąco informowano o planach grupy i ich realizacji. Raporty przygotowywane były przede wszystkim dla członków ścisłego kierownictwa PZPR, mających w zakresie swoich obowiązków sprawy związane z polityką wyznaniową PRL i kształtu-

eprasa.pl 5322f2ded0

jących stosunki z Kościołem katolickim. Fałszywie zatem brzmią wszelkie tłumaczenia, w tym gen. Czesława Kiszczaka, że działania Grupy „D" prowadzone były bez wiedzy przełożonych. Jak zauważa badacz z krakowskiego oddziału IPN, ówczesny szef MSW Kiszczak podczas śledztwa w sprawie porwania i śmierci ks. Popiełuszki „usiłował swoimi decyzjami stworzyć wrażenie, że w podległym mu resorcie działała zakonspirowana grupa przestępcza, z którą on teraz bezwzględnie się rozprawia". Zdaniem Marka Lasoty z listy adresatów raportów komórek „D" wynika, że akcje operacyjne tej struktury były prawdopodobnie najistotniejszym elementem kształtowania polityki komunistycznych władz wobec Kościoła.

ZABÓJSTWA, POBICIA, SZYKANY

Zadania dezintegracyjne o charakterze przestępczym nasilały się od początku lat 80., osiągając szczytowy punkt w październiku 1984 r., w morderstwie ks. Jerzego. Wcześniej funkcjonariusze z Grupy „D", której szefem był Grzegorz Piotrowski, odpowiadali także za liczne pobicia oraz prawdopodobnie zabójstwa. Z innych akcji należy wymienić m.in. prowadzone na szeroką skalę działania wobec kardynałów Stefana Wyszyńskiego, Karola Wojtyły, Henryka Gulbinowicza. Stałym działaniem obejmowano specjalne szykanowania pielgrzymujących do Częstochowy. Dokonywano wśród nich kradzieży, zanieczyszczano śpiwory, rozpowszechniano pornografię, zatruwano pojemniki z żywnością i napojami. O prowokacjach świadczą niezbicie materiały, które zebrał IPN. Wyjątkowo bezwzględne prowokacje bezpieka przeprowadzała głównie w latach 70. i 80., a szczególnie nasiliła je w 1978 r., po wyborze Karola Wojtyły na papieża. Wtedy komunistyczne władze zleciły podjęcie akcji „Pątnicy '78", która dowodzi stopnia degeneracji ówczesnych specsłużb. Akcją objęto pielgrzymów m.in. z 267. warszawskiej pielgrzymki. Wówczas w szeregi pątników wtopiło się wielu funkcjonariuszy SB, głównie z Radomia. Z funduszu operacyjnego SB zakupili m.in. prezerwatywy, podpaski, wino. Wszystko to po spreparowaniu rozrzucali na trasie przejścia pielgrzymki. Zachowały się relacje świadczące o tym, iż potajemnie podawano pątnikom nie tylko środki na przeczyszczenie, lecz także narkotyki. Pielgrzymi byli szczególnym obiektem zainteresowania SB przez cały okres PRL. Podrzucano księżom prowadzącym grupy pielgrzymkowe spreparowane materiały na temat ich rzekomego homoseksualizmu. Dochodziło także do pobić, dosypywania do wody środków powodujących zaburzenia żołądkowe, dokonywano kradzieży obuwia i plecków z ekwipunkiem. Wszystko to miało poniżyć i zdyskredytować uczestników pielgrzymek w oczach ludzi, którzy udzielali im noclegu.

DZIAŁANIA „NIEZNANYCH SPRAWCÓW"

Na koncie Grupy „D" zapisano m.in. torturowanie ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, napaści na księży, akcje podpalania samochodów duchownych, przeszukiwania ich mieszkań itp. Wydział „D" także po zmianie nazwy i struktury do końca PRL podejmował działalność, która była często określana jako zbrodnie „nieznanych sprawców". Opinią publiczną w 1989 r., tuż przed obradami „okrągłego stołu", wstrząsnęły szczególnie informacje o nagłych śmierciach ks. Stefana Niedzielaka, Stanisława Suchowolca, Sylwestra Zycha, które noszą znamiona działań służb bezpieki. Funkcjonariusze IV Wydziału nadal zachowywali zasady ścisłej konspiracji i zasadę 2 „D" – dezinformacji i dezintegracji, korzystając ze wszystkich możliwych technik operacyjnych. Do 1980 r. były to zadania dezintegracyjne i dezinformacyjne mające osłabiać Kościół od wewnątrz. Utworzone w 1982 r. w MSW Biuro Studiów i Analiz było specjalną jednostką o statusie samodzielnego departamentu, z około 60-osobowym personelem zajmującym się oprócz pracy analitycznej działaniami operacyjnymi. Wśród ustalonych metod działań dezintegracyjnych z wykorzystaniem tajnej agentury Departament IV stosował: anonimy szkalujące osoby ze środowiska kościelnego, akcje mające na celu podsycanie antagonizmów za pośrednictwem tajnych współpracowników, publikacje specjalnych pism kontrolowanych przez MSW, kolportaż ulotek, plakatów itp., fałszowanie materiałów pamiętnikarskich celem szkalowania osób w nich występujących. Natomiast działania specjalne to: pobicia, uszkodzenia mienia, uprowadzenia, groźby bezprawne, odurzenia, napady na mieszkania, podpalenia.

LUDZIE BEZPIEKI I ICH DUCH

Wśród zadań realizowanych przez komórki „D" były m.in.: pogłębianie tendencji odśrodkowych wśród duchowieństwa, osłabienie autorytetu czołowych przedstawicieli hierarchii, inspirowanie księży i wiernych do pisania listów o treści pożądanej przez władze, wysyłanie anonimów autoryzowanych oraz wykorzystanie spreparowanych informacji do osiągania założonych celów, rozpowszechnianie wśród kleru i aktywu działaczy świeckich wiadomości spreparowanych celem wywołania fali krytyki pracy episkopatu, inspirowanie i pogłębianie różnic oraz konfliktów między zakonami, tworzenie grup kontestacyjnych kontrolowanych przez pion IV, tworzenie grup przestępczych działających w czasie trwania pielgrzymek, dokonujących pobić itp.

Opozycję antykomunistyczną i Kościół równolegle i we współpracy z peerelowskimi służbami rozpracowywała enerdowska STASI i sowiecka KGB. Badacze służb bezpieki są zgodni co do tego, że STASI, podobnie jak KGB, kontynuowała swoje działania i akcje operacyjne także po 1989 r. Celem było operacyjne stworzenie własnego ugrupowania opozycyjnego, które wniknęłoby w struktury opozycji, a następnie rozprzestrzeniło się w kraju. Sowieckie służby miały nieograniczony dostęp do polskiego MSW i korzystały z jego struktur dla przykrycia swoich działań. Szczególnie interesowano się przywódcami opozycji i duchownymi Kościoła katolickiego. O tym wszystkim dziś należy stale przypominać. Ludzie bezpieki i ich duch wciąż się unoszą nad polskim Kościołem i Polakami.

eprasa.pl 5322f2ded0



Między literaturą a polityką

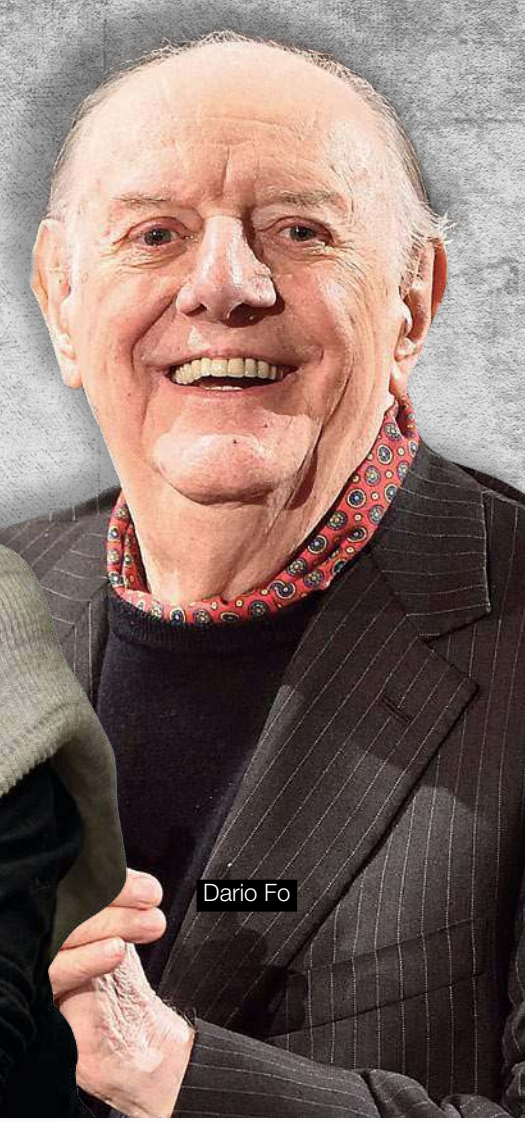
Nagroda Nobla dla Olgi Tokarczuk wpisuje się w logiczny ciąg wyborów ideowych Akademii Szwedzkiej, opartych na kryteriach światopoglądowych i politycznych, nie zaś na rzeczywistej klasie pisarskiej laureatów



GRZEGORZ GÓRNY

Od lat Nagrody Nobla w dziedzinie literatury wywołują sporo kontrowersji. Wielu krytyków przyznaje, że właściwie mówią one więcej o sympatiach ideowych i politycznych jurorów niż o rzeczywistej klasie pisarskiej laureatów. Z jednej strony najbardziej prestiżowego wyróżnienia literackiego na świecie nie otrzymali tacy mistrzowie pióra, jak Henryk Ibsen, Joseph Conrad, Rainer Maria Rilke, James Joyce, Jorge Luis Borges, Graham Greene czy Zbigniew Herbert, z drugiej zaś uhonorowano nim osoby, których nazwiska nic nie mówią dziś nawet bibliofilom, np. Rudolf Eucken,

eprasa.pl 5322f2ded0


Dario Fo

Fot. AP / EastNews (2), AGF s.r.l./REX / EastNews, Shutterstock

Paul van Heyse, Björnstjerne Björnson, Carl Spitteler czy Erik Karfeldt.

BASTION KONSERWATYZMU

Już pierwszy werdykt Akademii Szwedzkiej uznano za kontrowersyjny. Kiedy w 1901 r. Nagrodę Nobla otrzymał francuski poeta René Sully Proudhomme, ponad 40 szwedzkich pisarzy i krytyków literackich wysłało do Lwa Tołstoja list przepraszający za decyzję komitetu noblowskiego. Autor „Wojny i pokoju" uniósł się honorem i w odpowiedzi napisał: „Ucieszyła mnie wiadomość, że nie zostałem wyróżniony Nagrodą Nobla. Sprawiłaby mi ona wielki problem, ponieważ nie wiedziałbym, co zrobić z wygraną. Jestem pewien, że te pieniądze mogą przynieść tylko zło". Jurorzy zapamiętali jego odpowiedź i chociaż Tołstoj, uznawany powszechnie za najwybitniejszego wówczas pisarza na świecie, żył jeszcze 10 lat, Nobla nie dostał.

Był ku temu jeszcze jeden dodatkowy powód. Żaden z członków Akademii Szwedzkiej nie negował bynajmniej wielkości pisarskiej Lwa z Jasnej Polany, jednak raziły ich mocno jego anarchistyczne poglądy. Warto też dodać, że w tym samym 1901 r., kiedy rozstrzygały się losy pierwszej w historii nagrody, Tołstoj został ekskomunikowany za głoszenie herezji przez synod rosyjskiej Cerkwi prawosławnej.

W tamtych czasach komitet noblowski był zdominowany przez akademików o zdecydowanie konserwatywnym światopoglądzie. Ich głównym wyrazicielem okazał się pełniący do 1912 r. funkcję sekretarza Akademii Carl David af Wirsén. Jak pisze jeden z historyków Nagrody Nobla: „Wirsen uważał się za krzyżowca walczącego w imię sprawiedliwości, prawdy i dobrego smaku z dekadenckimi tendencjami swojej epoki". To z tego powodu na wyróżnienie nie mogli liczyć uważani przez niego za dekadentów: Henryk Ibsen czy August Strindberg. Temu ostatniemu pamiętliwi jurorzy wypominali też napisany jeszcze w 1883 r. wiersz krytykujący Alfreda Nobla za wynalazek dynamitu.

Nic więc dziwnego, że w pierwszym okresie Akademia Szwedzka często nagradzała pisarzy, którzy w swej twórczości opowiadali się po stronie tradycyjnych wartości świata zachodniego. Wyróżniano przy tym często osobistości o bardzo wyrazistych poglądach ideowych, np. Rudyarda Kiplinga (1907) – gorącego zwolennika brytyjskiego imperializmu i kolonializmu, czy Vernera von Heidenstama (1916) – autora m.in. broszur potępiających szwedzką socjaldemokrację, dzięki którym zyskał na lewicy przydomek „poety junkrów".

Konserwatyzm akademików szwedzkich miał jednak swoiste skandynawskie zabarwienie. Świadczyło o tym np. uhonorowanie w 1906 r. włoskiego poety Giosuè Carducciego. Nagroda wywołała wiele polemik, ponieważ twórca znany był głównie jako autor satanistycznego hymnu „Do Szatana" z 1863 r. Miał też na swym koncie antyklerykalne „Polemiki szatańskie" oraz wiele innych utworów atakujących Kościół. O jego jakobińskich poglądach wiele mówił żarliwy wiersz ku czci dwóch zamachowców, którzy w 1867 r. podłożyli bombę w rzymskich koszarach, zabijając 23 żołnierzy papieskich oraz czterech przypadkowych przechodniów (w tym małe dziecko), za co skazani zostali na karę śmierci. W swym utworze Carducci ubolewał nad tragicznym losem straconych morderców, nie okazując krztyny współczucia ofiarom zamachu.

Z czasem porzucił jednak rewolucyjne poglądy i stał się laickim konserwatystą. Gdy został wyróżniony Nagrodą Nobla, zdominowana przez protestantów Akademia Szwedzka poczuła się w obowiązku, by wyjaśnić, iż pogańskie motywy w twórczości włoskiego poety nie oznaczały wcale odrzucenia chrześcijaństwa, lecz jedynie krytykę błędnej polityki Kościoła katolickiego.

W 1924 r., mając wybór między lewicowym Stefanem Żeromskim a prawicowym Władysławem Reymontem, jurorzy zdecydowali się uhonorować autora „Chłopów", nie zaś „Przedwiośnia". Fascynował ich szczególnie ludowy nurt literatury, głoszący przywiązanie do rodzinnej ziemi, stąd nagroda nie tylko dla Reymonta, lecz również dla Knuta Hamsuna (1920) i Grazii Deleddy (1926).

Nierzadko na werdykt jury miały również wpływ wydarzenia polityczne. W 1917 r., podczas I wojny światowej, neutralnej Szwecji zależało na zademonstrowaniu przyjacielskich stosunków z Danią. Członkowie Akademii Szwedzkiej przyznali więc Nobla aż dwóm pisarzom duńskim: Karlowi Gjellerupowi i Henrikowi Pontopiddanowi. Kiedy z kolei w 1939 r. Związek Sowiecki napadł na sąsiednią Finlandię, jurorzy solidaryzując się z napadniętymi Skandynawami uhonorowali nagrodą fińskiego twórcę Fransa Sillanapää.

PRZYCZÓŁEK SOCJALIZMU

Z czasem jednak w komitecie noblowskim zaczęli przeważać zwolennicy światopoglądu lewicowego. Była to logiczna konsekwencja zdominowania tamtejszego życia publicznego i umysłowego przez Szwedzką Socjaldemokratyczną Partię Robotniczą, która od 1921 do 2006 r. (za wyjątkiem 15 lat) niepodzielnie sprawowała rządy w kraju.

eprasa.pl 5322f2ded0

Wystarczyło kilka pokoleń politycznego monopolu lewicy, by wszystkie instytucje państwowe zostały ukształtowane w duchu socjalizmu.

W 1944 r., kiedy ludobójstwo Żydów w Europie osiągnęło swoje apogeum, komitet noblowski przyznał nagrodę duńskiemu pisarzowi Johannesowi Vilhelmowi Jensenowi – piewcy rasowej wyższości narodów nordyckich. Twórca otrzymał Nobla za swe opus magnum, czyli pisany przez 14 lat sześciotomowy cykl powieściowy „Długa podróż". Jest to wielki fresk historyczny, który opowiada o triumfalnym pochodzie rasy nordyckiej przez dzieje – od epoki lodowcowej do czasów nowożytnych. Jensen twierdził w nim, że wszystkie wielkie odkrycia i wynalazki ludzkości były dziełem tej właśnie rasy. W tomie „Christofer Columbus" autor utrzymywał np., że Kolumb nie był Włochem, lecz czystym Nordykiem.

Trzeba pamiętać, że były to czasy, gdy w Szwecji prowadzono aktywną politykę eugeniczną, przymusowo sterylizując „niepełnowartościowe jednostki". Zapoczątkował ją rząd socjaldemokratyczny, tworząc w 1922 r. w Uppsali pierwszy na świecie Instytut Higieny Rasowej, powołany do życia przez wieloletniego przywódcę socjaldemokracji i laureata pokojowej Nagrody Nobla z 1921 r., ówczesnego premiera Hjalmara Brantinga. Przywódcą ruchu antysemickiego w Szwecji był wówczas późniejszy socjaldemokratyczny minister oświaty i wyznań Arthur Engberg, który w 1921 r. w lewicowym czasopiśmie „Arbetet" pisał: „Poprzez swoje zdobywanie świata dopełniło żydostwo światową politykę rasową. Jest to powodem ich bezlitosnej ekspansji. W naturze judaizmu leży wgryźć się, uspokoić od środka, a potem bezlitośnie spalić. Judaizm był i jest jemiołą indoaryjskich ludów".

Ówczesne osiągnięcia szwedzkich socjalistów inspirowały ich ideologicznych pobratymców, czyli narodowych socjalistów w Niemczech. Przykładem może być przymusowa polityka eugeniczna. W latach 1922–1975 w Szwecji z powodów rasowo-biologicznych wykastrowano ponad 63 tys. osób, przede wszystkim dzieci. W przeliczeniu na liczbę mieszkańców jest to najwyższy odsetek tego typu zabiegów na świecie – nawet w Trzeciej Rzeszy dokonano proporcjonalnie mniej przymusowych sterylizacji.

ROZSADNIK NOWEJ LEWICY

Z czasem szwedzka socjaldemokracja zmieniała się, przyjmując coraz więcej postulatów nowej lewicy, a wraz z nią zmieniał oblicze komitet noblowski. W rezultacie od lat kolejne werdykty tego gremium coraz częściej interpretowane są w kluczu ideowym i politycznym, a nie w kategoriach czysto literackich, np. Nobla dla Nadine Gordimer (1991) odebrano jako wyraz sprzeciwu wobec apartheidu w RPA, laur zaś dla Toni Morrsison (1993) jako ukłon w stronę czarnoskórych feministek w USA. Od niemal pół wieku trudno znaleźć wśród laureatów kogoś, kto otwarcie przyznawałby się do wiary w Boga, a religia stanowiłaby dla niego inspirację do twórczości.

Od niemal pół wieku trudno znaleźć wśród laureatów literackiego Nobla kogoś, kto otwarcie przyznawałby się do wiary w Boga, a religia stanowiłaby dla niego inspirację do twórczości

W 1997 r. Nagrodę Nobla otrzymał włoski facecjonista Dario Fo, który pozostał piewcą komunizmu nawet po upadku tego systemu i ujawnieniu jego zbrodni. Co ciekawe, w czasie II wojny światowej Fo walczył do samego końca w oddziałach najbardziej fanatycznych faszystów jako ochotniczy skoczek spadochronowy w Republice Salo Mussoliniego. Gustaw Herling-Grudziński na wieść o tym werdykcie powiedział: „Decyzja Akademii ośmiesza tę instytucję, ale pośrednio także poprzednich laureatów".

Rok później uhonorowany został inny lewicowy twórca – Portugalczyk José Saramago, o którym dziennik „L'Osservatore Romano" pisał, że „z ideologicznego punktu widzenia pozostaje nieuleczalnym komunistą". Pisarz zasłynął m.in. ze swych antyizraelskich wypowiedzi, po których czytelnicy w tym kraju masowo zaczęli zwracać jego książki, a księgarze usuwać je z witryn.

W 2004 r. nagrodę otrzymała austriacka pisarka Elfriede Jelinek, która nawet w swej ojczyźnie kojarzona była raczej jako marksistowska feministka i obyczajowa skandalistka niż jako literacki geniusz. Na znak protestu z komitetu noblowskiego wycofał się wówczas prof. Knut Ahnlund, który nazwał decyzję jurorów „antynoblem" kompromitującym nagrodę oraz wywołującym sceptycyzm wobec zarówno minionych, jak i przyszłych werdyktów Akademii Szwedzkiej. Ahnlund, który wiele razy uczestniczył w obradach noblowskiego gremium i miał okazję poznać mechanizm jego funkcjonowania, oświadczył, że wybór Jelinek miał charakter polityczny i nie miał nic wspólnego z literaturą.

To tłumaczy, dlaczego w ostatnich latach tak często nagradzani są autorzy drugorzędni. Nawet jeśli zdarza się uhonorowanie pisarza dużego formatu, to i tak okazuje się on albo przedstawicielem obozu lewicy, jak np. Günter Grass (1999) czy J.M. Coetzee (2003), albo reprezentantem środowiska liberalnego, jak Orhan Pamuk (2006) czy Mario Vargas Llosa (2010). Trudno dziś natomiast liczyć na wyróżnienie dla pisarza o poglądach innych niż postępowi akademicy szwedzcy.

Niegdyś konserwatywni jurorzy potrafili wznieść się ponad swe ideowe sympatie i docenić literacką wielkość lewicowych twórców, z którymi niekoniecznie się zgadzali, np. Romaina Rollanda, George'a Bernarda Shawa czy Sinclaira Lewisa. Po dzisiejszych jurorach, bezkrytycznie zapatrzonych w lewicowe idee, takich „wyskoków" trudno oczekiwać.

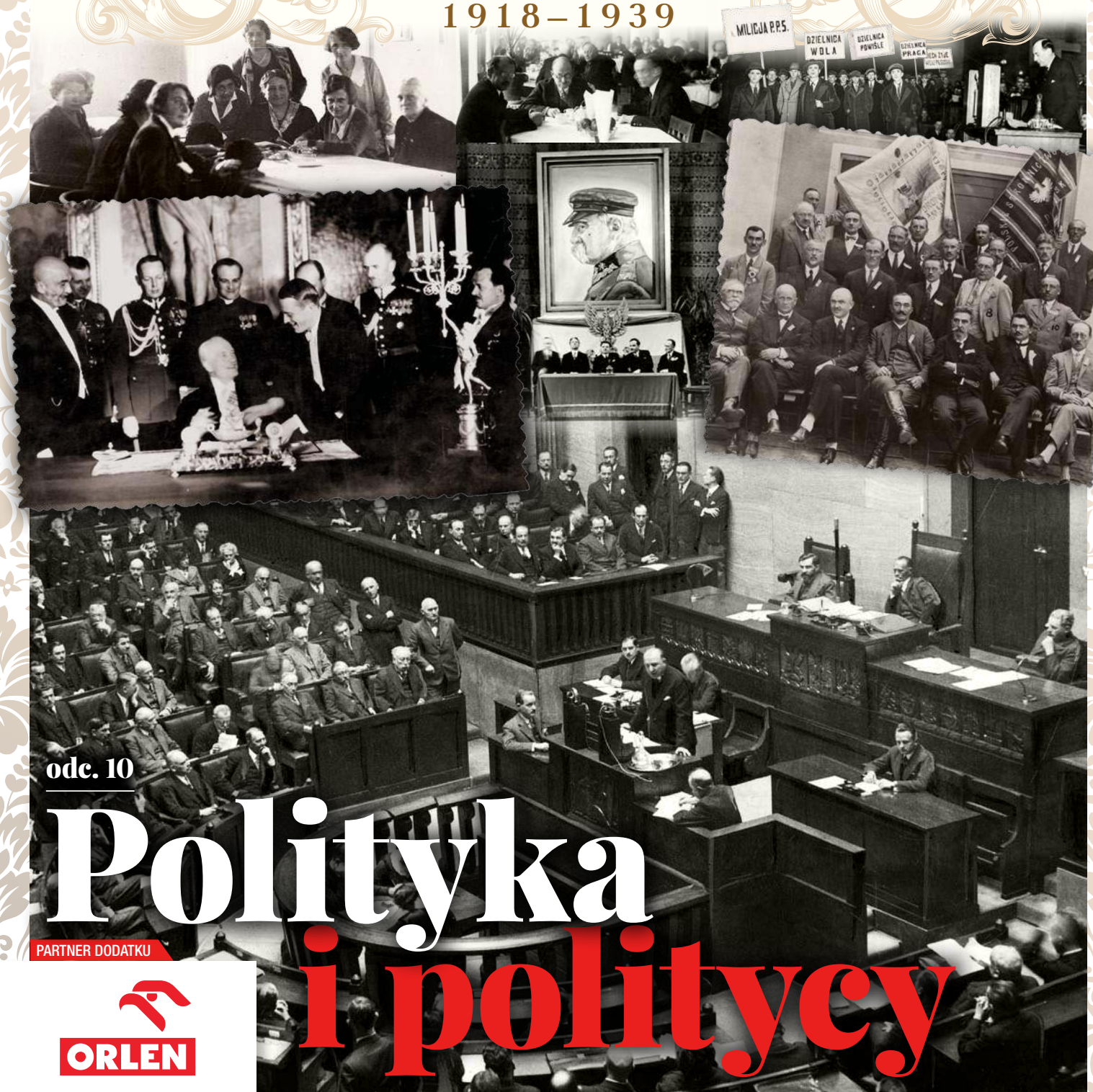
eprasa.pl 5322f2ded0

SIECI

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



odc. 10

Polityka i politycy

PARTNER DODATKU
ORLEN

eprasa.pl/5322f2ded0



Język polityczny II RP

był bardziej agresywny niż dzisiejsze spory

Z dr. hab. Pawłem Skibińskim z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego rozmawia Maciej Wolny

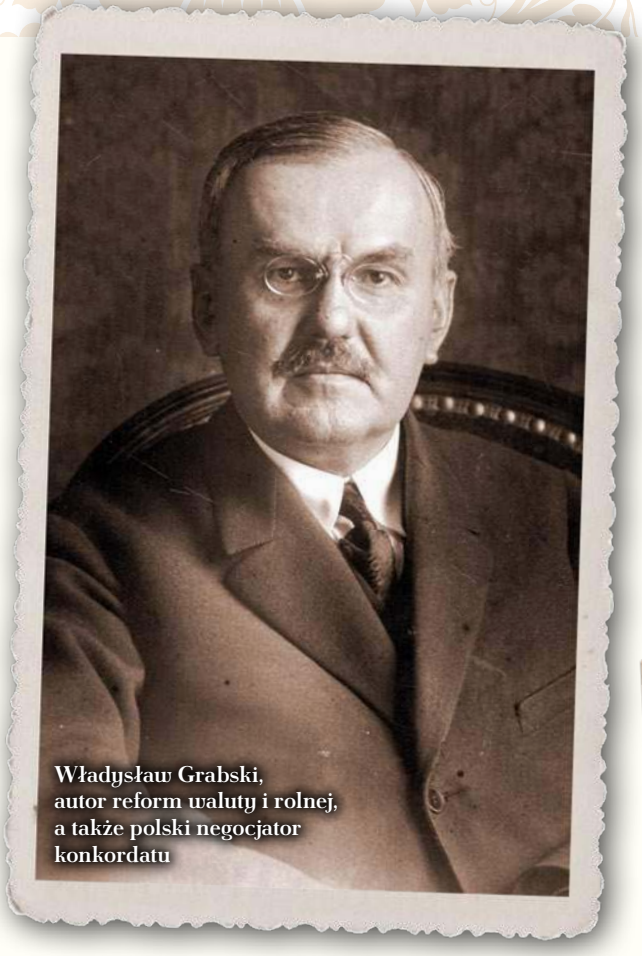
Odzyskanie przez Polskę niepodległości pozwoliło na rozpoczęcie procesu systemowego formowania II RP. Jak wyglądał ten proces w kontekście kształtowania się polskiej sceny politycznej?

Paweł Skibiński: Polska scena polityczna była w znacznej mierze ukształtowana jeszcze przed odzyskaniem niepodległości w 1918 r. Istniały na niej dwa zasadnicze obozy: z jednej strony prawica narodowa, z drugiej lewica niepodległościowa. Były one ukształtowane na długo przed wybuchem I wojny światowej. Obok istniał zróżnicowany ruch ludowy. Sejm Ustawodawczy, pierwszy Sejm niepodległej Polski funkcjonujący od stycznia 1919 r., wykrystalizował natomiast pewne formacje centrum sceny politycznej. Niektóre z nich, jak Narodowe Zjednoczenie Ludowe, które będzie miało wielkie znaczenie w konfiguracjach sejmowych okresu 1919–1922, znikną wkrótce potem ze sceny politycznej, a inne pozostaną, np. chrześcijańska demokracja, która wyłoni się właśnie w okresie Sejmu Ustawodawczego.

Polityka to przede wszystkim ludzie, którzy ją prowadzą. Jakich jej przedstawicieli możemy wyróżnić w okresie międzywojnia?

Do 1926 r. mamy do czynienia z kilkoma wybitnymi osobowościami sceny parlamentarnej. Wincenty Witos – trzykrotny premier, niekoronowany król polskiego parlamentaryzmu, który bez wątpienia przyczynił się do mobilizacji społecznej w okresie 1920 r. i w znacznej mierze wyznaczył pewne standardy cywilizowanej gry parlamentarnej, chociaż nie wszystkie jego posunięcia można uznać za udane. Kolejną osobą, która niewątpliwie sprawdzała się w tej grze, ale padła ofiarą osobistej niechęci Józefa Piłsud-

eprasa.pl/53222ded0



Władysław Grabski, autor reform waluty i rolnej, a także polski negocjator konkordatu

skiego, był Wojciech Korfanty, kojarzony przede wszystkim jako przywódca powstań śląskich, ale trzeba powiedzieć, że również niespełniona nadzieja polskiej prawicy na premierostwo. To, że nie kierował rządem, było skutkiem zabiegów zastosowanych przez Józefa Piłsudskiego, który nie dopuścił do sformułowania rządu Korfantego, wpuszczając go wyłącznie na mniej eksponowane stanowiska. Nie zmienia to jednak faktu, że Korfanty był prawdopodobnie najzdolniejszym politykiem parlamentarnym polskiej prawicy. Trzecią osobą, która niewątpliwie odcisnęła swoje pozytywne piętno na okresie pierwszej części okresu międzywojennego, był Władysław Grabski. Bardzo sprawny reformator państwa. Kluczowa jest jego reforma waluty, reforma rolna, ale także błyskawiczne wynegocjowanie konkordatu, co było czynnikiem stabilizującym funkcjonowanie państwa. W tym okresie nie sprawdził się natomiast Józef Piłsudski, który nie chciał szanować reguł gry parlamentarnej.

W 1926 r. wystawił on polską rację stanu na wielką próbę, ponieważ zamach majowy to było przedsięwzięcie bardzo niebezpieczne, podjęte w celu zdobycia nieograniczonej władzy przez własny obóz polityczny. Potem Piłsudski bez wątpienia był człowiekiem, który scenę polityczną stabilizował i niestety na nim opierała się cała jakość rządzenia. Kiedy go zabrakło w 1935 r., strategiczna zdolność budowania państwa przez obóz sanacyjny okazała się niewystarczająca, bo niewątpliwie mimo wielu sukcesów II RP jest to też okres niewykorzystanych szans.

Pod koniec listopada 1918 r. tymczasowy naczelnik państwa Józef Piłsudski wydał dekret o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego. Znalazły się w nim zapisy dotyczące uznania praw wyborczych kobiet, czyli coś, co dzisiaj można uznać za oczywistość. Jak tę decyzję oceniano wtedy i jak ocenia się ją z perspektywy czasu?

To był bardzo poważny krok w stronę budowy nowoczesnego państwa, angażujący kobiety w bezpośrednią odpowiedzialność za własny kraj. Warto zwrócić uwagę, że w Polsce największe kobiece organizacje polityczno-społeczne były związane z prawicą, np. Narodowa Organizacja Kobiet, która powstała jako organizacja



1919

DO KOBIET!

Wszystkie stronnictwa Narodowe odrodzonej i zjednoczonej z trzech zaborów Polski przyznały **kobietom pełne prawo wyborcze do Sejmu.**

Ten pierwszy Sejm będzie Sejmem ustawodawczym, to jest: ci, którzy przez nas będą wybrani, **będą układali prawa** dla całego narodu;

a więc:

Jeśli chcecie, aby **porządek i ład** zapanował w kraju!

Jeśli chcecie, aby dzieci Wasze były uczone i wychowane w szkole po **chrześcijańsku** i wyrosły na zacnych **Polaków i dobrych katolików!**

Jeśli chcecie, żeby **wszyscy** w narodzie **mieli dobrobyt!**

Jeśli chcecie, żeby sieroty, starcy i kaleki mieli opiekę, a zdrowi pracę i zarobek uczciwy, któryby **zabezpieczał ich byt** nietylko za młodu ale i na **starość!**

A nie chcecie, żeby **żydzi przez socjalistów nami rządzili!**

to idźcie **wszystkie** do wyborów wraz z Waszemi ojcami, mężami, braćmi i synami i głosujcie na **najlepszych, najuczciwszych i najmędrszych** w narodzie, aby oni byli wybrani do Sejmu.

Każdy polski głos przez niepójście na wybory stracony ułatwi wejście do Sejmu żydom i socjalistom!



Fot. NAC x4

eprasa.pl 5322

mobilizująca głosy Polek na rzecz kandydatów prawicowych w pierwszych wyborach 1919 r. Wielu obserwatorów polskiej sceny politycznej wyrażało pewne obawy co do konsekwencji głosowania kobiet, jednak były to obawy wynikające z nadmiernej ostrożności lub tradycyjnego w Polsce narzekania, natomiast nie było realnej debaty politycznej, w której starliby się przeciwnicy i zwolennicy przyznania kobietom prawa głosu. Wszyscy główni aktorzy sceny politycznej to akceptowali.

W 1921 r. w życie weszła tzw. konstytucja marcowa. Czy była ona dobrą odpowiedzią na potrzeby regulacji wielu kwestii w młodym państwie polskim?

Konstytucja marcowa była nie najgorsza, chociaż wymagała poprawy i zresztą przewidywała taki mechanizm, z którego ostatecznie w pełni nie skorzystano. Najsłabszymi punktami systemu politycznego opartego na tej konstytucji były celowe osłabienie władzy wykonawczej przez poddanie jej drobiazgowej kontroli władzy ustawodawczej oraz bardzo niedobra ordynacja wyborcza, która była jednak standardowa dla ówczesnych rozwiązań europejskich.

Kiedy Józef Piłsudski przejmował władzę w 1926 r., polski system polityczny był już gotów do tego, by wprowadzić zmianę konstytucyjną na rzecz wzmocnienia władzy wykonawczej. Paradoks polega na tym, że Piłsudski, który uczynił z tego główne hasło swego zamachu stanu, nie walczył z przeciwnikami wzmocnienia władzy wykonawczej, tylko ze swoimi osobistymi wrogami. Gdyby nawet nie było zamachu majowego, to zapisy, które znalazły się we wprowadzonej w 1926 r. noweli sierpniowej, a dotyczyły wzmocnienia pozycji prezydenta i rządu, i tak zostałyby przyjęte.

Konstytucja marcowa nie rozwiązała natomiast problemu destabilizującej roli mniejszości narodowych w dwudziestoleciu międzywojennym. Były one bardzo mocno nakierowane na realizację własnych interesów politycznych i nie identyfikowały się z państwem polskim. System polityczny, nawet ultrademokratyczny, nie był dla nich atrakcyjny. To był kłopot systemowy, którego ani konstytucja marcowa, ani kwietniowa nie rozwiązały. Pytanie, czy jakikolwiek system polityczny byłby w stanie tu pomóc.

W kwietniu 1935 r. ówczesny prezydent Ignacy Mościcki podpisał ustawę zasadniczą Rzeczypospolitej nazwaną konstytucją kwietniową. Jak zmieniała ona system polityczny w Polsce?

Konstytucja kwietniowa oraz ordynacja przygotowana przez Walerego Sławka w 1935 r. były dokumentami opisującymi system państwa autorytarnego, gdzie swobody demokratyczne zostały zepchnięte na daleki plan. Była zapisem świadomości tylko jednego obozu politycznego, czyli piłsudczykowskiego, który w żadnych wolnych wyborach nie uzyskiwał więcej niż 1/3 poparcia społecznego. Jego władza wynikała z zamachu majowego, czyli aktu zupełnie pozaparlamentarnego. Konstytucja kwietniowa, choć nie jest rozwiązaniem skrajnym, bo w ówczesnej Europie obowiązywały akty prawne znacznie bardziej ograniczające swobody polityczne obywateli, to sama w sobie nie stanowiła wzorca. Był to zapis bardzo jednostronnego ustroju, gdzie całość władzy skupiała się właściwie na prezydencie. Trzeba jednak dodać, że konstytucja kwietniowa pozostawiała jednak nienaruszone zasadnicze prawa obywatelskie, gwarantowane jeszcze zachowanymi po 1935 r. zapisami konstytucji marcowej.

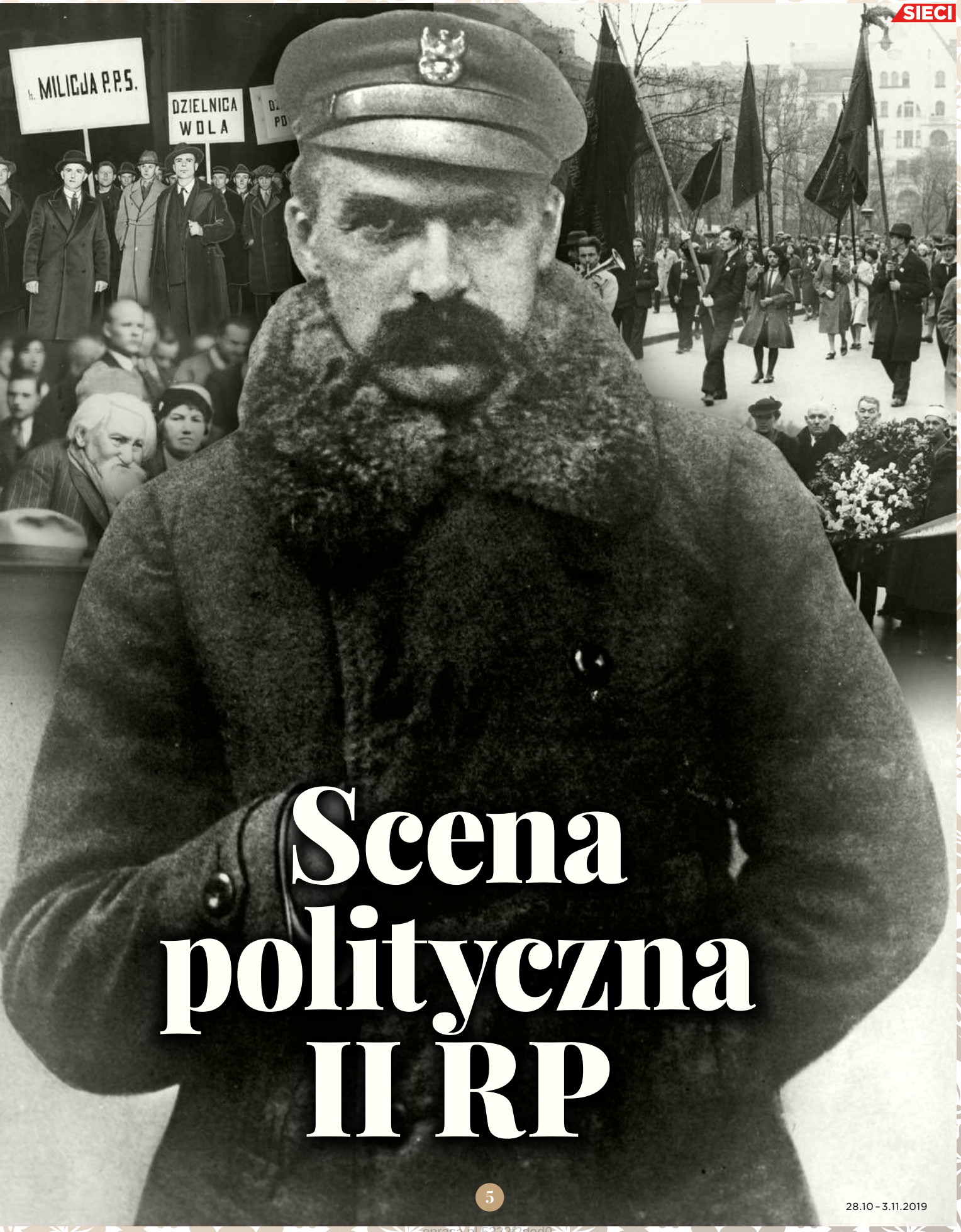
Dzisiaj często się wskazuje na polaryzację polskiej sceny politycznej. Czy w II RP było podobnie?

Stopień polaryzacji politycznej był bardzo podobny, przy czym była ona wtedy wielobiegunowa. II RP to czas ostrych sporów politycznych z powszechnym przyzwoleniem na stosowanie przemocy, chociaż w Polsce działo się to i tak na mniejszą skalę niż w innych krajach europejskich. W Polsce nie zdecydowano się np. na masowe prześladowania fizyczne przeciwników politycznych, nie mieliśmy także regularnej wojny domowej, ale takie skrajne rozwiązania nie były teoretycznie wykluczone. Spory merytoryczne i ideowe niewątpliwie wyznaczały osie podziałów politycznych, jednak nakładały się na to również spory personalne. Piłsudski, który w III RP stał się ikoną polskiej niepodległości, w okresie międzywojennym był symbolem akceptowanym przez wprawdzie liczną, ale jednak mniejszość Polaków. To pokazuje, jak dziwnymi drogami idą pewne procesy świadomościowe. Natomiast język debaty publicznej w II RP był zdecydowanie bardziej agresywny niż dziś. To, do czego jesteśmy przyzwyczajeni, w międzywojniu byłoby z pewnością jeszcze bardziej zaostrzane. Warto jednak zaznaczyć, że absolutnie nie było akceptowane wynoszenie sporów polskich na zewnątrz, co dziś jest niestety na porządku dziennym.



Fot. NAC x6

eprasa.pl/5322f2ded0



Scena polityczna II RP

eprasa.pl/532212ded0

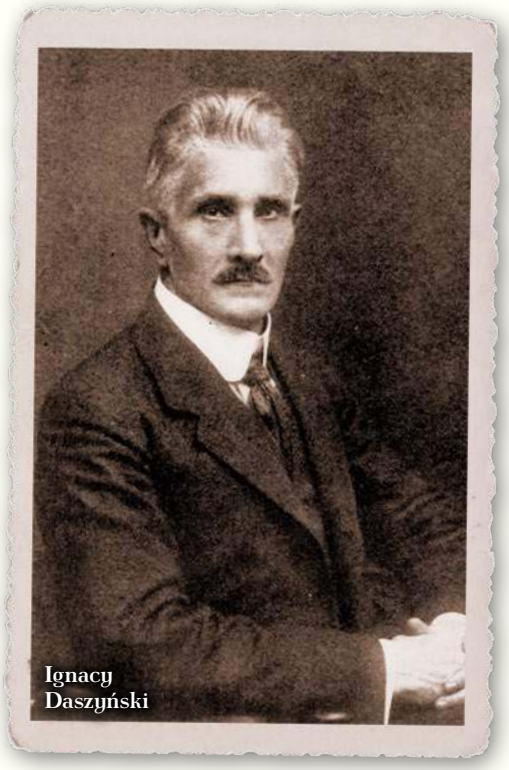
Istniejący od czasów rewolucji francuskiej podział na prawicę, sprzeciwiającą się radykalnym zmianom, i lewicę, chcącą w sposób gruntowny przebudować system, zupełnie nie przystaje do rzeczywistości politycznej dzisiejszego świata – jak również do czasów II Rzeczypospolitej. Dlatego tak istotne jest przyjrzenie się podstawowym ideom i założeniom międzywojennych ugrupowań. W ten sposób możemy postarać się zrozumieć, co ówczesnych polityków motywowało i dlaczego scena polityczna II RP wyglądała tak, jak wyglądała

Sytuacja wyglądała różnie – na początku międzywojnia panowało pełne rozbicie polityczne i coś, co nazwalibyśmy dzisiaj partyjniactwem, Józef Piłsudski określał zaś mało sympatycznym mianem „cloaca maxima". Z kolei po przewrocie majowym, a jeszcze bardziej po wprowadzeniu Konstytucji kwietniowej i śmierci Piłsudskiego, mieliśmy monopol jednego jedynego obozu władzy, który z przeciwnikami politycznymi się w żaden sposób nie patyczkował.

Co istotne i warte podkreślenia, niemal wszystkie partie i frakcje międzywojennej Polski miały jedną wartość, której hołdowały – tą wartością była dbałość najpierw o odzyskanie, a później utrzymanie suwerenności państwa. Musimy pamiętać, że wspomnienie 123 lat zaborów, sąsiedztwo nieprzyjaznych (delikatnie rzecz ujmując) sąsiadów i bardzo skomplikowana sytuacja gospodarcza i społeczno-etniczna niepodległej Polski wymuszały na politykach działanie w warunkach niepewności i nieustającej troski o to, czy młode państwo przetrwa. Do spełnienia tego celu obierano różne drogi i ideologie. Niektóre z nich są z dzisiejszej perspektywy mocno kontrowersyjne i co najmniej politycznie niepoprawne. Przyjrzyjmy się największym siłom politycznym II RP.

SOCJALIŚCI

Warto pamiętać o tym, że międzynarodowy ruch socjalistyczny powstał po części w reakcji na sytuację w Polsce – utworzona w 1864 r. przez europejskie środowiska robotnicze I Międzynarodówka została założona podczas spotkania, które miało oddać hołd dzielnym polskim powstańcom po zdławieniu przez Aleksandra II powstania styczniowego. Organizacja polskich socjalistów, czyli Polska Partia Socjalistyczna, narodziła się na obczyźnie, w 1892 r. w Paryżu. Podobne partie powstały pod zaborami austriackim i pruskim. Polscy socjaliści czasu odzyskiwania suwerenności byli w przeważającej części politykami o orientacji niepodległościowej. Do postulatów typowo socjalistycznych, jak „wyzwolenie polskiej klasy robotniczej z jarzma kapitalizmu", „zdobycie władzy dla proletariatu", kwestie socjalne (bezpłatna edukacja, ochrona pracowników i ich praw) i rozdział Kościoła od państwa, działacze PPS dodawali szczególny cel, jakim była „niepodległa rzeczpospolita demokratyczna". Duchowym i ideowym mentorem polskich socjalistów można nazwać Bolesława Limanowskiego. Partia dość szybko podzieliła się na frakcję internacjonałów i niepodległościowców, a później następowały dalsze różnice na tle stosunku do antycarskiej rewolucji w Rosji z 1905 r. i kontaktów z rosyjskimi socjalistami. To właśnie wtedy Organizacja Bojowa z Józefem Piłsudskim na czele zaczęła prowadzić działalność polegającą na przeprowadzaniu szerokiego spektrum akcji siłowych. Podczas I wojny światowej Piłsudski nie był już członkiem PPS, ale partia zachowała swój niepodległościowy charakter, a w trakcie i po rewolucji październikowej jej członkowie sympatyzowali z prześladowanymi przez bolszewików eserowcami.


Ignacy Daszyński

Po odzyskaniu przez Polskę suwerenności czołowi politycy z socjali-

eprasa.pl/53222ded0


Róża Luksemburg

stycznym rodowodem (Jędrzej Moraczewski, Ignacy Daszyński, Tomasz Arciszewski, Mieczysław Niedziałkowski, Norbert Barlicki) byli jednymi z najważniejszych postaci polskiego życia politycznego. W wyborach socjaliści nigdy nie uzyskali wyniku, na który liczyli, biorąc pod uwagę posłuch, jaki mieli wśród robotników w dużych miastach i członków związków zawodowych. Potrafili ich nakłonić chociażby do strajku generalnego w listopadzie 1923 r. (słynne krwawe starcia w Krakowie) czy sparaliżować kolej i tym samym ułatwić przeprowadzenie zamachu majowego Piłsudskiemu w 1926 r. Drogi sanacji i socjalistów szybko się rozeszły, a PPS stała się rdzeniem antyrządowego Centrolewu, z kolei jej przywódcy stanęli przed sądem w procesie brzeskim na początku lat 30. Wyjątkiem byli rozłamowcy tworzący PPS – dawną Frakcję Rewolucyjną z Rajmundem Jaworowskim na czele. Socjaliści stali na pozycjach opozycyjnych do końca istnienia II RP, organizując wielotysięczne strajki i demonstracje (jak choćby w marcu 1936 r. na krakowskich Plantach), a w trakcie wojny działali w podziemiu jako PPS – Wolność Równość Niepodległość. Przywódcy „prawdziwego" polskiego ruchu socjalistycznego, którzy nigdy nie wpadli w romans z radzieckimi kolegami po fachu, ginęli po końcu wojny w kazamatach ZSRR i Polski, czego najjaskrawszym przykładem pozostaje mord na Kazimierzu Pużaku, przywódcy PPS-WRN i podlegającej mu Gwardii Ludowej, dokonany w 1950 r. w więzieniu w Rawiczu.

KOMUNIŚCI

Korzeni polskich komunistów, będących pod przemożnym wpływem rewolucyjnych i antynarodowych koncepcji Karola Marksa, można szukać w tworzonych przez Ludwika Waryńskiego, Ludwika Kulczyckiego i Juliana Marchlewskiego pod zaborem rosyjskim w latach 80. XIX w. partiach o nazwie Proletariat czy Związek Robotników Polskich. W początkowych latach rodzenia się polskiego ruchu socjalistycznego drogi niepodległościowców i internacjonałów były często wspólne, ale w końcu musiały pójść w różne strony. Stało się to po powstaniu PPS z hasłami niepodległościowymi – w reakcji w 1883 r. komuniści powołali Socjaldemokrację Królestwa Polskiego (później dodano „i Litwy") z Marchlewskim, Różą Luksemburg i Adolfem Warskim na czele. Na sztandarach partii wypisane były hasła zniszczenia kapitalizmu poprzez proletariacką rewolucję, która miała mieć charakter międzynarodowy i zmieść państwa narodowe z powierzchni ziemi – już niebawem Włodzimierz Lenin będzie te idee wprowadzał w życie. Komuniści twardo obstawali przy tym, że postulat niepodległości Polski, wysuwany przez PPS, jest szkodliwy i stoi w sprzeczności z potrzebą światowej rewolucji. Na ich pozycje przeszła część socjalistycznych rozłamowców z PPS-Lewicy, a z połączenia obu sił w grudniu 1918 r. w niepodległej Warszawie narodziła się Komunistyczna Partia Robotnicza Polski. Duża część polskich komunistów była w tamtym czasie w Rosji i zajmowała ważne stanowiska w tworzonym przez bolszewików nowym porządku państwa, czego koronnym przykładem pozostaje Feliks Dzierżyński.

Co warte zapamiętania, KPRP nie uznawała niepodległości Polski i postanowień traktatu wersalskiego – oddanie polskich ziem Niemcom miało przyspieszyć rewolucję u naszych zachodnich sąsiadów. Do komunistów dołączali podobnie myślący przedstawiciele partii mniejszości narodowych, ale również chłopskich i robotniczych, a partia wchodziła w skład Kominternu, czyli międzynarodówki nadzorowanej i finansowanej przez Lenina. Ostentacyjnie lekceważyła polskie przepisy dotyczące działalności politycznej, tak więc w zasadzie od początku działalności była nielegalna. Nic dziwnego, że w obliczu wojny z bolszewikami polscy komuniści okazali się radzieckimi agentami i tworzyli Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski, który miał przejąć władzę w Polsce po zwycięstwie Sowietów, wspartym powszechną robotniczo-chłopską rewolucją, do czego rzecz jasna nie doszło. Później komuniści skupiali się na walkach frakcyjnych na tle bycia „prawdziwymi" i „mniej prawdziwymi" bolszewikami, którzy z większą lub mniejszą miłością patrzyli na poczynania Józefa Stalina. Ostatecznie na czele Komunistycznej Partii Polski stanął Julian Leszczyński, który objął to stanowisko na fali zmian związanych z rozliczaniem „błędu majowego". Komuniści poparli przewrót Piłsudskiego jako dający możliwość rozpętania chaosu i rewolucji, co niestety dla nich się nie sprawdziło. Ich działalność w II RP nie była usłana różami – byli silnie inwigilowani przez władze, często zatrzymywani i sądzeni, czego dowodem ich silna reprezentacja w niesławnym Miejscu Odosobnienia w Berezie Kartuskiej działającym od 1934 r. W wyborach komuniści albo w ogóle nie startowali, albo ukrywali się za parawanem innych organizacji, wprowadzając do Sejmu pojedynczych posłów. Najsilniejsi byli tradycyjnie na terenach uprzemysłowionych oraz zamieszkiwanych przez mniejszości narodowe. Działalność KPP zakończyła

Fot. NAC x2

eprasa.pl/53222ded0

się tragicznie – wielka stalinowska czystka lat 30., która pochłonęła miliony ofiar (w tym ponad 100 tys. Polaków w ramach „operacji polskiej" NKWD), nie ominęła polskich komunistów. Partia została zdziesiątkowana, Komintern wyrzucił ją ze swoich struktur, a ostatecznie w sierpniu 1938 r. KPP przestała istnieć.

NARODOWCY

Powstała w 1893 r. Liga Polska pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, wyrosła z doświadczeń wcześniejszych organizacji Zygmunta Miłkowskiego i Zygmunta Balickiego, odrzucała polityczny idealizm, stawiała na nacjonalizm, wedle którego naród polski był wartością nadrzędną względem innych, i negowała wszelkie postulaty socjalistów, kierując się w gospodarce zasadami liberalizmu. Polityczną emanacją narodowców stało się Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne, które nie bez sukcesów walczyło o uznanie polskiego żywiołu w ramach caratu. To właśnie niechęć do rosyjskiej rewolucji 1905 r. doprowadziła do wzmożonego napięcia w stosunkach z PPS i podziałów w ramach samej endecji. Dla narodowców w trakcie I wojny światowej głównym wrogiem nie był car, ale polityka pruska, którą z całą mocą zwalczali. Tym samym ukształtowała się tradycyjna strefa wpływów endecji na ziemiach odbitych od Niemców, do których należały Wielkopolska, Pomorze i Górny Śląsk. Ówczesną prawicę, z racji poglądów gospodarczych, wspierali także wielcy właściciele ziemscy i przemysłowcy. Niepodważalna pozycja Piłsudskiego w odrodzonej Polsce stawała ością w gardłach narodowców, co wpłynęło na błyskawiczną polaryzację polskiego życia politycznego w pierwszych latach II RP. W wyborach z 1919 i 1922 r. Związek Ludowo-Narodowy zostawiał rywali w tyle, ale skrajna wielopartyjność parlamentu nigdy nie pozwoliła narodowcom na samodzielne rządy. Endecja szczególnie silnie forsowała koncepcję inkorporacyjną, zgodnie z którą wszelkie mniejszości narodowe, a tych było w II RP ponad 30 proc., należy z całą mocą polonizować. Dlatego tak gwałtowne reakcje na prawicy wywołał wybór na prezydenta w grudniu 1922 r., którego dokonano z pomocą głosów właśnie mniejszości narodowych. Ogólnopolskie napięcie ideologiczne zakończyło się zamordowaniem Narutowicza przez powiązanego z narodowcami Eligiusza Niewiadomskiego, które Piłsudski komentował później słowami: „Ta szajka, ta banda, która czepiała się mego honoru, tu zechciała szukać krwi". Endecja odcięła się od inspirowania zbrodni, ale faktem jest, że pogrzeb zamachowca po wykonaniu nań kary śmierci, stał się dla niektórych narodowców okazją do politycznej manifestacji.


Roman Dmowski

Napięcie na linii narodowcy–obóz piłsudczykowski nie ustępowało, szczególnie w obliczu politycznego i gospodarczego chaosu kolejnych lat czy dość serdecznych stosunków pomiędzy Dmowskim a radzieckimi dyplomatami. Czarę goryczy przelało utworzenie drugiej koalicji Chjeno-Piasta w 1926 r. (pierwsza funkcjonowała trzy lata wcześniej), w reakcji na którą Piłsudski przeprowadził zamach stanu i przejął władzę. Wiadomym było, że w realiach sanacyjnych polityczna działalność narodowców będzie torpedowana, tak więc Dmowski postanowił o utworzeniu Obozu Wielkiej Polski, który grupował prawicowych przeciwników sanacji przez kolejne lata, aż do jego rozwiązania przez władze w 1933 r. Postulaty OWP szły ramię w ramię z hasłami Stronnictwa Narodowego, akcentując konieczność polonizacji mniejszości narodowych, ze szczególnym uwzględnieniem zniesienia ekonomicznej dominacji Żydów, wagę religii katolickiej, docelowego odebrania Niemcom znacznych terenów „rdzennie słowiańskich" czy odejścia od tradycyjnego systemu parlamentarnego, w czym się zresztą zgadzali z obozem sanacyjnym. Na gruzach OWP powstał Związek Młodych Narodowców, a także Obóz Narodowo-Radykalny, który nie ukrywał fascynacji autorytaryzmem i faszyzmem, chcąc przeprowadzić narodową rewolucję przeciw sanacji. Późniejszy podział w ramach ONR na ABC i Falangę jeszcze bardziej radykalizował środowisko młodych narodowców, szczególnie tych pod przywództwem Bolesława Piaseckiego. Dużo ze zwyczajów narodowych młodzieżówek przejął sanacyjny Ozon, czyli powstały w 1937 r. Obóz Zjednoczenia Polski, który działał w warunkach zaostrzającego się autorytarnego kursu władzy. To nie przypadek – obóz rządzący, szczególnie po śmierci Piłsudskiego, starał się przyciągnąć do siebie pozostających na marginesie działaczy endecji, wprowadzając wiele z ich radykalnych haseł do politycznego i państwowego mainstreamu. Narodowcy mieli w swoich szeregach polityków bardzo znanych, jak choćby bracia Stanisław i Władysław Grabski (w młodości mocno flirtujący z socjalistami), Stanisław Stroński, Leopold Skulski czy Marian Seyda. Roman Dmowski nie zapobiegł dezintegracji i radykalizacji swojego środowiska, gdy frakcja „młodych", ludzi zafascynowanych ideologiami zza zachodniej granicy i Półwyspu Apenińskiego, niemal kompletnie usunęła na margines „starych", wiernych ideom prawdziwej endecji. Nie da się ukryć, że

Fot. Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych, NAC

eprasa.pl/53222ded0

endecja nigdy nie zrealizowała swojego potencjału – ale kto wie, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby podczas przewrotu majowego wierne rządowi oddziały wojska z Wielkopolski wkroczyły z całą mocą do Warszawy? Podczas II wojny światowej narodowcy zorganizowali Narodowe Siły Zbrojne, zwalczające zarówno Niemców, jak i Rosjan.

LUDOWCY

Ruch ludowy w II RP zwracał się do gigantycznej siły społecznej – w odrodzonej Polsce trzy czwarte ludności mieszkało na wsi, a rolnictwem zajmowała się grubo ponad połowa społeczeństwa. Korzeni ludowców należy szukać z jednej strony w działalności księdza Piotra Ściegiennego w połowie XIX w. na Kielecczyźnie, a z drugiej w zaborze austriackim, gdzie podwaliny pod ruch chłopski kładł ojciec Stanisław Stojałowski. W Rzeszowie w 1895 r. powstało Stronnictwo Ludowe, później przemianowane na Polskie Stronnictwo Ludowe. Program partii postulował powstanie niepodległej Polski z ustrojem demokratycznym, w której chłopi mieliby zagwarantowane wszelakie prawa i przeprowadzona zostałaby reforma rolna. To właśnie owa reforma była celem nadrzędnym działań wszystkich odłamów PSL – od 1913 r. funkcjonowało PSL „Piast” Jakuba Bojki i PSL „Lewica” Jana Stapińskiego. Skrzydło lewicowe opowiadało się za reformą rolną bez odszkodowania i wieloma postulatami rezonującymi z programem socjalistów. Zbliżone do „Lewicy” stanowisko miało powstałe niezależnie pod zaborem rosyjskim w 1915 r. ugrupowanie PSL „Wyzwolenie” Tomasza Nocznickiego i Stanisława Thugutta. W ramach ruchu ludowego działało jeszcze kilka mniej lub bardziej efemerycznych partii, jak choćby galicyjskie Stronnictwo Katolicko-Narodowe z biskupem Leonem Wałęgą na czele czy Chłopskie Stronnictwo Radykalne prowadzone przez komunizującego księdza Eugeniusza Okonia (który nawet pod koniec 1918 r. stworzył niezależną Republikę Tarnobrzeską będącą urzeczywistnieniem dziwacznej katolicko-komunistyczno-chłopskiej hybrydy). Niemniej to „Piast” i „Wyzwolenie” były jedynymi faktycznymi siłami chłopskimi w Sejmie.


Stanisław Thugutt

Władzę wewnątrz PSL „Piast” niepodzielnie od 1916 r. sprawował charyzmatyczny Wincenty Witos, a do najważniejszych polityków partii należał pełniący przez sześć lat funkcję marszałka Sejmu Maciej Rataj oraz prezydent RP w latach 1922–1926 Stanisław Wojciechowski. „Piast” był ugrupowaniem centrowym i umiarkowanym, które potrafiło się dogadywać z różnymi opcjami, ale najczęściej dochodziło do porozumienia z endekami, czego dowodem dwie koalicje Chjeno-Piasta – które zresztą doprowadziły do rozłamu wewnątrz partii. Sam Witos aż trzykrotnie sprawował funkcję premiera, w tym w kluczowym okresie bolszewickiej nawałnicy i Rządu Obrony Narodowej oraz w trakcie przewrotu majowego, w oczywisty sposób go nie popierając. „Wyzwolenie” miało zgoła inne podejście do tematyki chłopskiej i najlepiej porozumiewało się z PPS, stanowiąc wedle powszechnej politycznej nomenklatury lewicę, tyle że z ludowym sznytem. To właśnie ta partia wysunęła kandydaturę Gabriela Narutowicza na prezydenta RP. Później poparła przewrót majowy, tym samym opowiadając się za Józefem Piłsudskim, a przeciw rządowi Witosa. Podobnie jak w przypadku „Piasta” „Wyzwolenie” ulegało różnorakim rozpadom, a secesjoniści z obydwu partii w połączeniu z niedobitkami PSL „Lewica” stworzyli w 1928 r. Stronnictwo Chłopskie. Wszystkie trzy ludowe siły w końcu trafiły do Centrolewu i w 1931 r. połączyły się w Stronnictwo Ludowe ze słynną zieloną koniczynką na sztandarze. Program partii opierał się przede wszystkim na poszanowaniu demokracji, stając w jawnej opozycji do poczynań sanacji, oraz umiarkowanej wersji reformy rolnej. W tym czasie w Polskę z całą mocą uderzył wielki kryzys gospodarczy, a wieś najmocniej odczuwała jego skutki połączone z niezadowalającą polityką rolną obozu rządzącego. Tym samym chłopi się radykalizowali, a wraz z nimi SL zachęcające do strajków i manifestacji, za czym szły wzmożone represje ze strony władz. W końcu Witos i inni wiodący politycy opuścili Polskę w obawie przed zatrzymaniem. Apogeum aktywności SL był wielki strajk chłopski z 1937 r. kierowany przez Stanisława Mikołajczyka, który obok postulatów ekonomicznych podnosił także hasła polityczne, jak odsunięcie sanacji od rządów, przywrócenie demokracji i Konstytucji marcowej. Największa międzywojenna manifestacja została krwawo stłumiona i nie wpłynęła na zmianę autorytarnego kursu rządu. Podczas II wojny światowej ludowcy działali w podziemiu jako SL „Roch” i zorganizowali Bataliony Chłopskie, drugą największą po Armii Krajowej podziemną polską armię.

CHADECY

Ideologia chrześcijańskiej demokracji wykrystalizowała się pod koniec XIX w. w odpowiedzi na coraz szersze oddziaływanie idei socjalistycznych, które odrzucały społeczne nauczanie Kościoła. Socjaliści

eprasa.pl/532212ded0


Wojciech Korfanty

chcieli przebudowywać społeczeństwo, czemu z kolei chadecy byli przeciwni. Polskie ugrupowania hołdujące tej myśli były tworzone od początku XX w. na terenie wszystkich trzech zaborów, a do ich konsolidacji doszło w 1919 r. w Krakowie, kiedy to powstało Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, przemianowane później na Chrześcijańsko-Narodowe Stronnictwo Pracy (po kilku latach wróciło do starej nazwy). Najbardziej prominentnym politykiem chadecji był jeden z ojców niepodległości, odpowiedzialny za korzystny dla Polski podział Górnego Śląska Wojciech Korfanty. Chadecy uczestniczyli w rządach Chjeno-Piasta i nie poparli przewrotu majowego, a później trafili do Centrolewu. W ich programie akcent kładziono na oparcie państwa i społeczeństwa na ideologii chrześcijańskiej, solidaryzm społeczny, antykomunizm i wzmocnienie władzy samorządów. Oczywiście PSChD nie było jedynym ugrupowaniem odwołującym się do wartości katolickich – poza endekami i częściowo ludowcami było co najmniej kilka innych partii, które akcentowały rolę religii w życiu społecznym i politycznym. Najważniejszą była Narodowa Partia Robotnicza, która z jednej strony głosiła hasła socjalne kojarzone z socjalistami, ale z drugiej uznawała rolę katolicyzmu (pozostawiając kwestie wyznaniowe sumieniu każdego obywatela) i podkreślała pierwszeństwo interesów narodowych przed klasowymi. NPR nie była jednolita ideologicznie, ale jej chadecki trzon kojarzony jest z Karolem Popielem. Zarówno Korfanty, jak i Popiel więzieni byli w twierdzy brzeskiej i doznawali licznych szykan ze strony władzy sanacyjnej.

Wpływy chadecji najsilniejsze były na Śląsku, Pomorzu i częściowo w Wielkopolsce – podobnie jak w przypadku endecji chadecy mieli piłsudczykom za złe brak otwartego wsparcia od państwa polskiego podczas walk o przyłączenie tych regionów do II RP. Ostatecznie w 1936 r. na emigracji powstał antysanacyjny Front Morges, polityczne porozumienie pomiędzy chadekami a innymi centrowymi siłami politycznymi niechętnymi sanacji, na którego czele stał Ignacy Paderewski i Władysław Sikorski. Ta szeroka platforma nie miała większego wpływu na sytuację w kraju, ale dzięki niej w 1937 r. powstało Stronnictwo Pracy, czyli mariaż partii Korfantego i Popiela ze stronnictwem Józefa Hallera. Wśród polskich polityków pojawiały się też ugrupowania konserwatywne i monarchistyczne, które odnosiły się do ideałów chrześcijańskich, choć rzecz jasna z dystansem odnosząc się do postulatów demokratycznych. Jedno z nich tworzyli wyjątkowo zachowawczy konserwatyści z Galicji, których głównym ideologiem był Michał Bobrzyński, a wywodzący się z tego środowiska Aleksander Skrzyński był nawet przez pewien czas premierem. Drugą siłą konserwatywną była organizacja zrzeszająca ziemian z różnych stron Polski – Stronnictwo Chrześcijańsko-Narodowe. Jego politycy zasłynęli postulatami wprowadzenia w kraju dziedzicznej monarchii, ale ostatecznie zostali wchłonięci albo przez obóz sanacyjny, albo narodowy.

PIŁSUDCZYCY

Obóz piłsudczykowski nie wyznawał jednej ideologii politycznej, ale był machiną wspierającą różne wizje wysnuwane przez jednoosobową siłę polityczną odrodzonego państwa – Józefa Piłsudskiego. Naczelnik posiadał w tym kręgu absolutnie niekwestionowany autorytet, ale był jednocześnie skonfliktowany z niemal wszystkimi politycznymi ugrupowaniami. Niegdyś współtwórca siły PPS, podczas I wojny światowej najbardziej znany bojownik o polską niepodległość, był naturalnym wyborem na przywódcę państwa w trakcie walki o granice i ustalania kształtu ustrojowego państwa, którego finałem było przyjęcie Konstytucji marcowej, pierwsze pełnoprawne wybory do Sejmu i powołanie pierwszego prezydenta RP. Nieustający konflikt z endekami, rozwijający się spór z chadekami i ludowcami, pogłębiający się rozdźwięk z dawnymi socjalistycznymi towarzyszami – to wszystko w połączeniu z gigantycznym rozczarowaniem klasą polityczną zakończyło się zamachem stanu dokonanym przez Piłsudskiego i skupieniem przez jego obóz władzy w kraju na kolejne kilkanaście lat niepodległości. Słynne hasło sanacji moralnej wysnute przez Adama Skwarczyńskiego miało się dokonać poprzez wymianę elit na takie, których celem głównym i jedynym będzie służba państwu, a nie dbałość o partyjne interesy. Dla Piłsudskiego takimi ludźmi byli jego koledzy z czasów walki o niepodległość, a więc przede wszystkim legioniści. Demokracja zawiodła, tak więc należało spróbować innego rozwiązania ustrojowego w państwie rozchwianym politycznie, społecznie i gospodarczo – nie da się ukryć, że od samego początku sanacja zakładała wprowadzenie w kraju elementów autorytarnych, marginalizując inne siły polityczne (również poprzez zatrzymania przeciwników),

eprasa.pl/53222ded0


Walery Sławek

marząc o przebudowie społeczeństwa w duchu wierności państwu i rządzących nim ludziom, którzy mieli tworzyć prawnie usankcjonowaną elitę w oparciu o dokonania z czasów odzyskiwania przez Polskę niepodległości.

W 1927 r. powstała z inicjatywy Walerego Sławka polityczna emanacja obozu piłsudczykowskiego, czyli Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem. BBWR skupiał piłsudczyków, elity gospodarcze oraz rzeszę uciekinierów z innych partii. O ile wybory z 1928 r. nie dały zadowalających rezultatów, o tyle już te z 1930 r., gdy wielu przywódców konkurencyjnych partii było uwięzionych w brzeskiej twierdzy, przebiegły po myśli sanacji. Do tego dochodziła osoba prezydenta RP Ignacego Mościckiego, nieukrywającego swoich politycznych sympatii. Sanacja nie zasłynęła koncyliacyjnym charakterem sprawowania władzy – Brześć, Bereza Kartuska, rozwiązywanie opozycyjnych organizacji, brutalne rozbijanie manifestacji czy rządy pułkowników to tylko niektóre z przykładów. Przyjęta w 1935 r. Konstytucja kwietniowa sankcjonowała program piłsudczyków. Jak miało się okazać, główną siłą sanacji była sama osoba Piłsudskiego. Jego śmierć pokazała, że próżno w obozie sanacyjnym szukać polityka jego miary, a obóz polityczny rozbił się na kilka frakcji – zamkową Mościckiego, pułkowników Sławka i GISZ marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. Zastąpienie BBWR Obozem Zjednoczenia Narodowego pod wodzą Adama Koca popychało Polskę w miejsca mroczne, program organizacji w dużej mierze przejmował bowiem radykalne postulaty narodowców, a odgórnie narzucono kult wodza w osobie Śmigłego-Rydza. Rządy sanacji przerwał wybuch II wojny światowej. Początkowy program oczyszczenia państwa z czasem ewoluował i przesuwał się na pozycje zdecydowanie skrajne i antydemokratyczne, więc jest z dzisiejszej perspektywy co najmniej kontrowersyjny.

MNIEJSZOŚCI NARODOWE

Jedną trzecią mieszkańców II RP stanowiła ludność rdzennie niepolska. Największe mniejszości w kraju stanowili Ukraińcy i Żydzi, wielu było Białorusinów (o nie do końca wykrystalizowanej tożsamości narodowej, zwanych „tutejszymi") i Niemców. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne napięcia na tle narodowościowym były codziennością. Mniejszości tworzyły partie polityczne różnorakie pod względem ideologicznym. Wśród ludności żydowskiej najmocniejsi byli socjaliści z Bundu, ortodoksi z Agudat Israel, autonomiści z Fołks-Partaj, syjoniści z Poalej Syjon oraz z Organizacji Syjonistycznej, która była inicjatorką powstania wspólnej politycznej reprezentacji mniejszości w postaci Bloku Mniejszości Narodowych. Wśród Ukraińców, przeważających na terenie Małopolski Wschodniej, centrum stanowiło przede wszystkim Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne z Wasylem Mudrym i Dmytro Łewickim, a radykałowie zorganizowali Organizację Ukraińskich Nacjonalistów z Jewhenem Konowalcem, Andrijem Melnykiem i Stepanem Banderą. Białorusinów reprezentowała głównie socjalistyczna Hromada Bronisława Taraszkiewicza, wśród Niemców podobne poglądy podzielała Niemiecka Socjalistyczna Partia Pracy, ale funkcjonowali także naziści z Partii Młodoniemieckiej, Zjednoczenia Niemieckiego i Volksbundu. Wśród mniejszości prężnie działali komuniści, którzy mieli większe lub mniejsze związki z KPRP – żydowski Kombund, Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy Osipa Kriłyka i Ozjasza Szechtera, Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi Mikołaja Orechwy. Sanacyjna władza różnie traktowała partie mniejszości na przestrzeni lat, a po śmierci Piłsudskiego zradykalizowała swoje poczynania.

Michał Muzyczuk


Przedstawiciele tatarskiej mniejszości narodowej na pl. Piłsudskiego w Warszawie, w tle pomnik ks. Józefa Poniatowskiego

Fot. NAC x3

50/0119/F

eprasa.pl/53222ded0

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88
samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator : Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.

*** Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.**

eprasa.pl/5322f2ded0



„Wszystko dla mojej matki” zgarnęło najważniejsze trofeum – Nagrodę Publiczności 35. Warszawskiego Festiwalu Filmowego. Poprowadzone przez Małgorzatę Imielską młode aktorki zagrały rewelacyjnie, choć musiały się zmierzyć z brutalną rzeczywistością. Na uznanie zasługuje zwłaszcza Zofia Domalik, ale nie tylko ona

Dziewczyna z poprawczaka

Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl 5322f2ded0





JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

„Oszaleję ze szczęścia! Nagroda publiczności dla naszego filmu!!! (...) Wielka radość! Dziękujemy” – pisała na Facebooku tuż po ogłoszeniu werdyktu Zofia Domalik, która na tegorocznym festiwalu w Gdyni właśnie za rolę we „Wszystko dla mojej matki” została doceniona za profesjonalny debiut.

Trudno się dziwić ekscytacji aktorki. Nie od dziś wiadomo, że widzowie się nie mylą. A ci na Warszawskim Festiwalu Filmowym – imprezie uznanej w świecie, jednocześnie nietracącej nic z młodzieńczego nerwu – mają oceny wyjątkowo celne. Wiele też mówiące o potrzebach tzw. szerokiego, a zarazem poszukującego i wymagającego współczesnego kinomana.

WOLNOŚĆ FABUŁY

„Wszystko dla mojej matki” jest pełnometrażowym debiutem fabularnym reżyserki Małgorzaty Imielskiej, uznanej dokumentalistki, która przy okazji tego projektu dokonała nieoczywistych, ale – jak się okazuje – bardzo trafnych wyborów. Dotyczyły one zarówno gatunku, dawkowania brutalności, jak i obsady. – Dokument to coś, na czym się wychowałam, ukształtowałam, co mnie uczyło bardzo wielu rzeczy, ale marzyłam, żeby zrobić fabułę – mówiła reżyserka, odbierając na gali zamknięcia 35. WFF (jeszcze przed zliczeniem głosów publiczności) specjalne wyróżnienie dla filmu. – W dokumencie musimy jako reżyserzy brać odpowiedzialność za naszego bohatera, za to, co się z nim stanie, kiedy zgasną światła. I ta odpowiedzialność zaczęła mnie przytłaczać, bo robiąc filmy, staram się dotykać rzeczy trudnych, które różnie mogą być odebrane. Fabuła pod tym względem daje wolność. Pozwala schować się za aktora za wykreowanym światem.

We „Wszystko dla mojej matki” Imielska wprowadza widzów w realia zakładu poprawczego. Tu, z bagażem doznanych, ale i wyrządzonych krzywd, dorastają opancerzone, gotowe do ataku dziewczyny. Jest wśród nich 17-letnia Ola, jako małe dziecko odebrana matce, a potem za ciągłe ucieczki z kolejnych adopcyjnych domów umieszczona w poprawczaku. By przetrwać – ale też, by kiedyś móc zaimponować odnalezionej matce, która dopingowała ją do ruchowej aktywności – trenuje bieganie. Dzięki temu jest silniejsza, jednak ta siła nie zawsze wystarcza, by zmierzyć się z brutalnym światem.

– To trudna i mroczna historia. Jednocześnie ten film mógł być jeszcze ostrzejszy, bo rzeczywistość, w której żyją dziewczyny z poprawczaków, jest jeszcze bardziej bezwzględna i okrutna – podkreśla Zofia Domalik.

Z DOBRYCH DOMÓW

Do tego bezwzględnego świata reżyserka wprowadziła młode aktorki. Zofia Domalik, jeszcze jako nastolatka



eprasa.pl 5322f2ded0



Zofia Domalik ze statuetką za profesjonalny debiut aktorski w filmie „Wszystko dla mojej matki” i Eliza Rycembel ze statuetką za drugoplanową rolę kobiecą w filmie „Boże Ciało”

Fot. Anna Bobrowska/KFP

grała w serialach, najpierw w „Plebanii”, potem „Czasie honoru”, trafiła też na plan „Miasta 44”. Świeżo upieczona absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej jest córką aktorki Ewy Telegi i reżysera Andrzeja Domalika. Na planie „Wszystko dla mojej matki” spotkała Marię Sobocińską (warszawska AT, 2018 r.) z aktorsko-operatorskiego klanu (dziadkowie: Wanda Chwiałkowska i Bohdan Mikuć oraz mama Hanna Mikuć to aktorzy, dziadek Witold, ojciec Piotr, bracia Piotr i Michał Sobocińscy stanęli za kamerą).

Najmłodszą z dziewcząt zagrała Helena Englert, córka Beaty Ścibakówny i Jana Englerta. W obsadzie znalazły się też studentka AT Malwina Laska oraz Magdalena Celmer (absolwentka łódzkiej Filmówki 2017 r.), którą wielbiciele serialu „Na dobre i na złe” polubili za rolę charakternej Wery, a krytycy i fani młodego autorskiego kina docenili za „Zgniłe uszy”. Na festiwalu Młodzi i Film w Koszalinie odebrała ze współscenarzystą i reżyserem Piotrem Dylewskim nagrodę za scenariusz, czyli „twórcze, sprawne wodzenie widza za nos i wytarganie za uszy”. Zagrała też główną rolę kobiecą.

ŚWIETLISTA I SZCZERA

O ile wybór wyrazistej Magdaleny Celmer wydawał się zrozumiały, o tyle pozostałe dziewczęta chyba nawet same nie do końca widziały się w fabule opowiedzianej z perspektywy domu poprawczego. Zofia Domalik wspomina: – Marysia przyszła na kasting w sukience w kwiatki, czyli tak, jak chodzi na co dzień. – Ja uwielbiam modę, makijaż, chętnie bawię się swoim wyglądem, kobiecością, a filmowa Ola kompletnie nie zwraca na to uwagi. Potem musiałam dużo schudnąć, dużo biegać i coraz mocniej wchodzić w życie Oli, które było zupełnie mi obce – opowiada. Wygrały więc przenikliwość i filmowe doświadczenie Małgorzaty Imielskiej. – Zobaczyła w nas to, czego my wcześniej w sobie i o sobie nie wiedziałyśmy – mówi Domalik.

Nie bez znaczenia była też ogromna praca, którą reżyserka i scenarzystka włożyła w poprowadzenie bohaterek, a także opieka, jaką otoczyła dziewczyny. Dała im poczucie bezpieczeństwa. – Oczywiście były trudne sceny, ale nie byłam z nimi sama – podkreśla odtwórczyni głównej roli. – I miałyśmy na przygotowanie sześć miesięcy prób. To bardzo dużo.

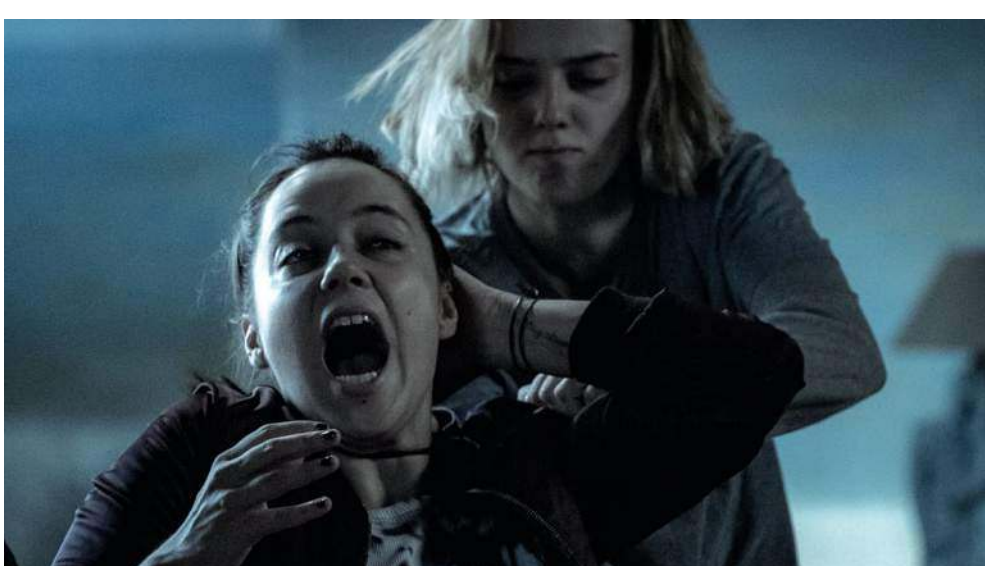
Ale nie brutalne akty – pobicia czy gwałtu – są wymieniane przez aktorkę jako najtrudniejsze do zagrania. – Oczywiście nie sposób się nie angażować, ale byłam przygotowywana na to, co się wydarzy. I emocjonalnie, i technicznie. Przede wszystkim jednak miałam ogromne wsparcie w całej ekipie – zapewnia Zofia Domalik.

Najtrudniejsze okazały się dla aktorki sceny, w których Ola po raz pierwszy decyduje się porozmawiać, otworzyć na drugiego człowieka. I nie jest to człowiek dorosły, tylko jej rówieśnica. – Coś się w niej ruszyło. Znalazła w kimś oparcie, które kiedyś miała w matce. Dlatego ta scena była i jest przełomowa – podsumowuje Domalik.

Z perspektywy czasu może też powiedzieć, że jako „dziewczyna z dobrego domu”, otoczona miłością, poczuciem bezpieczeństwa, tym mocniej i prawdziwiej mogła wejść w świat kogoś, kto oparcia nie ma w nikim.

Ciekawe dopełnienie koncepcji filmu i głównej postaci odsłania Małgorzata Imielska: – Jeden z moich znajomych określił Zosię jako osobę, która nosi w sobie świetlistość. I tego szukałam dla bohaterki. Świetlistość, delikatność, szczerość... Myślę, że tym Zosia mówiła do widzów.

„Wszystko dla mojej matki” trafi do kin 3 stycznia 2020 r.



Fot. mat. prasowe (3)

eprasa.pl 5322f2ded0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Dojrzały Hamlet w dusznych wnętrzach

Już nie tylko każde pokolenie chce mieć własnego „Hamleta", lecz każde półrocze. Zalała nas fala szekspirowskich przedstawień. Jestem wciąż pod wrażeniem spektaklu z warszawskiego Teatru Dramatycznego. Krzysztof Szczepaniak okazał się księciem Danii na miarę naszej wrażliwości.

Teraz zmierzył się z „Hamletem" Teatr Telewizji – premiera w poniedziałek 28 października. I w zasadzie Michał Kotański wspaniale go przyrządził: świetne zdjęcia świetnego Adama Sikory, dobre ustawienie aktorów i znakomici aktorzy. W zgaszonych, niemal czarno-białych, kolorach opowiada nam się o upadku jakiegoś świata. Postaci miotają się w niezwykłej scenografii Aleksandry Gąsior, na przemian w klaustrofobicznych pokoikach i pośród osaczających akcję skał. Jest duszno i strasznie. Przeważają zbliżenia twarzy, przez co jeszcze bardziej uderza nas perfekcja tekstu. Niezwykłe ciągi paradoksów, nieoczekiwane przypływy czarnego humoru zmieszane z czarną rozpaczą.

Byłem miejscami zachwycony. I miałem poczucie niedosytu. Ten „Hamlet" jest już chwalony jako opowiedziany na miarę epoki Netflixa, żwawo, w konwencji thrillera. Prawda, ale zwłaszcza na początku aktorzy grają za szybko. Sporo pierwszorzędnych scen wypadło. Wiem, że inscenizacja to sztuka wyboru, ale i Hamlet z kilkunastoma dodatkowymi zdaniami bardziej by się tłumaczył ze swoich wyborów, i postaci drugoplanowe byłyby barwniejsze.

To wina telewizyjnego formatu, który wtłoczył wszystko w godzinę i 50 minut. Jeśli mierzymy się na publicznym kanale z klasyką, kilkanaście minut więcej by pomogło. Tak było w Teatrze Telewizji kiedyś.

Kotański poprzesuwał granice wieku. Hamlet, Horacjo, Laertes to w tej wersji niemal czterdziestolatki czekające bez skutku na swoją chwilę. Argument, że kiedyś było się dojrzalszym wcześniej, tylko po części to tłumaczy, skoro grają we współczesnych ubraniach i są jakby poza epokami. Skądinąd w tym przesunięciu nie są twórcy konsekwentni. Jan Englert gra starego ducha ojca, ale Poloniusz Artura Żmijewskiego jest niewiele starszy od swego syna Laertesa – Michała Czerneckiego. Piotr Cyrwus jako król Klaudiusz jest zaskakująco młody, młodszy od królowej, Marii Pakulnis, co może dodatkowo tłumaczy nam całą historię. Oto pozostający w cieniu brata junior skorzystał z okazji... Dodajmy, że wszyscy tworzą tu, pomimo ściśnięcia, pełnokrwiste postaci.

Przemysław Stippa zasługiwał na rolę Hamleta, to jeden z najwrażliwszych na tajniki ludzkiej duszy polskich aktorów. Nie gra neurotycznego intelektualisty, jest dojrzale znużony. Właściwie od początku zmierza z gorzką świadomością ku katastrofie, a jednocześnie ma w sobie siłę moralnej racji. Skróty nie wszystko pozwoliły mu rozwinąć. Ale Stippa okazał się mistrzem nie tylko klarownego podawania testu. Także czegoś, co nazwę delikatną charyzmą. To kolejny po Szczepaniaku Hamlet, z którym instynktownie sympatyzuję. „Cnota błaga grzech o wybaczenie" – w ustach Stippy brzmi to mocno, wiarygodnie.



Mamy tu i starych mistrzów: poza Englertem, Daniela Olbrychskiego i Magdę Zawadzką jako aktorów, Mariana Opanię jako Grabarza. Nawet w netflixowym tempie dostają okazję do popisów. Ale patrzcie, jak paroma kreskami rysują swoje postaci Szymon Mysłakowski jako Rosenkrantz i Wojciech Solarz jako Gildenstern. Albo jak świetnie zostaje wykorzystany najmłodszy aktor Marcin Franc. Jego idealny dworak Ozryk przetrwa wszystko. I on doczeka się Fortynbrasa.

Piotr Zaremba

Autopromocja

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL



OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox | **121** dekodery KAON i Horizon

orange™ — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

Kary nie będzie dla przeciętnych drani



Wojciech Stanisławski

W którym momencie nauczono się wymawiać słowo „resort" bez pogardy i gniewu? I dlaczego?

„Do większej, płóciennej torby wrzucają pieczołowicie przygotowane dokumenty, te, które uznają za najważniejsze: listę 232 katów, którzy nigdy nie zostaną ukarani. […] Nie wiedzą, że poza jednym oprawcą, któremu wcześniej wymierzono sprawiedliwość, wszyscy pozostali umrą śmiercią naturalną, w otoczeniu dzieci, wnuków i przyjaciół".

Nie, to nie fragment wspomnienia o konspiratorach z Solidarności Walczącej czy z Grup Oporu „Solidarni", którzy z narażeniem życia zdobyli listę pracowników IV Departamentu, wspomnienia spisanego przez kogoś, kto w wiele lat po roku 1989 z goryczą rozważa meandry i niepowodzenia dekomunizacji. To fikcyjna relacja o ostatnich dniach dwojga komunizujących konspiratorów, ukrywających się przed brazylijską dyktaturą wojskową, ostatecznie uprowadzonych, zamordowanych i pogrzebanych bez śladu. Zderzam dwie książki tak różne, jak monografia historyczna traktująca o PRL i powieść o ojcu daremnie poszukującym córki w kraju na antypodach Polski, ogarniętych lękiem przed wojskowymi szwadronami śmierci. Dopiero to zderzenie pozwala bowiem w pełni ukazać prawdę fatalną, ponadczasową i – by tak rzec – „ponadustrojową": upadek niesprawiedliwych rządów nie daje szans na całościowe rozliczenie ani oczyszczenie, na triumf sprawiedliwości i rozliczenie nieprawych. Jak to zaśpiewał w pierwszych tygodniach stanu wojennego Jacek Kaczmarski w piosence zbyt gorzkiej, by była często przywoływana: „Kary nie będzie dla przeciętnych drani,/ A lud ofiary złoży nadaremnie".

Książka Tomasza Kozłowskiego ukazuje tę prawdę w sposób systemowy. To praca w ciekawy sposób łącząca dwie perspektywy badawcze: początkowo dominuje podejście niemal kronikarskie, żmudne próby odtworzenia sytuacji panującej w „organach bezpieczeństwa państwa", począwszy od jesieni 1988 r., przez czas „okrągłego stołu", kampanii i czerwcowych wyborów, aż po pierwszy rok rządów ekipy Tadeusza Mazowieckiego, zakończony odejściem gen. Czesława Kiszczaka z ministerialnej funkcji, „weryfikację" i utworzenie Urzędu Ochrony Państwa. Środowisko MSW ukazywane jest z różnych stron i przy sięgnięciu po różne skale: opisywane są zachowania samych funkcjonariuszy, deklaracje Kiszczaka i innych wysoko postawionych oficerów, postawy obozu solidarnościowego, projekty aktów prawnych, mających uregulować funkcjonowanie resortowego państwa w państwie.

Oczywiście, badacz takiego tematu porusza się w labiryncie z mgły i luster: dokumenty zmielono, kartoteki zdziesiątkowano, pozostały narcystyczne, pawie relacje tych, którzy „wygaszali" resort, i tych, którym się wydawało, że go przejmują. Dociekania Kozłowskiego nie sięgają tak głęboko jak prace Pawła Kowala czy Sławomira Cenckiewicza traktujące o udziale służb PRL w przygotowaniu transformacji lub ich powiązaniach z Moskwą. Wiele z opisanych wydarzeń, od zacierania śladów po zamordowaniu ks. Jerzego, poprzez operację zmiany szyldów i pozorne „odchudzanie" SB w lecie 1989 r., aż po osławione niszczenie akt i kłopoty ze znalezieniem chętnych do pracy w UOP znamy już z wielu reportaży, syntez historycznych, biografii.

A jednak zapis tych miesięcy, zgromadzony w jednym tekście, poraża. Na kilkudziesięciu stronach doświadczamy

eprasa.pl 5322f2ded0

ort ekstremalny

po kolei opisu: bezbrzeżnej bezradności nowej, solidarnościowej ekipy – bezradności fizycznej, intelektualnej, prawnej! – wobec zabarykadowanego resortu; absolutnej bezkarności esbeków mielących akta w papierniach, palących je w piecach, rowach i garażach lub mikrofilmujących je z myślą o późniejszych grach; samotności pojedynczych posłów OKP, działaczy Komitetów Obywatelskich, ludzi podziemia, którzy usiłowali się temu przeciwstawić. Wreszcie tego, co być może najtrudniejsze do przyjęcia: dla jednych tylko trudnej, dla innych wciąż niemożliwej do zrozumienia zmiany sposobu widzenia świata przez ludzi Solidarności i podziemia, którzy uzyskali władzę i z dnia na dzień zmienili język, jakim mówili. „Winniśmy resortowi temu wsparcie, naszą lojalność, naszą – czyli rządu" – deklaruje w grudniu 1989 minister, który osiem lat wcześniej schodził do podziemia, ukrywał się w nim przez trzy lata, którego konspiracyjna karta budzi podziw. Co się stało? W którym momencie nauczył się wymawiać słowo „resort" bez pogardy i gniewu?

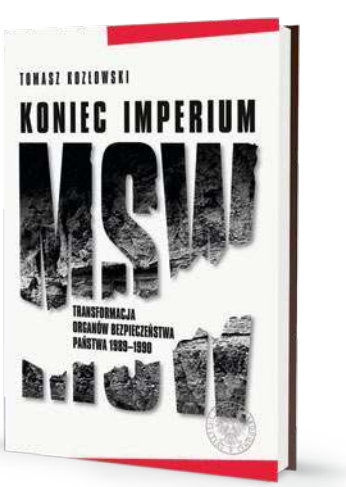
Kiedy czytamy w książce Kozłowskiego o esbeckim zacieraniu śladów, ogarnia nas gniew tak bezsilny, że chciałoby się raz jeszcze wymieniać nazwiska sprawców w naiwnej nadziei, że ktoś rozpozna w sympatycznym emerycie z sąsiedniej willi żyjącego do dziś gen. Henryka Dankowskiego czy płk. Jana Sosnowskiego, że zdoła dać mu do zrozumienia, co o nim myśli, że zetrze mu z twarzy ten gumowy uśmieszek pogardy. Kiedy jednak dochodzimy do opisywanej wielokroć sytuacji odkrycia w maju 1990 akt sprawy zabójstwa Grzegorza Przemyka, których lektura miała ponoć sprawić, że Mazowiecki nabrał wątpliwości co do konduity gen. Kiszczaka – po prostu opadają nam ręce.

Tyle że to nie koniec emocjonalnej huśtawki, jaką funduje nam ta praca. Tomasz Kozłowski podejmuje bowiem w ostatnich rozdziałach próbę, nazwijmy to, ogólnej teorii transformacji służb i bliski jest udowodnienia, że z reguły tak właśnie musi ona wyglądać. Niezależnie od słabości, niepamięci, beztroski lub uwikłań reformatorów, od cynizmu esbeków – decydują inne czynniki: władze przekształcającego się kraju rozpaczliwie potrzebują kontroli nad resortami siłowymi, z reguły dysponują ograniczonymi zasobami, również świat bardziej potrzebuje fachowców od antyterroryzmu i walki z mafią niż wdrażania standardów sprawiedliwości: na czym zresztą miałyby one polegać? Nie było, wbrew uproszczeniom publicystów, „opcji zerowej" ani na Węgrzech, ani w Brazylii: wszędzie generałowie wyprowadzają z uśmiechem na spacer swoje psy i sadzają wnuczkę na kucyka.

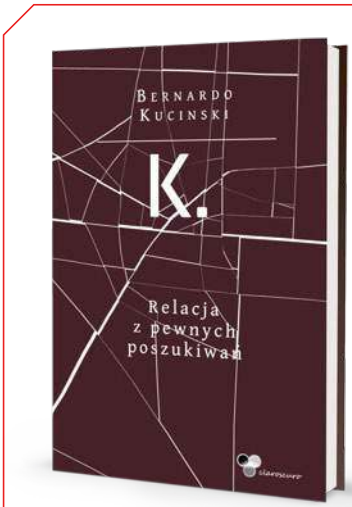
Temu, żeby to doświadczenie goryczy nie opuściło nas zbyt szybko, służy powieść Bernardo Kucinskiego. Książka odwołująca się do prawdziwych, poruszających doświadczeń – siostra pisarza Ana i jej mąż nadal oficjalnie są uznawani za desaparecidos, „zniknięty", znana jest tylko data ich zatrzymania w kwietniu 1974 – jest jednak fikcją: opisuje w quasi-reporterskim stylu śledztwo prowadzone przez ojca Bernardo i Any, pana K. Kolejne paradoksy związane z jego sytuacją (tylko człowiek oficjalnie poszukujący zaginionych jest w dyktaturze bezpieczny, bo skrzywdzenie go oznaczałoby przyznanie się do winy; dopiero poszukując prawdy o uprowadzonej i zamordowanej córce, ojciec zbliża się do prawdy o jej życiu) mają mniejsze znaczenie niż ton tej książki.

Pan K. jest współczesną Antygoną: posiwiałą, kulawą, oskarżającą się o poświęcenie życia rodzinnego na rzecz swej wątpliwej kariery literackiej (jako przedwojenny żydowski emigrant z Polski nadal pisze w jidysz) i równie przepełnioną zarazem rozpaczą i determinacją jak jego poprzedniczka sprzed trzech tysiącleci. Z początku stara się scalić nieliczne wątki, chwyta się słomek nadziei, poszukuje córki od aresztu do psychiatryka. Z czasem chce już tylko znaleźć jej ciało, przeżyć żałobę, w tym jednak celu jest w stanie uruchomić wszystko, od spychacza po protekcję dalekiego Kissingera: tyle że daremnie.

Zawsze silniejszy od niego będzie samiec alfa, genialny reżyser, który wciągnie do udziału w montażu więźnia („Dlaczego się trzęsiesz? Kurwa, przestań się trząść"), agenturę, łatwowiernych („Znajdź parę broszurek tych przywódców rewolucji goździków, no wiesz, tych pajaców") i będzie o trzy ruchy wyprzedzał każdą Antygonę („Zobaczy, że córeczki nie ma. Zniszczymy drania. Damy mu popalić tak, że się nie pozbiera"). A kiedy przyjdzie czas otwarcia i transformacji, pierwszy powie: „Przyszedł czas na czyszczenie archiwów. Nie można zostawić śladów". A to, czy mieszka dziś w domu na Mokotowie, czy w São Paulo – jakie to ma znaczenie?



Tomasz Kozłowski, „Koniec imperium MSW. Transformacja organów bezpieczeństwa państwa 1989–1990", IPN, 2019



Bernardo Kucinski, „K. Relacja z pewnych poszukiwań", tłum. Zofia Stanisławska, Wydawnictwo Claroscuro, 2019

eprasa.pl 5322f2ded0



Kino



Adamski poleca

Odrzucony geniusz

Julian Schnabel jest reżyserem jednego z moich ulubionych filmów lat 90., „Basquiat. Taniec ze śmiercią". Opowieść o brooklińskim malarzu zmarłym w wieku 27 lat została oparta m.in. na tekście Lecha Majewskiego. Schnabel i Majewski są nie tylko filmowcami, lecz także malarzami, którzy w swoich filmach każdy kadr budują z myślą o jego plastyczności. „Van Gogh. U bram wieczności" dowodzi tego w każdej minucie.

Nie jest to tak spektakularny wizualnie obraz życia van Gogha jak nominowany do Oscara „Twój Vincent" Doroty Kobieli i Hugh Welchmana. Jednak i tutaj barwa obrazu i sposób kadrowania mają oddać malarstwo Vincenta. Nie jest też filmem powielającym mitologiczne opowieści o tragicznie zmarłym malarzu, który został odkryty dla świata dopiero po śmierci, choć nie unika tworzenia własnej prawdy o nim. Znawcy biografii van Gogha zapewne będą wyciągać nieścisłości w pokazaniu jego życia. Film musi też być porównany z innymi obrazami twórczości i egzystencji holenderskiego artysty. Kino przecież kocha Vincenta van Gogha. Grali go Kirk Douglas, Tim Roth czy Benedict Cumberbatch. Willem Dafoe za swoją rolę został doceniony na festiwalu w Wenecji i zgarnął nominację do Oscara.

„U bram wieczności" jest filmem wyciągającym zaledwie kilka elementów z życia Vincenta, które jednak definiują jego twórczość oraz tragiczne życie. Błąkanie się utrzymywanego przez brata van Gogha po Arles w Prowansji, nieumiejętność zbudowania sobie relacji z kobietami (Emmanuelle Seigner), przyjaźń z malarzem Paulem Gauguinem (Oscar Isaac) oraz kleszcze szaleństwa, jakie pożerają wielu geniuszy – Schnabel kilkoma pociągnięciami ręki kreśli osobowość van Gogha. Kluczowa dla zrozumienia jego geniuszu jest rozmowa z księdzem (Mads Mikkelsen) w domu dla obłąkanych. „Bóg jest naturą. A natura jest pięknem. Dlaczego Bóg chciałby, bym malował brzydkie rzeczy?" – pyta duchownego artysta o pogruchotanym wnętrzu. Czy miał również pogruchotaną duszę? A może ona właśnie była czysta?

Van Gogh zmagał się ze stanami lękowymi i problemami psychicznymi. Dafoe oddaje je w nietypowy sposób. Ja już widziałem podobnie grającego Dafoe. Było to w „Ostatnim kuszeniu Chrystusa" Martina Scorsese. Ba, mam wrażenie, że Schnabel celowo upodobnił „spowiedź" van Gogha u księdza do wynurzeń ekranowego Jezusa w rozmowie z Judaszem. Obaj opowiadają o wewnętrznych wątpliwościach i atakujących ich demonach. Obaj szukają w swoich działaniach boskiej ręki.

„Van Gogh. U bram wieczności" to kino autorskie, powolne i oparte na charyzmie jednego aktora. Mnie zaintrygowało przez głębsze wejrzenie w geniusz człowieka, który sam odciął sobie ucho, malując potem swój kolejny autoportret. Tutaj tego przedziwnego aktu nie zobaczymy. Zamiast tego usłyszymy rozmowę z lekarzem o konsekwencjach. Taki to jest film. O niezrozumieniu geniusza i spojrzeniu jego oczami (wiele ujęć kręconych z tej perspektywy) na świat, który geniuszy za życia odrzuca i nie rozumie.

„VAN GOGH. U BRAM WIECZNOŚCI", REŻ. JULIAN SCHNABEL, DYSTR. AGAINST GRAVITY

Idealny sequel

Dekadę musieliśmy czekać na sequel jednej z najzabawniejszych parodii, jaką wypuściło Hollywood. Warto było. Jeżeli wyobrażacie sobie sequel idealny, to jest nim „Zombieland. Kulki w łeb". Ma ten film wszystko, co „jedynka", plus świetne rozwinięcie historii czwórki żrących się przyjaciół (twardzielska Emma Stone, neurotycznoallenowski Jesse Eisenberg, nieznoszący hipisów kowboj z Teksasu Woody Harrelson, zbuntowana Abigail Breslin), którzy muszą przetrwać apokalipsę zombie. Ruben Fleischer bawi opowieścią, w czasie gdy popkultura tak mocno tematem została nasycona przez serial „Walking Dead", że wyłożył się na nim nawet Jim Jarmusch w lamusowskim „Truposze nie umierają". Ożenienie makabrycznego klimatu zombie movies z absurdalnym humorem, plus nerdowska żonglerka popkulturą (Bill Murray powraca!) rozkłada na łopatki tak samo jak dekadę temu. Fleischer nie tylko umieszcza bohaterów w otoczonym podrasowanymi jak Terminator zombiakami Białym Domu, lecz wprowadza magnetyczne nowe postacie (brawa dla Rosario Dawson). Wszystko kończy się zaś afirmacją rodzinnych więzi. To może być krwiście fajna trylogia!



Kino

„ZOMBIELAND. KULKI W ŁEB", REŻ. RUBEN FLEISCHER, DYSTR. UIP

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 5322f2ded0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Totalny bałagan

Steven Soderbergh bywa nierównym reżyserem. Zdobywca Złotej Palmy w Cannes („Seks, kłamstwa i kasety wideo") i Oscara („Traffic") nawet w swoich gorszych filmach jest jednak reżyserem zdyscyplinowanym. Soderbergh wyrósł z kina niezależnego i mimo serii typowo hollywoodzkich filmów pozostaje artystą lubiącym eksperymentować z filmową formą (m.in. nakręcona iPhonem „Niepoczytalna"). Nawet w filmach o małym budżecie nie ma żadnego problemu z kompletowaniem najlepszej obsady.

Dlatego tak bardzo dziwi jego netflixowa wpadka pod tytułem „Pralnia". Ten film jest wyprany z pomysłowości i stylu reżysera „Magic Mike". Nie pomaga mu nawet magia nazwiska Meryl Streep ani reszty gwiazd w epizodach na czele z Sharon Stone.

Pamiętacie jeszcze aferę Panama Papers, która w 2016 r. pokazała, jak możni tego świata unikają płacenia podatków? Z firmy prawniczej Mossack Fonseca wyciekły miliony dokumentów pokazujących skalę działania wielkich korporacji stojących za łapówkami, machlojkami... a zresztą, co się będę rozwodził nad szczegółami. Steven Soderbergh zrobił film o tym, że bogactwo jest czymś paskudnym i wstydliwym. Po twórcy hagiograficznego elaboratu „Che" trudno się spodziewać specjalnej miłości do zaplutych i reakcyjnych bogaczy. Natomiast można oczekiwać błysku i oryginalności, jakie reżyser miał nawet w mniej udanych swoich filmach.



Tym razem Soderbergh imituje. „Pralnia" to zlepek narracji wyjętych z satyr Adama McKaya („Big Short", „Vice"). McKay również może irytować (choć ja należę do wielkich fanów jego kina), ale jest przynajmniej, mimo roztrzepanej i chaotycznej narracji, poukładany i spójny. Wie, gdzie chce wbić szpilę i jakie emocje w widzu poruszyć. Soderbergh w „Pralni" wygląda natomiast jak dziecko, które rozsypuje klocki, z których nie potrafi potem zbudować kształtnej konstrukcji. Opowieść o wojnie z nieuczciwymi ubezpieczycielami zdeterminowanej wdowy (Meryl Streep) ma stanowić główny wątek filmu, ale co chwila się rozjeżdża na boki. Zaglądamy do Chin, na Bahamy i śledzimy romansidło z wielkimi pieniędzmi w tle w rodzinie bogatego afrykańskiego imigranta, a wszystko podlane jest bezczelnie ironiczno-nihilistycznym komentarzem założycieli Mossack Fonseca (Gary Oldman i Antonio Banderas).

Soderbergh chciał pokazać, jak machlojki na szczycie finansowym niszczą tych najmniejszych i bezbronnych wobec coraz bardziej oligarchicznego systemu kapitalistycznego. Przez natłok postaci i wątków ta prawda nie wybrzmiewa. Nie pomaga też różna temperatura aktorstwa. McKay potrafi utrzymać swoje gwiazdy balansujące na granicy występu w dramacie i odlotu z Saturday Night Live. U Soderbergha przerysowani Goldman i Banderas gryzą się z neurotyczną Streep i przeżywającymi koszmar przez firmy-wydmuszki właścicielami stateczków wycieczkowych.

Od duetu Soderbergh i scenarzysty Scotta Z. Burnsa wymagam znacznie więcej. Ten duet dał nam „Intryganta", „Panaceum" i „Contagion". Bałaganiarska i wtórna „Pralnia" jest ich najsłabszym filmem.

„PRALNIA" JEST DOSTĘPNA NA NETFLIXIE

Folklor po hollywoodzku

Horror to jeden z tych gatunków, który musi się bez przerwy żywić samym sobą. Sequele, prequele, remaki – ten gatunek filmowy bez przerwy mieli i żuje swoje elementy, dając nam lepsze albo gorsze straszydła. Ostatnio w Hollywood zapanowała nowa moda, polegająca na wyciąganiu z folkloru różnych krajów upiorów i wrzucaniu ich do amerykańskiego kotła. Tak było z naszą Babą Jagą i nawet strzygą. Teraz przyszedł czas na meksykańską La Lloronę pożerającą dzieci. Przyznacie, że samo słowo przyprawia o dreszcze. Zaczyna się to wszystko obiecująco i daje nadzieję na odświeżenie formuły. Mniej więcej po 20 minutach oklepane jumpscary zastępują powolne budowanie grozy, decyzje bohaterów przyprawiają o dreszcze zażenowania, a dialogi grzęzną w bagnie, gdzie czekamy na starego dobrego potwora z kina lat 50. Już wolę kicz niż fatalnie zmarnowany potencjał. Naprawdę mamrotanie po hiszpańsku staruchy w zniszczonej sukni raczej bawi, niż straszy.



„TOPIELISKO. KLĄTWA LA LLORONY", REŻ. MICHAEL CHAVES, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 5322f2ded0



Grająca główną rolę Ashley Bratcher mogła dziś nie żyć, gdyby jej matka dokonała aborcji

Fot. rafaelfilm

W obronie życia

„Nieplanowane" to film, który pokazuje koszmar aborcji, będącej wielkim biznesem krzywdzącym kobiety. Nic zatem dziwnego, że tak mocno utrudniano filmowi wejście na rynek



ŁUKASZ ADAMSKI

„Gdy zobaczyłam na ekranie ultrasonografu, co się dzieje z dzieckiem, gdy lekarz wprowadził do macicy kaniulę, wiedziałam już, że nie mogę dłużej pracować w Planned Parenthood" – opowiada na licznych spotkaniach Abby Johnson, była dyrektor jednej z klinik aborcyjnych w Teksasie. To jej książka stanowi kanwę filmu, który 1 listopada wchodzi do polskich kin. Dobrze, że twórcy „Nieplanowane" właśnie tą scenę umieszczają na początku obrazu. Ona wystarcza. Nawet jeżeli po niej wyjdziemy z kina, nie chcąc/nie mogąc obejrzeć go do końca. Ujęcie dziecka uciekającego w łonie matki przed „odkurzaczem" musi zrobić wrażenie na każdym. Szczególnie tym, który uważa, że aborcja jest usunięciem „zlepku komórek", płód zaś nie należy do gatunku ludzkiego.

Podejrzewam, że to właśnie przez tę sugestywną scenę (a przecież rozgrywa się na ultrasonografie!) film napotykał w USA i Kanadzie tak wielkie problemy dystrybucyjne. „Nieplanowane" nie jest jednak produkcją epatującą przemocą wobec najsłabszych. Twórcy spoglądają na koszmar aborcji we wszechstronny sposób. To również historia wielkiego biznesu, który dba o to, by kasa z aborcji płynęła szerokim strumieniem.

JAK HORRORY?

Najmocniej walczono z filmem w Kanadzie. Producent i reżyser Chuck Konzelman żalił się, że dwaj najwięksi kanadyjscy dystrybutorzy sugerowali mu, że film nie zostanie zakupiony ze względu jego treść, a nie złe prognozy frekwencyjne. Według reżysera, kanadyjskie prawo wymaga, by film miał dystrybutora, jeżeli ma być pokazywany na terytorium tego kraju. Inaczej nie dostanie kategorii wiekowej umożliwiającej premierę. Ostatecznie film wprowadziła na rynek mała firma Cinedicom. Trafił na zaledwie 14 ekranów w całej Kanadzie, zarabiając 643 tys. dol.

W USA, gdzie rynek kina chrześcijańskiego prężnie się rozwija, nikt nie groził blokadą dystrybucji. Jednak i tam nie obyło się bez problemów. Najpierw film dostał w kinach kategorię R oznaczającą, że na seans bez opieki dorosłych mogą wejść tylko osoby powyżej 17. roku życia. Producenci nie lubią tej kategorii, bo ogranicza mocno wpływy z biletów. Większość filmów z przemocą dostaje kategorię PG13.

Dlaczego film antyaborcyjny dostał taką samą ocenę jak horrory, filmy ze scenami rozbieranymi i brutalną przemocą? Raczej nie dlatego, że aborcja sama w sobie jest horrorem. Tuż przed premierą filmu Planned Parenthood (PP) wydało oświadczenie oskarżające twórców o manipulację. W czasie tej awantury zniknęło oficjalne twitterowe konto filmu, które przywrócono po trzech godzinach wobec masowej krytyki ze strony konserwatywnych mediów. Ostatecznie film, bez reklam w największych mediach, zarobił w USA 19 mln dol., co stawia go na liście najbardziej zyskownych spod znaku christian movie. W sierpniu tego roku „Nieplanowane" stało się natomiast hitem amerykańskiego Amazona, gdzie przez kilkanaście dni widniało na pierwszym miejscu najchętniej kupowanych DVD.

NIETYPOWY CHRZEŚCIJAŃSKI FILM

„Nieplanowane" nie jest typowym filmem z gatunku christian movie, mimo że zostało nakręcone przez twórców

eprasa.pl 5322f2ded0

„Czy naprawdę wierzysz?" i serii „Bóg nie umarł". Chuck Konzelman i Cary Solomon nie zrobili filmu przeznaczonego wyłącznie dla protestanckiej widowni, przyzwyczajonej do utwierdzających w wierze filmowych katechez. Chcieli dotrzeć z przekazem szerzej i dalej niż do środowisk chrześcijańskich oraz pro-life. Obaj w wywiadach podkreślają, że film od początku miał dla nich wymiar „wojny duchowej". Dobrze się stało, że kwestia wiary jest tłem „Nieplanowanego".

Na pierwszy plan wybija się historia zwykłej dziewczyny, która – mimo że z domu wyniosła poglądy antyaborcyjne – zaczęła pracę dla Planned Parenthood. Organizacji, która w założeniu ma dbać o zdrowie kobiet, ale zamieniła się w doskonale prosperującą korporację aborcyjną. Abby Johnson szybko stała się czołową pracownicą jednej z klinik w Teksasie. Awansowała na jej dyrektor. Po rezygnacji w 2009 r. stała się jedną z czołowych działaczek antyaborcyjnych. Ujawniła wtedy, że sama dokonała dwóch aborcji i jest odpowiedzialna za śmierć 22 tys. dzieci nienarodzonych. „To moje brzemię. Jak w ogóle to pojąć" – szlocha w jednej ze scen Abby.

„Nieplanowane" nie jest więc tylko filmem o koszmarze samej aborcji, mimo sugestywnej sceny otwarcia oraz ujęcia krwawienia młodych dziewczyn, którym podano rzekomo bezpieczne medykamenty. Jest to film bardzo prokobiecy, bo opowiadający historię z punktu widzenia samych kobiet. Mężczyźni są w nim na drugim planie. Są tchórzami odprowadzającymi kobiety do klinik i spychającymi na nie własną odpowiedzialność. Największa siła tkwi nie tylko w Abby, granej przez znaną z chrześcijańskiego kina aktorkę Ashley Bratcher, lecz również w jej matce, od początku sprzeciwiającej się, by córka pracowała dla aborcyjnego giganta.

KRWAWA KORPORACJA

„Mówię ludziom, że aborcja zabiera ludzkie życie. Niewinne, niepowtarzalne ludzkie życie. I że aborcja rani kobiety. Że nie jest tym, co o niej mówią. Możesz wymazać tę ciążę fizycznie, ale nigdy nie wymażesz jej ze swojej pamięci. Bo nie jesteśmy do tego zdolne jako kobiety ani matki. [...] Najbardziej przerażającą rzeczą było to, jak udało im się zinfiltrować media. Jak z ogromnym sukcesem sprzedali na masową skalę swoje kłamstwo społeczeństwu. Mogą powiedzieć cokolwiek i ludzie po prostu w to wierzą. To jest najbardziej przerażające – ludzie przestali myśleć samodzielnie, wierzą we wszelkie debaty, które są im narzucane" – mówiła Johnson w wywiadzie dla „Między niebem a ziemią" w TVP.

To właśnie pokazanie, jak działa Planned Parenthood, spowodowało, że Abby Johnson stanęła przed sądem pozwana przez aborcyjnego giganta. „Nieplanowane" uderza w PP, pokazując, jak formowano pracowników wykonujących nawet tzw. późne aborcje w ostatnim trymestrze ciąży. W jednej ze scen widzimy, jak Abby i jej koleżanki z kliniki świętują narodziny dziecka jednej z nich, tuż po tym jak w ciągu czterech godzin asystowały przy 38 aborcjach. Nie widziały w swoim zachowaniu żadnej sprzeczności.

Jednym z głównych wątków filmu są relacje Abby z protestującymi pod klinikami chrześcijanami. Władze PP przekonywały, że są to niebezpieczni fanatycy, gotowi krzywdzić pracowników klinik. Rzeczywiście w kilku scenach twórcy odcinają się od radykalnych haseł proliferów opartych na negatywnym przekazie. Wspominają też o zamachu, jaki przeprowadzono w kościele na lekarza wykonującego aborcje w klinice, gdzie pracowała Abby. Ginekolog został zastrzelony przed ołtarzem. Radykałom zostają przeciwstawieni działacze Koalicji dla Życia. Pełni miłosierdzia i ewangelicznej dobroci. To oni wyrywają Abby z macek kliniki i otaczają ją opieką. W końcu i ona stanęła przy płocie, protestując przeciwko zabijaniu nienarodzonych. Niewiele wcześniej przekonywano ją, że protestujący to ludzie pełni nienawiści i odmawiający kobietom ich podstawowych praw.

Johnson wierzyła, że pracując dla PP, przyczynia się do ograniczenia liczby aborcji choćby poprzez promowanie antykoncepcji. Jednak kolejne, typowe dla korporacji, śrubowanie norm kazało jej się zastanowić nad prawdziwym sensem istnienia organizacji. „Aborcja to nasze frytki i napoje" – mówi Abby jej przełożona, nawiązując do tego, że McDonald nie zarabia na samych burgerach, ale właśnie na dodatkach do nich. Abby usłyszała, że drogie późne aborcje ulepszą statystyki w tabelkach i utrzymają działalność kliniki. Według Johnson i twórców filmu za wszystkim nie stoi nawet ideologia. Planned Parenthood to po prostu maszynka do zarabiania pieniędzy. W jednej ze scen słyszymy z ust przełożonej Abby, że zadzieranie z PP jest zupełnie nonsensowne. „Naszymi darczyńcami są Soros, Buffett i Gates. A kto stoi za tobą?" – pyta nawróconą aborcjonistkę.

POPKULTUROWA BOSKA ISKRA

Film „Nieplanowane" jest zrobiony w specyficzny dla protestanckiego christian movies sposób. Ma działać na emocje. Poprzez telenowelowe aktorstwo, chrześcijańską muzykę pop, podkreślającą emocje widziane na ekranie i cukierkowość ma być ten film Dobrą Nowiną w wersji popkulturowej. W USA takie filmy zarabiają spore pieniądze i przyciągają do siebie coraz bardziej znane nazwiska. W Europie, mającej tradycję intelektualnego katolickiego kina spod znaku Tarkowskiego, Bressona czy Zanussiego, trudniej jest takim filmom się zakorzenić. Mam jednak do nich słabość i cenię protestancką prostolinijność, która nieraz lepiej trafia do mas niż katolickie dogmaty. Szczególnie że w tych filmach czuć boską iskrę.

Grająca Abby Ashley Bratcher po przyjęciu roli dowiedziała się o przeszłości swojej rodziny. Okazało się, że matka aktorki w wieku 16 lat dokonała aborcji. Będąc w ciąży z Ashley, również planowała dokonanie podobnego zabiegu. „Nie wiesz tego, ale leżałam na stole w klinice aborcyjnej, gotowa cię usunąć. Wtedy na salę weszła ciężarna pielęgniarka. Zeskoczyłam ze stołu i wyszłam" – miała powiedzieć córce.

Znak? Trudno osobie wierzącej inaczej tę opowieść potraktować. Gdy zestawimy to z tym, że w USA wykonuje się rocznie około miliona aborcji, a jedną trzecią z nich w Planned Parenthood, to zrozumiemy istotę tego filmu.

eprasa.pl 5322f2ded0



Wierzyłam, że aborcja to mniejsze zło



Tkwiłam w kłamstwie. Oszukiwałam innych, oszukiwałam też samą siebie. Wiele osób przez wszystkie te lata powtarzało mi, że aborcja to zło

Dorota Łosiewicz rozmawia z Abby Johnson, bohaterką książki i filmu „Nieplanowane”

Dla tych, którzy nie widzieli jeszcze filmu ani nie czytali książki „Nieplanowane”, pytanie zasadnicze. W jakich okolicznościach zrozumiała pani, czym jest aborcja?

Abby Johnson: Nie zapomnę tego do końca życia. Wzięłam udział w aborcji, na własne oczy widziałam, jak specjalna rurka wsysa dziecko. To był wstrząs. Wierzyłam wcześniej w to, co powtarzali zwolennicy aborcji: że nienarodzone dziecko nie czuje, że to zbiór komórek, które można usunąć. Ale kiedy na ekranie USG zobaczyłam, jak malutkie dziecko walczy o życie, walczy o to, by nie zostać wyssanym z macicy, z miejsca, gdzie dotąd czuło się tak bardzo bezpieczne, niemal straciłam panowanie nad sobą. To była chwila, która zdecydowała: wiedziałam wtedy, że muszę odejść z kliniki aborcyjnej, którą kierowałam od ośmiu lat.

Co pani wtedy czuła?

Gdy przekroczyłam drzwi gabinetu zabiegowego, przekonywałam samą siebie, że to tylko rutynowy zabieg. Powtarzałam w głowie słowa, które słyszałam od swoich przyjaciół z Planned Parenthood: „Ono nic nie czuje”, „Jeszcze kilka minut i będzie po wszystkim”. A przecież sama wtedy miałam już dzieci, pamiętałam ich obraz na USG. I tamto dziecko wyglądało dokładnie tak samo. Kiedy widziałam, jak toczy nierówną walkę z mającą je wessać rurką, zrobiło mi się słabo. To było zbyt wiele.

Wcześniej stała się pani pracownicą roku Planned Parenthood...

Praca w PP była dla mnie życiową pasją. Nie wątpiłam, że pomagam kobietom. Proszę pamiętać, że przedstawiciele tej organizacji często powtarzają, że ich działalność to nie tylko aborcje, lecz także diagnostyka i leczenie wielu chorób. Dla mnie to stanowiło wartość. Dlatego oprócz dobrej pensji i satysfakcji z wykonanej pracy miałam poczucie misji...

Te dwa momenty dzielą lata świetlne.

Tak. Przeszłam długą i bardzo trudną drogę. Ale cieszę się, że to już za mną, że dzisiaj jestem w innym miejscu.

Skąd taka ścieżka kariery?

Nigdy nie należałam do osób, które marzyły o korporacyjnej karierze. Na studiach poznałam wolontariuszkę PP, która przekonała mnie, że klinika nale-

eprasa.pl 5322f2ded0

żąca do tej organizacji to dobre miejsce dla osoby takiej jak ja. Jestem bardzo emocjonalna, lubię ludzi i cieszę się, kiedy mogę im pomagać. Początkowo martwiłam się tym, że PP słynęła głównie z aborcji, ale wolontariuszka przekonała mnie, że tak naprawdę chodzi o coś innego: aborcja to ostateczność, a kliniki pomagają zagubionym i chorym kobietom. Trudno mi było zaoponować, choć oczywiście dzisiaj wiem, że było to kłamstwo.

Czy miała pani, po przemianie, wyrzuty sumienia z powodu tego, co mówiła pani kobietom przed aborcją?

Do dzisiaj codziennie gorąco się modlę za te wszystkie kobiety, które pod moim wpływem dokonały aborcji. Myślę o nich i o tych dzieciach bardzo często. Podpisałam ponad 20 tys. zgód na aborcję. Ale mimo to, proszę pamiętać, nie przekonywałam kobiet do aborcji. Zawsze twierdziłam, że aborcja to zło. Mój wielki błąd polegał na tym, że uważałam ją za „mniejsze zło". Wychodziłam z założenia, że w ostateczności kobieta ma prawo zdecydować o aborcji. Mimo to starałam się przedstawić pacjentkom kliniki inne możliwe opcje. Nie zmienia to oczywiście faktu, że miałam udział w tym procederze, szczególnie wtedy, gdy kierowałam kliniką i podpisywałam zgody na aborcje.

Czy ma pani poczucie, że z tego zła wyniknęło dobro?

Tkwiłam w kłamstwie. Oszukiwałam innych, oszukiwałam też samą siebie. Wiele osób przez wszystkie te lata powtarzało mi, że aborcja to zło. Ja jednak byłam przekonana, że w PP jestem po to, by te aborcje ograniczyć. Gdy pracowałam w klinice, doświadczyłam wiele dobra od osób, które stały po drugiej stronie barykady. Wierzę, że dzięki nim Pan Bóg dotknął mojego serca i radykalnie je odmienił. Dzisiaj, mam nadzieję, przynosi to konkretne owoce.

Chciałaby pani cofnąć czas i nigdy nie zacząć przygody z przemysłem aborcyjnym?

Staram się tak o tym nie myśleć, bo to po prostu niemożliwe. To wszystko wydarzyło się w moim życiu. Nie patrzę jednak na przeszłość z bezradnością. Wiem, że moja historia to dowód na to, że każdy może doświadczyć Bożej miłości, a miłosierdzie Boga jest niezmierzone. Chciałabym, żeby o tym dowiedziało się jak najwięcej ludzi.

Po której stronie łatwiej stać: pro-life czy pro-choice?

Nie jestem pewna, czy „łatwiej" to dobre słowo. Mam wielu znajomych, którzy pracują lub pracowali w klinikach aborcyjnych, i wiem, że wielu z nich ma dobre intencje. Są jak ja przed laty. Wierzą w to, co robią, i uważają, że jest to rodzaj misji. To zła ocena sytuacji, dlatego założyłam specjalną organizację „I nie było już nikogo", która ma stanowić alternatywę dla takich osób. Tam pozwalamy im zrozumieć, na czym polega zakłamanie takich organizacji jak PP, ale przede wszystkim udzielamy im pomocy w sferze duchowej, psychologicznej, a jeśli trzeba – również materialnej. Osobiście czuję dzisiaj wielką ulgę, że nie jestem już w PP. Zostawiłam tam przyjaciół i wiele lat ciężkiej pracy, ale kiedy opuściłam klinikę, poczułam, jakby wielki kamień spadł mi z serca.

Wspomina pani w książce, że po obu stronach są różne ludzkie postawy. Co ma pani na myśli?

Chodzi o to, że nie powinniśmy klasyfikować ludzi wyłącznie z powodu ich deklarowanej przynależności: pro-life lub pro-choice. To popularny podział, jednak wiem, że po obydwu stronach można spotkać ludzi dobrych i złych. Nie zmienia to w żaden sposób poglądu na aborcję. To oczywiście zło. Warto jednak zdawać sobie sprawę, że ludzie, którzy odpowiadają za wykonywanie aborcji, często mają dobre pobudki. To ważne, bo dzięki temu możemy wielu z nich przekonać, że czynią zło. Ja właśnie przeszłam taką drogę. Otwartość ludzi z Koalicji dla Życia, ich serdeczna postawa wobec mnie, a także zachowanie pod klinikami były dla mnie przez wiele lat solą w oku. Z jednej strony przekonywano mnie, że to nasi przeciwnicy, wrogowie. Wiele razy sama medialnie z nimi walczyłam. A z drugiej strony widziałam coś zupełnie przeciwnego: rozmodlonych ludzi, którym naprawdę zależało na tych kobietach decydujących się na aborcję. Oni nigdy nie pochwalali tego, co robię, ale też nigdy nie przekreślili mnie, nie okazywali mi niechęci. Dzięki temu, kiedy postanowiłam porzucić pracę w klinice, udałam się do siedziby Koalicji dla Życia. To było dla mnie trudne, ale nie niemożliwe.

Jak radzą sobie inni byli pracownicy przemysłu aborcyjnego?

Staram się pomagać takim osobom. Dotąd udało mi się wyciągnąć z klinik aborcyjnych 525 osób. To często bardzo trudne przypadki. Wymagają bardzo zaawansowanej pomocy. Uwikłanie w aborcję to naprawdę poważna sprawa. Wychodzenie z tego to często długa droga.

Co chciałaby pani powiedzieć tym, którzy wciąż w tym przemyśle tkwią?

Że nie pomagają w ten sposób kobietom, nawet jeśli ktoś przekonał ich, iż jest inaczej. Nie jest to też żaden wybór dla kobiety, bo kiedy przychodzi ona do kliniki aborcyjnej, już jest pozbawiona wyboru. Jej decyzja to często efekt presji otoczenia, osamotnienia, wręcz odrzucenia. Jest często zdesperowana. Widziałam przypadki, gdy obrońcy życia pod drzwiami mojej kliniki przekonywali kobiety, że istnieje inne wyjście. I to działało. Kobiety, doświadczając bliskości i troski nawet ze strony obcych ludzi, rezygnowały z aborcji. Dlatego pamiętajcie: postawa pro-choice nie jest postawą „za wyborem". To stawianie pod ścianą kobiet, które najczęściej są w dramatycznej sytuacji i dlatego uznały, że ich jedynym wyjściem jest aborcja. A to jest zawsze złe wyjście. Sama dokonałam dwóch aborcji, mam do czynienia z kobietami, które tego doświadczyły. To piętno odciśnięte na psychice, które pozostaje właściwie do końca życia.

A co stoi za tym przemysłem: niewiedza, chęć zysku, chęć niesienia pomocy?

Jest tam właściwie wszystko to, co wymieniłaś. Znałam i znam wiele osób zaangażowanych w aborcje,

Fot. Melanie Stetson Freeman /East/News/AP

eprasa.pl 5322f2ded0

autentycznie chcących nieść kobietom pomoc. Jako szefowa kliniki spotkałam się też jednak z postawami moich przełożonych, którzy wywierali na mnie presję, by zwiększyć liczbę aborcji w mojej klinice. Chodziło oczywiście o wzrost zysków. Zawsze wychodziłam z założenia, że każda kobieta, która zrezygnowała z aborcji na etapie konsultacji, to sukces. Jednak moi przełożeni byli innego zdania.

Myśli pani czasem o swoich nienarodzonych dzieciach?

Tak, bardzo często. Przez wiele lat w ogóle nie potrafiłam o tym mówić. Dzisiaj robię to z wielkim bólem, ale jestem świadoma, że mówienie o tym może ochronić wiele kobiet przed popełnieniem podobnego, strasznego błędu.

Dlaczego kobiety decydują się na aborcję?

Bo są pozbawione wyjścia. Sama zdecydowałam się na aborcję, ponieważ czułam się psychicznie rozbita, opuszczona, pozbawiona jakiegokolwiek wsparcia. Mój ówczesny mąż – było to jeszcze przed moim nawróceniem – od razu zadeklarował, że dziecka trzeba się pozbyć. Przy drugiej ciąży rozstawałam się z tym mężczyzną i byłam pewna, że powiedzenie mu o dziecku skończyłoby się tak samo jak za pierwszym razem. Decyzja o aborcji to ostateczność. Ciąża to dla kobiety wielkie wyzwanie nie tylko fizyczne, lecz także psychiczne. Jeżeli ojciec dziecka nie jest prawdziwym mężczyzną i nie potrafi udzielić kobiecie wsparcia, a bliscy powtarzają, że jej ciąża to kłopot i ciężar, otwiera to drogę do decyzji o aborcji. To pokusa, by „łatwo" pozbyć się „problemu". Konsekwencje są przerażające, ale wtedy żadna kobieta o tym nie myśli. Skupiona jest na tym, by rozwiązać „problem", pozbyć się „ciężaru". Dlatego tak bardzo ważne jest, by kobietom w ciąży okazywać troskę i miłość. Trzeba się nimi opiekować. Jeśli rodzice chcą wychowywać swoje dzieci pro-life, niech powtarzają swoim córkom, że nigdy z żadnym problemem nie zostaną same i zawsze mogą się do nich zwrócić o pomoc. Synom zaś powinni mówić, że związek to odpowiedzialność, a ojcostwo wymaga od nich troski nie tylko o dziecko, lecz także o jego matkę. Bycie pro-life na co dzień to także troska o nasze koleżanki czy przyjaciółki. Jeśli są w ciąży – niech mają w nas wsparcie. Niech wiedzą, że zawsze mogą liczyć na naszą pomoc.

Czy znalazła pani szczęście w wielodzietności?

Tak, rodzina to najpiękniejsze, co mnie spotkało.

W wielu krajach aborcja jest legalna do dziewiątego miesiąca, inne chcą taką aborcję zalegalizować. Co by pani im powiedziała?

> Sama dokonałam dwóch aborcji, mam do czynienia z kobietami, które tego doświadczyły. To piętno odciśnięte na psychice, które pozostaje właściwie do końca życia

Aborcja to zło, bez względu na to, w jakim miesiącu życia się ją wykonuje. To odbieranie życia drugiemu człowiekowi. Jestem przeciwna aborcji i uważam, że prawo nie powinno jej dopuszczać. Bez wyjątków. Natomiast prawny zakaz aborcji nie może być ostatecznym celem obrońców życia. To jest środek do celu. Celem jest to, by kobiety nie decydowały się na ten krok. By tak się stało, nie wystarczy tego zadekretować. Istnieje bowiem silne podziemie aborcyjne. Powinniśmy proponować kobietom jasną alternatywę dla aborcji. To muszą być konkretne kroki: otoczenie opieką, pomoc duchowa, psychologiczna oraz wsparcie materialne. Kobiety muszą wiedzieć, że aborcja nie jest jedynym wyjściem.

Aktorka grająca panią w filmie „Nieplanowane" poznała swoją historię dzięki tej roli. Była pani zaskoczona takim obrotem sprawy?

Jej historia jest niesamowita. Dzięki filmowi dowiedziała się, że jej mama chciała usunąć ciążę. Ale czy byłam bardzo zaskoczona? Chyba nie. W Stanach Zjednoczonych dokonanie aborcji jest znacznie łatwiejsze niż w wielu innych krajach. W Polsce nie ma klinik, które w określonych dniach dokonują aborcji. U nas to dzieje się w świetle dnia: kobiety wchodzą do klinik w ciąży i opuszczają je pozbawione tego daru.

Ma pani nadzieję, że dzięki pani książce i filmowi więcej ludzi pozna prawdę?

Wierzę w to. Jestem wdzięczna Bogu za to, co mi dał, i dlatego chcę się tym dzielić z innymi. Skoro mnie udało się przejść taką drogę, to czemu nie może się udać innym?

Do kogo adresuje pani swoje przesłanie?

Wydaje mi się, że moje przesłanie jest w jakiś sposób uniwersalne. Aborcja to bardzo poważny problem. Na całym świecie z jej powodu umiera każdego dnia wiele dzieci. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak wiele osób nadal twierdzi, że aborcja stanowi wyjście z jakiejś trudnej sytuacji. To jest wielki dramat! Dramat dziecka, które umiera, oraz kobiety, która musi z tym dalej żyć. Chciałabym też poprzez swoją historię powiedzieć wszystkim, jak bardzo ważne jest, byśmy otaczali opieką i miłością naszych bliskich. Szczególnie kobiety w ciąży czy matki urodzonych już dzieci. One muszą czuć w nas wsparcie! No i wreszcie pamiętajcie o tym, że nawet jeżeli tkwicie w jakimś wielkim bagnie, to jest dla was nadzieja! Jest Bóg, który was kocha. Musicie mu tylko zaufać i zrobić wszystko, by uwolnić się od zła. On zajmie się wszystkim innym.

Abby Johnson, działaczka pro-life, w latach 2001–2009 pracowała w Planet Parenthood. Książka „Nieplanowane" ukazała się w Polsce nakładem wydawnictwa Esprit

eprasa.pl 5322f2ded0



W odpowiedzi pani Senyszyn

Ze zdumieniem słuchałam, jak posłanka Senyszyn stwierdziła w 35. rocznicę męczeńskiej śmierci bł. ks. Jerzego Popiełuszki, że zginął on przez politykę. Tym samym powróciła stara lewicowa narracja, te same oskarżenia kierowali przecież wobec męczennika – za jego życia i po śmierci – partyjni luminarze. Taką narrację powtarzali też w procesie toruńskim sami zabójcy księdza. Szkoda, że po 35 latach ta narracja jeszcze nie wymarła



MILENA KINDZIUK

Odpowiadam poseł Senyszyn, że na to, iż ks. Popiełuszko zginął nie za politykę, lecz za wiarę właśnie, istnieją konkretne dowody. Są opublikowane wszystkie kazania, jakie ks. Jerzy głosił podczas mszy za ojczyznę. Wystarczy je przeczytać, by się przekonać, że odnosił się w nich wyłącznie do treści wypływających z wiary: bronił prawdy, wolności, ludzkiej godności. Odwoływał się do nauczania prymasa Wyszyńskiego i Jana Pawła II, cytował ich nawet podczas każdej mszy za ojczyznę, podkreślając, że zło należy dobrem zwyciężać, że należy chronić się od nienawiści, nawet wobec wrogów. Nie prowadził też działalności stricte politycznej, mimo ogromnego poparcia wśród Polaków, nie założył partii politycznej ani żadnego ruchu społecznego. Spowiadał, odprawiał msze święte, prowadził ludzi do wiary. Przekonałam się o tym, gdy rozmawiałam z wieloma z nich, kiedy przygotowywałam książkową biografię ks. Popiełuszki. Problem polegał na tym, że w systemie totalitarnym wszystko stawało się polityką, nawet działanie czysto religijne. Na tym polega nieprawość i fałsz tych systemów. Dlatego trzeba wyjść poza te błędne kategorie i dotrzeć do prawdziwych, duchowych racji, jakimi kierował się ks. Popiełuszko.

Po drugie, ks. Jerzy to kapłan niezłomny, którego działalność wpisuje się w polską tradycję patriotyczną. To duchowny, który zaraz po Bogu najbardziej kochał Polskę i który – jak wcześniej ks. Stanisław Brzóska, ks. Ignacy Skorupka czy męczennicy II wojny światowej – cierpiał z narodem, a gdy było trzeba, cierpiał bardziej. Dla ks. Jerzego, tak jak dla św. Jana Pawła II, patriotyzm wiązał się z wiarą, konkretnie z IV przykazaniem Dekalogu, które miłość do ojca i matki łączy z miłością do ojczyzny.

Należy jeszcze dodać, że przy takim rozumowaniu, jakie powróciło w słowach posłanki Senyszyn, nikogo w historii Kościoła nie można by uznać za męczennika za wiarę. Już w starożytności przecież władze państwowe tłumaczyły prześladowanie chrześcijan względami politycznymi, nie motywami religijnymi, podczas gdy postawa chrześcijan zawsze wynikała z motywów religijnych: nie mogli przyjąć, że cesarz jest bogiem ani okazywać mu czci religijnej nie dlatego, że byli przeciw władzy państwowej, tylko z tego powodu, że Dekalog nie pozwala czcić fałszywych bogów. Zresztą nawet w procesie sądowym skazującym na śmierć Chrystusa oficjalny powód skazania go na śmierć też był polityczny i brzmiał: „Jezus Nazarejczyk Król Żydowski". Zginął, jak oficjalnie uzasadniano, bo uważał się za króla i był zagrożeniem dla legalnej władzy, do tego gromadził grupy uczniów, by – jak go oskarżano – podżegać do buntu i politycznego przewrotu. Podobnie pierwszym męczennikom też zarzucano nielojalność wobec państwa, obrazę majestatu władcy, podżeganie do buntu, gdyż jako chrześcijanie nie chcieli złożyć ofiary ku czci bogów, państwa i cesarza. Ale nie mogli tego czynić ze względów religijnych. Zatem ostatecznym powodem skazania chrześcijan na śmierć były motywy religijne. Gdyby nie one, nie byłoby męczeństwa.

Apeluję zatem do pani poseł, by nie powielała stereotypów formułowanych niegdyś przez Służbę Bezpieczeństwa i przez ówczesnego rzecznika rządu Jerzego Urbana i by nie wprowadzała opinii publicznej w błąd. Błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko z całą pewnością zginął za wiarę.

Fot. Krzysztof Sitkowski/KPRP

eprasa.pl 5322f2ded0



Jesteśmy silni duchem

Jacek Karnowski rozmawia z László Kövérem, przewodniczącym Węgierskiego Zgromadzenia Narodowego, jednym z założycieli Fideszu

Doświadczamy obecnie najlepszego okresu współpracy polsko-węgierskiej. Niezależnie od tego moglibyśmy być bardziej odważni w realizacji wspólnych przemyśleń, aby spróbować utworzyć z Europy Środkowej jednolity obszar gospodarczy, dysponujący względną samodzielnością

Decyzją prezydenta Andrzeja Dudy otrzymał pan Krzyż Wielki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Dlaczego to odznaczenie ma dla pana szczególne znaczenie? Pana kontakty z Polską sięgają dawnych czasów i wykraczają poza surową sferę polityki.

László Kövér: Uważam ten wyraz uznania za wielki zaszczyt – z jednej strony, bo polski, z drugiej, bo przede mną otrzymali go tacy ludzie, do których nie mogę się nawet przyrównać. Bez fałszywej skromności mogę powiedzieć, że odznaczenie to uważam nie za zaszczyt w stosunku do mojej osoby, lecz o wiele bardziej za wyraz uznania w stosunku do całej mojej generacji, całego mojego narodu.

Polska była obecna na początku pana drogi politycznej. To właśnie patron Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej – prof. Wacław Felczak – pod koniec lat 80. podsunął grupie studentów, m.in. Viktorowi Orbánowi, myśl stworzenia partii. Powiedział on, że założyciele prawdopodobnie pójdą siedzieć, ale nie na długo. Studenci poszli za jego radą i w ten sposób powstał Fidesz – rządząca dziś Węgrami partia. Jest to anegdota, która oczywiście nie odda wszystkiego, ale coś oznacza.

Owszem, sam byłem na tym słynnym spotkaniu. Spotkaliśmy się również z prof. Maciejem Koźmińskim, późniejszym ambasadorem Polski w Budapeszcie, jego studium opublikowaliśmy w gazetce naszego akademika. Zwodząc czujność cenzury – jak mi wiadomo – tu ukazał się po raz pierwszy w legalnej publikacji pełny tekst paktu Ribbentrop–Mołotow. Szukaliśmy wszelkich możliwości, by śledzić wydarzenia w Polsce: organizowaliśmy prelekcje, czytaliśmy legalną lub samizdatową literaturę o Polsce,

eprasa.pl 5322f2ded0

utrzymywaliśmy kontakty osobiste, np. z poznańskimi studentami.

Czy Polska i Węgry wykorzystają obecną bezprecedensową koniunkturę w zakresie wzajemnych kontaktów? Dzieje się wiele dobrych rzeczy, natomiast nasuwa się pytanie, czy nie można by iść jeszcze dalej, czynić jeszcze więcej? Ten idealny czas minie, a utracone możliwości nie wrócą.

Nie lekceważę znaczenia gestów i wyrazów wzajemnej sympatii. Są one bardzo ważne, ale ma pan rację: najbardziej wartościowe są rzeczywiste wyniki osiągnięte w pragmatycznej polityce. Patrząc na relacje pomiędzy naszymi krajami moim zdaniem nie wolno być niezadowolonym z obecnej sytuacji. Nasze obroty handlowe przekraczają już 10 mld euro i z roku na rok wzrastają o 7–9 proc. Te cyfry dokładnie odzwierciedlają kontakty między naszymi krajami. Powinniśmy pamiętać również o tym, że od 1918 r. powstało między nami nowe, oddzielające nas od siebie państwo...

...Słowacja.

Również dlatego tak bardzo istotne jest regionalne współdziałanie w ramach V4. W tej grupie Polska jest największym państwem, natomiast Węgry inspirują liczne działania. Patrząc na minione 30 lat, powinienem przyznać, że doświadczamy obecnie najlepszego okresu współpracy polsko-węgierskiej. Niezależnie od tego moglibyśmy być bardziej odważni w realizacji wspólnych przemyśleń, aby spróbować utworzyć z Europy Środkowej jednolity obszar gospodarczy, dysponujący względną samodzielnością.

Obserwując nawet Grupę Wyszehradzką, wyróżnia Polskę i Węgry odwaga, pewność spostrzegania i pewna stanowczość. Czy te dwa państwa mogą zmienić los Europy? Czy mogą się przyczynić do zmiany panujących dziś zgubnych orientacji?

Przyjrzyjmy się ostatnim wyborom do Parlamentu Europejskiego, niech to będzie punktem wyjściowym naszej analizy. Widzimy istotną zmianę sceny europejskiej. Wystarczy porównać nową przewodniczącą Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen z poprzednikiem Jeanem-Claude'em Junckerem. Samo porównanie jest co prawda obraźliwe dla nowej przewodniczącej, ale wykazuje różnicę. Owszem europarlament jeszcze nie zatwierdził Komisji, ale znamy już kandydatów i widzimy, jaką formę przybiera ten organ. Warto zaznaczyć, że Polska pozyskała jedną z najważniejszych tek – rolnictwo. Mimo obalenia kandydatury László Trócsányiego przez małostkową zemstę promigracyjnej lewicy, w dodatku w procedurze całkowicie niezgodnej z prawem, mamy nadzieję, że wstępujący na jego miejsce węgierski kandydat na komisarza będzie odpowiadał za sąsiedztwo i politykę rozszerzenia Unii. Kandydaci na komisarzy z Czech i Słowacji również dostaną ważne zadania, ponadto zachodzą zmiany w kierownictwach instytucji finansowych. Czyli możliwość zmian my stworzyliśmy już naszym wkładem.

> Nie odniesiemy sukcesów, jeżeli konserwatywna część społeczeństwa, elita o zaangażowaniu narodowym, jej instytucje, ruchy nie będą uczestniczyły w tej walce, jeżeli razem z nimi nie będziemy w stanie zmienić panującego nastawienia wobec hierarchii wartości

Bez względu na wyniki wyborów i mimo protestów państw naszego regionu wiceprzewodniczącym został jednak Frans Timmermans.

Owszem, ale nie będzie przewodniczącym Komisji. W przyszłości będzie miał mniej możliwości, nie będzie już mógł się nas czepiać. Nie dostał takiego stanowiska, które umożliwiałoby mu dalsze szykanowanie krajów naszego regionu. Prawdopodobnie nie to mu się marzyło.

Czy zgadza się pan ze stanowiskiem, że mamy do czynienia z procesem stopniowej emancypacji państw naszego regionu, które krok po kroku odzyskują swoją podmiotowość? Czy Zachód może to zaakceptować?

Tak, według mnie od stu lat po raz pierwszy istnieje realna szansa, by kraje Europy Środkowej mogły realizować swoje narodowe interesy jako strony równej rangi. Umocnienie się naszej gospodarki stanowi doskonałą podstawę do tego – obszar krajów V4 jest najszybciej, najbardziej dynamicznie rozwijającym się gospodarczym regionem w Europie. Jest takim regionem, którego liczba mieszkańców jest mniej więcej równa Francji, obroty gospodarcze z Niemcami wynoszą już 60 procent więcej niż wolumen w relacjach niemiecko-francuskich. Zachód zaczyna również pojmować, że nie należy nas ignorować. Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę rangę Polski w europejskim systemie bezpieczeństwa.

Jest pan jednym z założycieli Fideszu – partii, która trzy razy pod rząd wygrała wybory parlamentarne i wygląda na to, że jest na dobrej drodze ku czwartej wygranej. Jest to na poziomie europejskim sukces bezprecedensowy. Jaka jest jego tajemnica?

Węgierski system wyborczy jest specyficzną konstrukcją. Żeby nie było nieporozumień, natychmiast zaznaczam, że nie mam zamiaru potwierdzać tych zarzutów, według których tak zmieniliśmy system wyborczy, aby jak najbardziej odpowiadał naszym interesom politycznym. Nie, ponieważ nie zmieniliśmy logiki głosowania ani

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5322f2ded0

technicznych rozwiązań głosowania. Mamy mieszany system składający się z mandatów pochodzących ze 106 okręgów wyborczych i 93 mandatów z listy. Każdy wyborca oddaje dwa głosy. W przypadku list partyjnych istnieje 5-proc. próg wyborczy, wybory są jednorundowe, tak więc w indywidualnych okręgach wystarczająca jest również większość względna.

Moje pytanie dotyczyło raczej sposobu kształtowania polityki.

Oczywiście rozumiem pytanie, ale nie wypada mi powiedzieć, że wyłącznie dzięki naszej fenomenalnej polityce zwyciężyliśmy w trzech wyborach z większością dwóch trzecich mandatów. W rzeczywistości to, co można by nazwać naszą tajemnicą, która przyniosła nam zwycięstwo, porównałbym do dwóch stron medalu. Po drugiej stronie znajduje się tzw. lewica, która w naszym przypadku nadal ma odcień mocno postkomunistyczny. Trzeci rząd ugrupowania będącego spadkobiercą partii komunistycznej oraz liberałów spowodował na Węgrzech przed rokiem 2010 bardzo głęboki kryzys dotykający nie tylko sfer gospodarki czy społeczeństwa, lecz w rzeczywistości był to kryzys struktur państwowych i moralności. Borykaliśmy się z bardzo wysokim bezrobociem i ogromnym zadłużeniem. Państwo znalazło się na skraju upadłości. Stało się tak nie tylko dlatego, że nasi poprzednicy okazali się niezdolni do rządzenia państwem. Było tam również co innego: moralna próżnia, całkowita utrata wartości. Był to obóz skorumpowany, dla którego kwestią priorytetową była realizacja własnych interesów, a w toku tego wydał kraj zewnętrznym, obcym interesom.

Można odnieść wrażenie, że opisuje pan doświadczenia nie tylko własnego kraju, lecz również Polski.

W 2010 r. społeczeństwo nie wierzyło już, iż lewica ma jakąkolwiek – oprócz dalszego rozkradania – wizję przyszłości dla kraju. To doświadczenie oznaczało, że cała lewicowa, postkomunistyczna wizja świata uległa mocnej dyskredytacji, że ludzie w nią już po prostu nie wierzą. Jednocześnie pragnę podkreślić – i to jest ta ładniejsza strona medalu – iż udało nam się szybko uporządkować sprawy. Skierowaliśmy państwo na właściwą drogę i idziemy do przodu. To z kolei oznacza, iż społeczeństwo coraz bardziej akceptuje wartości przez nas głoszone. Możemy więc powiedzieć, że miniony 15-letni okres przyniósł dla Węgier istotne przewartościowania. Społeczeństwo przesunęło się na prawo.

To zjawisko często jest w Polsce podziwiane – Węgrami rządzi jednoznacznie chrześcijańska ekipa, choć mówimy o znacznie zsekularyzowanym społeczeństwie, które jest mniej wierzące niż społeczeństwo polskie. Jak to jest możliwe, że władza głosi konserwatywne wartości i nie ma buntu?

Jest to możliwe, ponieważ grupy inteligencji walczące od 30 lat przeciwko naszym wartościom całkowicie utraciły swoją wiarygodność. Z moralnego punktu widzenia są na dnie. Oznacza to natomiast, że ci zdyskredytowani ludzie stale próbują wywołać coś w rodzaju „zimnej wojny domowej" w nadziei, że to przyniesie nam porażkę. Po tamtej stronie nie ma już wartości, jest jedynie próżnia z gorącą nienawiścią.

Czy to może być nieprzyjemne?

Jest to bardzo niebezpieczne.

Wymaga stałej czujności?

Tak, musimy być stale czujni. Taktyka naszych przeciwników utrudnia również ludziom o wysokim poziomie moralnym i etycznym znalezienie własnego miejsca w polityce. Już nie jest ważne, kto co reprezentuje, jedynie ważne jest to, kto do którego obozu politycznego należy. A to poważnie zagraża demokracji, która nie może odpowiednio funkcjonować, jeżeli przeciwnych stron nie łączy żadna wspólnota wartości, nawet bezwarunkowa lojalność wobec własnej ojczyzny czy tysiącletnie wartości cywilizacyjne, np. poszanowanie rodziny.

W jakiej mierze udało się węgierskiemu kierownictwu zatrzymać lub zawrócić te procesy cywilizacyjne, które stanowią powód troski każdego przyzwoitego człowieka? Myślę tu o kryzysie rodziny, o niskich wskaźnikach demograficznych i – z polskiego punktu widzenia – również o emigracji. Rząd węgierski sporo mówi o tych zagadnieniach, ale czy w związku z obecnymi cywilizacyjnymi trendami zatrzymanie zjawisk o tym charakterze w ogóle leży w zasięgu oddziaływania władzy politycznej?

Rzeczywiście instrumentami politycznymi można w tym zakresie osiągnąć jedynie ograniczone efekty. W istocie rzeczy należałoby zmienić mentalność społeczeństwa. Przede wszystkim stale rozszerzamy system materialnego wsparcia rodziny. System ten udziela pomocy młodym ludziom, umożliwia im zakładanie rodziny, wychowywanie dzieci, pomaga w zwalczaniu przeszkód materialnych. Drugim krokiem jest dążenie do przełamania hegemonii liberalnej panującej od dwóch–trzech dziesięcioleci nie tylko na Węgrzech, lecz również w całym regionie. Ważne jest ukształtowanie realnej równowagi w mediach, poprawienie systemu oświaty – bez tego nie sposób dalej dążyć. Jednak jasno należy stwierdzić, że nie odniesiemy sukcesów, jeżeli konserwatywna część – w tym część wierząca – społeczeństwa, elita o zaangażowaniu narodowym, jej instytucje, ruchy nie będą uczestniczyły w tej walce, jeżeli razem z nimi nie będziemy w stanie zmienić panującego nastawienia czy postawy wobec hierarchii wartości. Nieograniczony egoizm rozbija, skazuje na zagładę nasze społeczeństwa. Nie może być tak, aby ludzie, którym zależy na przyszłości rodziny i narodu, bezczynnie siedzieli z założonymi rękoma i przyglądali się kolejnym bitwom toczonym przez polityków. Z tego punktu widzenia trochę zazdrośnie patrzymy na Polskę, ponieważ u was chrześcijańskie zaplecze inteligencji było zawsze bardzo silne, nawet w trudnych okresach ciemności.

eprasa.pl 5322f2ded0

Może dlatego lewica jest u nas tak wściekła. Sięga do takich prowokacji i profanacji, które nie mają precedensu w innych krajach. Czasem faktycznie ukazuje straszliwe oblicze.

Nie owijajmy w bawełnę, toczy się po prostu wojna cywilizacyjna. W historii Węgier doświadczyliśmy tego już wiele razy. Wspomnijmy tutaj o 1456 r., gdy Jan Hunyady pod Belgradem zatrzymał osmańskie wojska, czy o Wiośnie Ludów 1848 r., albo o 1956 r. Zawsze podjęliśmy walkę. Dzisiejsza tzw. liberalna lewica to jedynie odmiana z XX–XXI w. stale towarzyszącego nam Zła. Nie wygramy jednakże, jeśli nie uwierzymy, że my, ludzie żyjący w środkowej i wschodniej Europie, jesteśmy zdolni do zwycięstwa, możemy zmienić świat.

Węgry od czasu do czasu toczyły bohaterską walkę przeciwko George'owi Sorosowi i przeciwko wszystkiemu, co ten człowiek reprezentuje. Czy chodzi o to, że doszliście do wniosku, iż bez zatrzymania takiego typu zewnętrznych wpływów, przecieków ideologicznych brak jest szans w tym cywilizacyjnym starciu? Że po prostu należy to uczynić, jeśli chcemy mieć prawo do prowadzenia własnej polityki?

Tak, w tej wojnie tacy ludzie tworzą jedną stronę. Powiem wprost: oni są naszymi wrogami. I nie chodzi tu o osobę ani pochodzenie George'a Sorosa.

Czy Soros jest swego rodzaju symbolem?

Tak, on jest symbolem, który pojawiając się na scenie politycznej, użyczył twarzy tej niewidocznej dotąd tajnej potędze, której on sam jest częścią. Może zrobił to z próżności, może dlatego, że wierzył, że miano „filantrop", jakim określa się go w międzynarodowej prasie, legalizuje to, co on reprezentuje. Jednak problem ma szerszy zasięg. Widziałem niedawno zdjęcie, na którym widoczny jest założyciel Facebooka, Mark Zuckerberg, z ogromnym hasłem w tle: „The future is private". Gdy to zobaczyłem, wszystko stało się dla mnie jasne. Te cztery wyrazy mówią wszystko. Kiedyś zadaniem państwa była obrona żyjących na jego terytorium przed zagrożeniami zewnętrznymi, ze strony państw obcych oraz przed nadużyciami wewnętrznej potęgi prywatnej. Dziś widzimy natomiast, że nasze narodowe państwa, jak również nasza wolność i godność zagrożone są coraz bardziej przez prywatną potęgę firm korporacyjnych mających charakter sieci. Dziś uznały, że nadszedł już czas realizacji ich interesów nie tylko poprzez skorumpowanych polityków, drogą manipulowania demokratycznymi mechanizmami, lecz także moment wysunięcia żądań, aby bez jakichkolwiek demokratycznych upoważnień przeforsować swoją wolę w podejmowaniu decyzji politycznych. Warunkiem tego jest osłabienie naszych państw, osłabienie narodów utrzymujących te państwa i podważenie kulturowych oraz moralnych postaw wiążących te narody. Równolegle do tego należy przegrupować kompetencje decyzyjne do organizacji transnacjonalnych, ponieważ – pozostając w Europie – łatwiej panować nad mocarstwową strukturą mającą siedzibę w Brukseli, niż sprawować kontrolę nad narodowymi procesami decyzyjnymi w 27 państwach Unii Europejskiej – na co dały przykład w minionych latach kraje wyszehradzkie.

> Widzimy, że nasze narodowe państwa, jak również nasza wolność i godność, są coraz bardziej zagrożone przez prywatną potęgę firm korporacyjnych mających charakter sieci, które uznały, że nadszedł już czas realizacji ich interesów

W związku z takim scenariuszem właśnie Węgry i Polska wyrażały najgłośniej brak akceptacji. Pana zdaniem to, że właśnie te dwa kraje rzuciły w taki sposób wyzwanie regułom gry pisanym przez silniejszych, ma charakter okazjonalny, czy też jest odgłosem narodowego DNA, wynikiem czegoś głęboko zakodowanego?

Jeżeli mówimy o naszych zmaganiach, nie możemy zapomnieć o Bogu i o jego opiece nas otaczającej. Możemy mówić o charakterze „okazjonalnym" tylko w cudzysłowie. Wierzymy w to, że wszystko ma głębszy sens. To, że razem z Viktorem Orbánem włączyliśmy się do polityki, że mimo przegranych w 2002 r. wyborów udało nam się jednak powrócić, że w 2010 r. zwyciężyliśmy z tak wysoką przewagą, że pozyskaliśmy konstytucyjną większość i potrafiliśmy przeprowadzić w kraju tak radykalne zmiany – tego wszystkiego nie sposób wytłumaczyć naszą rzekomą zdolnością i doskonałością. Tak jak DNA każdego człowieka pisze Stworzyciel, tak uformowanego w toku historii naszego charakteru narodowego w żaden sposób nie można uznać za wynik przypadku.

Oba narody mają przeczucie, że albo będą wielkie i silne, albo ich w ogóle nie będzie.

Moim zdaniem wcześniej czy później jakiś uczony wykaże, że Polacy i Węgrzy są narodami pokrewnymi. Jest to tylko kwestią czasu. Ale tak, jest tak, jak to pan sformułował. W ostatnich 500 latach zarówno Polacy, jak i Węgrzy walczyli o kwestie podstawowe, mianowicie o swoje istnienie, kulturę, język, wiarę i tożsamość. Gdybyśmy nie byli silni duchem na tyle, aby podjąć skuteczną walkę, mimo z reguły fizycznej przewagi po stronie naszych wrogów, to zapewne by nas już nie było. Patrząc na dzisiejszą Europę Zachodnią, widzimy, że tam ta siła witalna już nie istnieje.

eprasa.pl 5322f2ded0

Pyrrusowe zwycięstwo Trudeau

Liberałowie premiera Kanady Justina Trudeau ponownie wygrali wybory parlamentarne. To Konserwatyści są jednak najbardziej popularną obecnie partią w kraju. Jeśli Trudeau nie zacznie rządzić, zamiast pozować w tęczowych skarpetkach do zdjęć z pandami – ostrzegają rozczarowani zwolennicy lewicy – za cztery lata Kanada będzie miała najbardziej konserwatywny rząd w historii





ALEKSANDRA RYBIŃSKA

16-letnia szwedzka aktywistka klimatyczna Greta Thunberg urządziła dwa dni przed wyborami parlamentarnymi w Kanadzie strajk klimatyczny przed siedzibą parlamentu prowincji Alberta w Edmonton. Uczestniczyło w nim ok. 8 tys. osób. Podczas gdy Thunberg przemawiała do zebranego tłumu, lokalny artysta AJA Louden ozdobił jeden z murów w mieście graffiti z podobizną młodej aktywistki. Obok napisał: „Dziękujemy ci, Greto!". Graffiti nie przetrwało nawet jednego dnia. Na wiecu Thunberg pojawili się kontrmanifestanci, którzy skandowali: „Przestańcie kłamać! Alberta to kraina ropy naftowej!". Jeden z nich, James Bagnell, zniszczył graffiti, pokrywając je hasłami o ekologicznym kłamstwie oraz „prowokatorce" Thunberg. „Mój ojciec pracował w przemyśle naftowym i ja pracuję w przemyśle naftowym. Nie potrzebujemy obcych, by mówili nam, jak zarabiać na życie i wykarmić nasze rodziny" – podkreślił Bagnell. Według niego „Greta powinna się zamknąć i wrócić dopiero wtedy do Kanady, gdy będzie miała sensowne rozwiązania do zaproponowania".

SŁONECZNA POLITYKA

Niezbyt entuzjastyczne przyjęcie Thunberg w Edmonton dobrze ilustruje, dlaczego premier Kanady Justin Trudeau, zwany

57/0919/F

eprasa.pl/532f3ded0

także „boskim Justinem", z trudem wygrał w miniony poniedziałek reelekcję i będzie musiał dobrać sobie koalicjantów, by móc rządzić przez kolejną kadencję. Czar prysł. Nie pomogły skarpetki z bohaterami „Gwiezdnych wojen" czy napisem „Ramadan" ani wciągnięcie kobiet, rdzennych mieszkańców i niepełnosprawnych do rządu. Nie pomogło też pozowanie do zdjęć z nagim torsem i przyjmowanie uchodźców z Syrii. Pogodzenie lewicowych idei oraz ekologicznych ambicji z gospodarczą rzeczywistością – z przemysłem naftowym w politycznie wyalienowanych prowincjach Alberta, Saskatchewan, Manitoba i Kolumbia Brytyjska – okazało się zbyt trudne. Na koniec wszyscy byli rozczarowani: zarówno ekolodzy, jak i rdzenni mieszkańcy oraz ci Kanadyjczycy, którzy wytwarzają bogactwo kraju, wydobywając jego surowce. Trudeau, marzenie każdej teściowej i wzór postępowości – uprawia jogę, ma tatuaże, jest feministą – okazał się słabym politykiem. Jego rządy przypominały permanentną kampanię PR-ową, a Trudeau nie stronił nawet od kiczu, który wywoływał u jego oponentów mdłości.

Gdy w 2015 r. przejmował władzę, obiecał Kanadyjczykom „słoneczną politykę", pełną pozytywnej energii, niczym trener motywacyjny z Kalifornii. Były więc selfie na plaży, udział w paradach LGBT, sesja zdjęciowa z małymi pandami i głupkowate przebrania na Halloween. Słodko, lekko i optymistycznie. Na początku Kanadyjczycy rzeczywiście kochali Justina. Poparcie dla niego oscylowało w granicach 60 proc. Jest w końcu przystojny, w taki nieofensywny, metroseksualny sposób oraz symbolizuje otwartość i wielokulturowość Kanady. Jest urzeczywistnieniem lewicowego ideału.

Ale, jak często bywa w polityce, to tylko pozory. Trudeau ze swoich postępowych pomysłów tylko nieliczne wprowadził bowiem w życie, a gdy już to zrobił, to zrobił źle. Nie dlatego, że jest lewicowy, ale dlatego, że jest, jak wielu innych zachodnich polityków jego pokolenia, produktem marketingowym, obsługującym najbardziej modne ideologiczne klisze. Od walki z ociepleniem klimatu po genderyzm. A polityka nie polega na zbieraniu like'ów na Twitterze i followersów na Instagramie. Ani na okazywaniu swojej dominacji poprzez uścisk dłoni (Trudeau ćwiczył swój uścisk dłoni intensywnie przed wizytą u prezydenta USA Donalda Trumpa w 2017 r. w Białym Domu), gdy dominacji tej realnie wcale nie ma. Tak więc Trudeau rozpoczął swoje rządy na dobrej stopie ze społeczeństwem. Obiecał walczyć z ociepleniem klimatu, zatroszczyć się o rdzennych mieszkańców od dziesięcioleci zaniedbywanych przez kanadyjskie elity polityczne, wprowadzić parytety gdzie się da i otworzyć granice Kanady dla obcych. W skrócie: uprawiać politykę zupełnie inaczej niż jego konserwatywni adwersarze, którzy rządzili Kanadą przez ponad dekadę w tradycyjnym stylu. Na początek rozdał więc kilka prezentów socjalnych, wprowadził m.in. powszechny zasiłek dla dzieci, zliberalizował przepisy imigracyjne, zalegalizował wspomagane samobójstwo i marihuanę.

ZBYT SILNE KOBIETY?

Potem wybuchła jednak tzw. afera SNC Lavalin. Jody Wilson-Raybould, była minister sprawiedliwości i prokurator generalna oraz pierwsza rdzenna Kanadyjka na tym stanowisku, potwierdziła przed parlamentarną komisją sprawiedliwości, że między wrześniem a grudniem zeszłego roku premier i jego główni doradcy nakłaniali ją, aby zaprzestała ścigania SNC-Lavalin, jednej z największych firm inżynieryjno-budowlanych z Quebecu. Firma jest oskarżona o korupcję. Miała uzyskać wielomilionowe kontrakty w Libii za wysokie łapówki. Czekała ją dotkliwa kara finansowa oraz 10-letni zakaz ubiegania się o państwowe zamówienia. SNC-Lavalin to jednak także sponsor Partii Liberalnej i jeden z większych pracodawców w Quebecu, prowincji, z której pochodzi Trudeau. Ponieważ Raybould nie chciała odpuścić, premier najpierw przesunął ją na stanowisko minister ds. weteranów, a potem usunął ją oraz kolejną krytyczną wobec niego członkinię rządu, Jane Philpott, z partii. Obie panie wkrótce potem złożyły rezygnacje ze stanowisk rządowych. Tym samym skończył się parytet, którym Trudeau się tak chwalił, mówiąc, że kocha „silne kobiety". Te najwyraźniej okazały się dla niego zbyt silne.

Kanadyjczycy zrozumieli, że w zderzeniu z twardą rzeczywistością (miejsca pracy w Quebecu, finansowanie partii) „boski"

Fot. arindambanerjee/Shutterstock.com

REKLAMA

Dobrze poukładane

STEFCZYK FINANSE

FINANSE

Sprawdź, ile możliwości czeka na Ciebie w placówce

- rachunki płatnicze
- opłaty domowe
- pożyczki
- fundusze inwestycyjne
- lokaty
- doładowania energetyczne
- przelewy zagraniczne
- ubezpieczenia

Lista placówek dostępna pod adresem:
www.kasastefczyka.pl/placowki-i-bankomaty

Usługi dostępne w STEFCZYK FINANSE dzięki współpracy z:
KASA STEFCZYKA · WesternUnion WU · SALTUS UBEZPIECZENIA · moje rachunki · paysafecard pay cash. pay safe.

eprasa.pl 5322726

Justin zapomina o swoich lewicowych ideałach. Było to ogromnym rozczarowaniem przede wszystkim dla milenialsów, którzy często żyją w świecie różowych jednorożców i przez ten pryzmat lubią oceniać politykę. Na odcinku współpracy z rdzennymi mieszkańcami Kanady Trudeau nie wypadł lepiej. We wrześniu bieżącego roku Kanadyjski Trybunał Praw Człowieka uznał, że rdzenna młodzież przez lata była krzywdzona w państwowych placówkach wychowawczych, a system opieki społecznej w rezerwatach także pozostawiał wiele do życzenia. Na pomoc dzieciom rdzennych mieszkańców wydano o wiele mniej niż na pomoc dzieciom białych mieszkańców Kanady. A to zdaniem sądu stanowiło dyskryminację, za którą dzieciom i ich rodzinom należy się teraz odszkodowanie. 40 tys. dolarów dla każdego dziecka odebranego rodzinie i umieszczonego w państwowej placówce. Jak twierdzi „The Guardian", może to dotyczyć aż 50 tys. dzieci. Co zrobił Trudeau, największy przyjaciel rdzennej ludności? Złożył apelację od wyroku. Zablokowało to wypłatę odszkodowań, a rdzenni mieszkańcy obawiają się teraz, że w ogóle do niej nie dojdzie. Poseł Nowej Partii Demokratycznej, sytuującej się na lewo od liberałów, Romeo Saganash, zadeklarował przy tej okazji, że „Trudeau ma w dupie prawa rdzennej ludności".

> Trudeau, marzenie każdej teściowej i wzór postępowości – uprawia jogę, ma tatuaże, jest feministą – okazał się słabym politykiem. Jego rządy przypominały permanentną kampanię PR-ową

Do niespełnionych obietnic wobec rdzennej ludności dochodzą niespełnione obietnice w dziedzinie ochrony klimatu. Trudeau najwyraźniej chciał mieć ciastko i zjeść ciastko. Wprowadził podatek węglowy (carbon tax), który rozzłościł klasę średnią, bo pociągnął za sobą m.in. wyższe koszty ogrzewania. Podrożały paliwa. Dochody z podatku miały zostać zwrócone gospodarstwom domowym w postaci różnych ulg, ale jak dotąd ludzie ich nie dostali. Na dodatek władze kilku prowincji zaskarżyły podatek do sądu. Jednocześnie rząd Trudeau nabył od amerykańskiego koncernu Kinder Morgan rurociąg Trans Mountain, transportujący ropę z Alberty do wybrzeża Pacyfiku w Kolumbii Brytyjskiej. Rozbudowa rurociągu ma stworzyć nowe miejsca pracy w słabo rozwiniętych regionach. Przeciwko projektowi protestuje rdzenna ludność. Dzień przed finalizacją zakupu rurociągu rząd Kanady ogłosił „klimatyczny kryzys". Na Trudeau spadł deszcz krytyki ze strony ekologów. Oskarżono go o „hipokryzję". Zza idealizowanej, słonecznej fasady lewicowego sonny boya zaczęła wystawać cyniczna twarz polityki. Takiej jak zwykle. Poparcie dla Trudeau spadło do 32 proc., to o połowę mniej niż w chwili, gdy przejmował urząd.

PRZYWŁASZCZENIE KULTUROWE

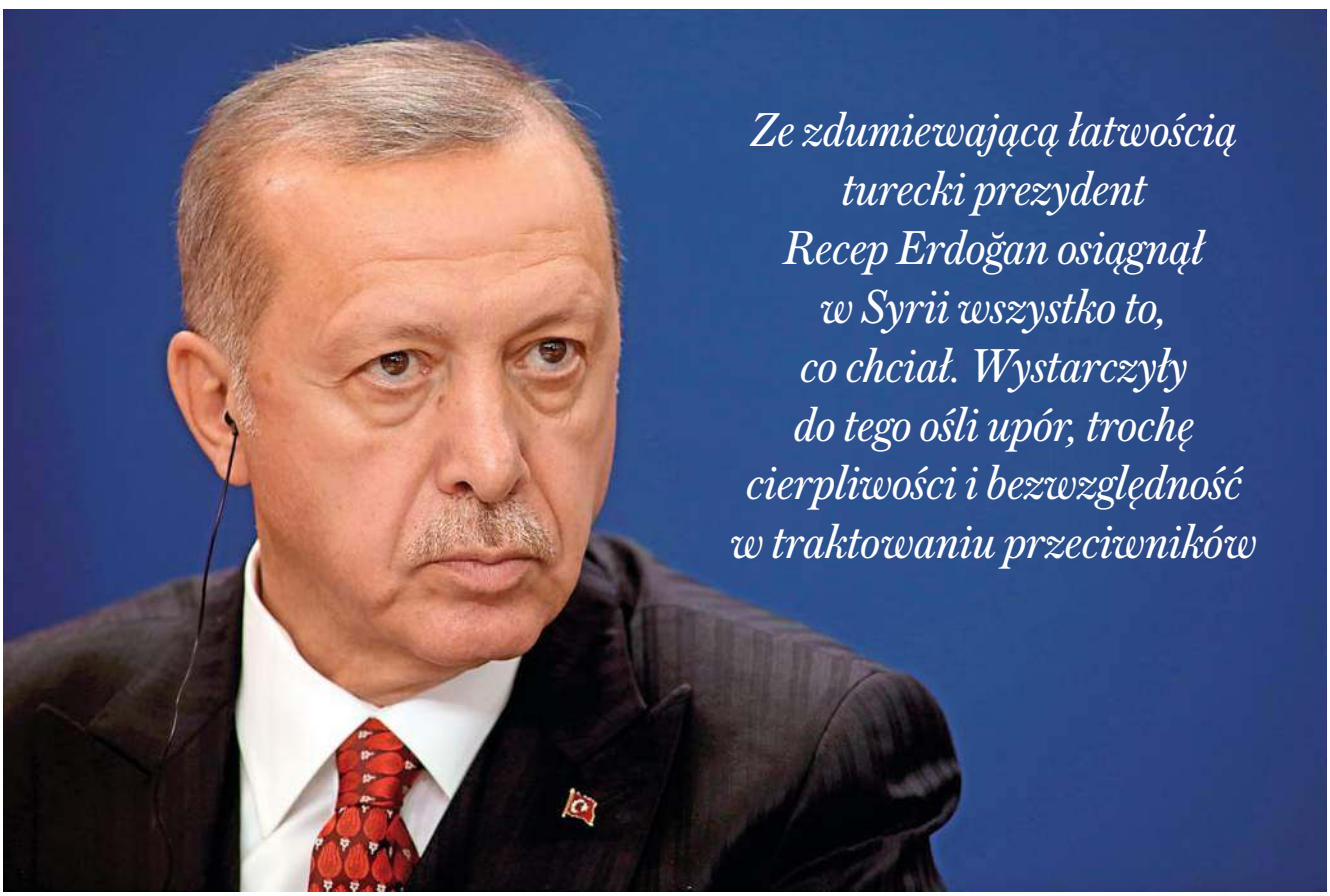
Na arenie międzynarodowej kanadyjskiemu premierowi nie szło zresztą lepiej. Kanadyjczycy stali się m.in. świadkami fatalnej renegocjacji przez niego porozumienia NAFTA. Trudeau dał się rozegrać prezydentowi Donaldowi Trumpowi i Kanada zawarła porozumienie na gorszych warunkach niż w 1994 r. Kanadyjskie media zaczęły mówić o „słabym" premierze, nienadającym się do wielkiej polityki. Trudeau wypomniano też katastrofalną podróż do Indii, gdzie przez pomyłkę swoich urzędników cały tydzień czekał na spotkanie z premierem Narendrą Modim. A gdy już do niego doszło, Trudeau i jego rodzina wystąpili w tradycyjnych, kolorowych hinduskich strojach, podczas gdy premier Indii i jego otoczenie wystąpili w garniturach. To, co miało być ukłonem w kierunku kultury i tradycji Indii, zostało więc odebrane jako próba małpowania i przeciągnięcia kulturowej spuścizny w śmieszność. Na domiar złego na przyjęciu zorganizowanym dla Trudeau w Delhi pojawił się człowiek skazany w 1986 r. za próbę zamachu na indyjskiego polityka odwiedzającego wówczas Kanadę.

Media społecznościowe, na których premier promował się od początku swojego urzędowania, nagle stały się jego największym wrogiem. To w nich był najbardziej krytykowany. Nic jednak nie zaszkodziło mu tak, jak afera „Blackface". W 2001 r., gdy premier był studentem, lubił się przebierać. Na imprezę pod hasłem „Baśnie 1001 nocy" przebrał się za księcia pustyni. W celach uzyskania autentycznego wyglądu przyczernił twarz i dłonie. Zdjęcie wypłynęło miesiąc przed wyborami. Wybuchł ogromny skandal. Zarzucono Trudeau rasizm oraz przywłaszczenie cudzej kultury (cultural appropriation). Nie pomogły tłumaczenia, że wtedy był on mniej świadomy. Milenialsi takich zbrodni nie wybaczają. „On tylko udaje, że jest postępowy. Między tym, co mówi, a tym, co robi, jest ogromna przepaść" – skarżyła się w telewizji CBC młodzieżowa aktywistka z Vancouver, 18-letnia Rayne Fisher-Quann.

Kampania była dla Trudeau więc trudna. Nie wystarczało już się uśmiechać i powtarzać w kółko te same postępowe banały. Tak jak pierwsza kampania była kampanią pozytywną, tak ta była naznaczona konfliktem oraz ostrymi słownymi sprzeczkami z liderami konkurencyjnych partii. Ostatecznie Trudeau wygrał wybory, i to mimo iż w liczbach bezwzględnych liberałowie otrzymali o 1,4 proc. mniej głosów od konserwatystów (34,4 proc.) To efekt większościowej ordynacji wyborczej obowiązującej w Kanadzie. Trudeau uratowała arytmetyka, nie ma on więc powodów do radości. Tak w każdym razie uważa były doradca kanadyjskiego premiera Saqib Qureshi, który pisze na łamach dziennika „The Indpendent", że jeśli Trudeau nie dostarczy wyborcom tego, co im obiecał, „Partia Liberalna stanie się niewybieralna" i za cztery lata „będziemy mieli najbardziej konserwatywny rząd w historii Kanady". Na razie jednak starego nowego premiera czekają rozmowy koalicyjne. Do wyboru ma Zielonych, którzy będą wymuszali na nim realizację ekologicznej agendy, lub Nową Partię Demokratyczną, która chce z kolei zwiększyć o 15 mld dol. wydatki na walkę ze zmianami klimatycznymi.

eprasa.pl 5322f2ded0

Turcja wkracza do akcji



Fot. Sasa Dzambic Photography/Shutterstock.com

Upór Erdoğana okazał się skuteczny, gdy mimo presji ze strony świata Turcja powstrzymywała się de facto od walki z Państwem Islamskim, przez długi czas ostro zapowiadając, iż na swoim pograniczu nie dopuści do stworzenia państwowości kurdyjskiej i wcześniej czy później siłą utworzy tam własną „strefę buforową". Cierpliwość przydała się Erdoğanowi, gdy przez kilka lat musiał wyczekiwać na sytuację, która pozwoliłaby mu szerokim frontem wkroczyć zbrojnie do Syrii, bez narażenia się na starcie z Amerykanami – kluczowym sojusznikiem, który na terytorium Turcji trzyma swoje gotowe do użycia bomby atomowe. W końcu bezwzględność Erdoğana okazała się po raz kolejny źródłem jego politycznej siły, gdy nie przejmując się ani kurdyjskimi ofiarami cywilnymi, ani terrorem uprawianym przez sprzymierzone z Turkami bojówki islamskie, potrafił piętnującej go Europie odpowiedzieć: „Hej, Unio Europejska, opanuj się! Jeśli nazywacie naszą operację w Syrii inwazją, to zaraz otworzymy bramy i wyślemy wam trzy i pół miliona uchodźców".



JAN ROKITA

ATAK NA ROŻAWĘ

Wszystko odbyło się nagle i szybko, choć tylko dla pobieżnych obserwatorów Bliskiego Wschodu mogło być niespodzianką. 5 października Erdoğan publicznie przypomniał, iż Turcja nadal planuje operację utworzenia 30-km strefy w Syrii, wzdłuż granicy obu krajów. Dwa dni później – 7 października Donald Trump oznajmił, iż właśnie wykonywany jest jego rozkaz, wydany przecież jeszcze 19 grudnia 2018 r., wycofania armii USA z Rożawy, czyli kurdyjskich kantonów położonych na pograniczu syryjsko-tureckim. (Nawiasem mówiąc, wygląda na to, że Amerykanie zostają poza obszarem Rożawy, blokując m.in. przejście graniczne

eprasa.pl 5322f2ded0

At Tanf na szlaku komunikacyjnym łączącym Damaszek z Teheranem). Jeszcze tego samego dnia rozpoczął się turecki atak na Rożawę. Trwał tylko tydzień, gdyż 17 października Erdoğan, po naleganiach wizytującego Ankarę wiceprezydenta Mike'a Pence'a, ogłosił zawieszenie broni, dając Kurdom pięć dni na wycofanie się z Rożawy. Ale jeszcze przed zawieszeniem broni Kurdowie, pozbawieni z dnia na dzień wsparcia armii USA, dogadali się z Baszarem al-Asadem, krwawym damasceńskim tyranem i pupilem Kremla, w efekcie czego już 13 października do Rożawy wkroczyły „sojusznicze" syryjskie oddziały rządowe, a wraz z nimi Rosjanie. Nad Rożawą pojawiły się więc jednocześnie tureckie F-16 atakujące Kurdów i wkraczającą armię syryjską oraz rosyjskie SU-35 bombardujące kontrolowane przez Turków antyasadowskie bojówki islamskie. W rejonie starożytnego miasta Manbidż doszło do krótkich rosyjsko-tureckich starć w powietrzu.

Wobec nowej sytuacji grożącej konfliktem rosyjsko-tureckim (a więc de facto wojną NATO z Rosją), po kilku rozmowach telefonicznych z rosyjskim prezydentem, 22 października Erdoğan poleciał do Soczi na spotkanie z Władimirem Putinem. Przez kilka wcześniejszych dni rosyjskie oświadczenia na temat tureckiej inwazji były wyjątkowo niejednoznaczne. Raz Kreml (ustami Ławrientiewa, doradcy Putina do spraw syryjskich) twierdził, że jest ona „niedopuszczalna", a za chwilę szef rosyjskiej dyplomacji Ławrow postulował współdziałanie Moskwy i Ankary w duchu zawartej jeszcze w 1998 r. rosyjsko-tureckiej umowy o respektowaniu przez Kreml interesów tureckich na terytorium Syrii (tzw. umowa z 1998 r. z Adany, nawiasem mówiąc – miasta wspomnianego w Iliadzie przez Homera). W Soczi Putin zdecydował się w końcu dać Erdoğanowi zgodę na okupację strefy przygranicznej w Syrii, wynegocjowując jeszcze dla Kurdów dodatkowe sześć dni na ich wycofanie z tego obszaru. Dla Putina nie była to zapewne decyzja politycznie komfortowa, oznaczała bowiem rezygnację z celu przywrócenia Asadowi władzy nad całą Syrią. Ale trudno się rosyjskiemu przywódcy dziwić, skoro jedyną alternatywą, jaką miał do dyspozycji, było rozognienie już faktycznie rozpoczętego konfliktu zbrojnego z armią turecką w Rożawie.

Tymczasem Kurdowie nie czekali na upływ terminu nowego ultimatum, jakie zostało im postawione w Soczi. Działając zresztą na wskroś racjonalnie, gotowi byli już od pierwszego dnia inwazji na negocjacje z Turkami oraz daleko idące ustępstwa. Pisał o tym otwarcie Trump w sławnym liście do Erdoğana, przekazanym już 9 października i opublikowanym z premedytacją przez Biały Dom parę dni później. To ten sam list, w którego ostatnim akapicie Trump pisał do tureckiego przywódcy słynne słowa: „Don't be a tough gay. Don't be a fool" („Nie zgrywaj twardziela. Nie bądź durniem"). I groził mu „destrukcją tureckiej gospodarki", jeśli turecka operacja przekształci się w krwawą łaźnię. Ponieważ Erdoğan, mimo nacisku Trumpa, odmówił rozmów z Kurdami, ci roztropnie postanowili się zastosować już do pięciodniowego terminu, jaki prezydent Turcji dał im 17 października, pod naciskiem Pence'a. 22 października telewizja Fox jako pierwsza doniosła, iż kurdyjskie dowództwo zawiadomiło Amerykanów o zakończeniu wycofywania z terenu proklamowanej przez Turcję „strefy bezpieczeństwa", Departament Stanu przekazał zaś tę informację Erdoğanowi. Turecka reakcja była pełna zadowolenia: „To w takim razie nie ma już potrzeby wznawiania naszej operacji". Trwającym kilka dni małym wysiłkiem wojskowym Ankara osiągnęła wszystko to, co w Syrii od dawna osiągnąć chciała. Otwarta siedmiodniowa wojna się skończyła, a na terytorium Syrii powstała w jej efekcie całkowicie nowa polityczna konfiguracja.

> Choć polityczny los Kurdów jest deprymujący, głoszona przez wielu analityków teza o wielkiej porażce Ameryki i Zachodu, jaka się właśnie teraz miała dokonać w Syrii, jest ewidentnie fałszywa

KURDYJSKA UTOPIA

W sensie politycznej hegemonii kraj został podzielony pomiędzy Rosję i Turcję, które trwale ustanowiły w nim własne strefy wpływów. Za sprawą stanowiska Trumpa zmieniła się wyraźnie polityczna afiliacja syryjskich Kurdów. Dotychczas byli oni głównym narzędziem walki ze zbrodniczym Państwem Islamskim, w nagrodę za co mogli pod amerykańską opieką budować na terytorium północno-wschodniej Syrii swoje nieco utopijne, socjalistyczne państwo, w którym miały istnieć wolność religii i ateizmu, wyzwolenie kobiet i władza samorządów skonfederowanych w trzech kantonach. Ta utopia miała być tworzona w otoczeniu szalejących islamistycznych fanatyzmów oraz imperialnych ambicji Moskwy, Teheranu i Ankary, wyłącznie dzięki opiece wdzięcznej za pomoc armii amerykańskiej. Dla każdego musiało być jasne, że takie utopie się w ogóle nie spełniają, a już szczególnie w takim dymiącym kotle, jakim od lat jest Syria. Bez wątpienia Ameryka zdradziła syryjskich Kurdów, wydając ich quasi-państwowość w Rożawie na łup bezwzględnego Erdoğana. Ale wcześniej czy później to i tak stać się musiało. Trudno przecież wyobrazić sobie, aby jakakolwiek forma państwowości mogła utrzymać się à la longue jedynie dzięki obcej armii, bez której z dnia na dzień traciłaby wszelką polityczną zdolność dalszego istnienia.

Dla Erdoğana lewicowi Kurdowie z Rożawy są obsesyjnym i śmiertelnym wrogiem, przez samo swoje istnienie na tureckim pograniczu. Stanowią bowiem nie tylko wyzwanie dla tureckiej państwowości jako naród (podobnie jak my w XIX w.) podzieleni między trzech zaborców. Ale co pewnie dla bieżącej polityki nawet ważniejsze – jako

eprasa.pl 5322f2ded0

wyznawcy siedzącego w tureckim więzieniu lewicowca i radykała Abdullaha Öcalana, są przede wszystkim wyzwaniem dla islamistycznej tożsamości religijno-politycznej, jaką „nowy sułtan" z Ankary próbuje zaprowadzić w Turcji. A do tego dochodzą jeszcze akcje terrorystyczne, jakie od lat prowadzą przeciw Turcji lewicowi radykałowie kurdyjscy, w odwecie za pacyfikacje kurdyjskich wiosek przez turecką armię. To właśnie lewicowy terroryzm kurdyjski jest dziś naczelnym argumentem Erdoğana przeciw kurdyjskiej państwowości w Rożawie, argumentem, który w świecie politycznym znajduje dość szeroką akceptację. To bardzo charakterystyczne, że nawet kraje Unii Europejskiej, choć werbalnie potępiają Turcję za użycie w Rożawie militarnej przemocy, zawsze dodają już w drugim zdaniu, że akceptują turecki interes bezpieczeństwa na terytorium Syrii. W sierpniu 2019 r. także NATO wyraziło swoją akceptację dla tureckiego planu ustanowienia w Syrii własnej „strefy bezpieczeństwa". Teraz to samo z konieczności zrobił Putin w Soczi.

Teraz Kurdowie zmuszeni są „afiliować się" przy Baszarze al-Asadzie, który z ich perspektywy ma tę niewątpliwą zaletę, iż tak jak oni jest lewicowcem, nieskłonnym do prześladowań na tle religijnym. Zresztą w czasie gdy wspólnie z Amerykanami bili się z Państwem Islamskim, zawsze byli również dla sił USA swego rodzaju politycznym „buforem" wobec Asada. Z rządem i armią syryjską utrzymywali stałe kontakty, dogadywali się co do delimitacji wojsk i prowadzili także handel z Syrią, a nawet otrzymywali czasem od niej pomoc zaopatrzeniową. Łatwość i tempo, w jakim udało im się zawrzeć teraz układ z Damaszkiem, potwierdza tylko, iż były to relacje utrzymywane od dawna. Trudno się zresztą temu dziwić, skoro co najmniej od pół roku oficjalnie znali plan Trumpa militarnego wycofania się w Syrii i przekazania Turcji zadania „wprowadzania w Syrii porządku z terrorystami" (jak napisał swego czasu Trump na Twitterze). Oczywiście inna była pozycja Kurdów, gdy zajmowali niemal całą Rożawę, a za plecami mieli wsparcie lotnictwa USA. A inna dziś, kiedy wygnani ze znacznej części swych terytoriów (zarówno tych zdobytych na Państwie Islamskim, jak i swoich rdzennie kurdyjskich) są zależni od dobrej woli swego nowego sojusznika z Damaszku. A to de facto znaczy – od polityki rosyjskiej.

UPORZĄDKOWANIE FRONTÓW

Chyba najbardziej kontrowersyjna jest natomiast kwestia, czy i na ile Ameryka popełniła błąd, opuszczając Rożawę i wydając Kurdów na łup Erdoğana. Jedno jest pewne: Trump tą decyzją pogorszył swoją pozycję wewnętrzną w Ameryce, narażając się na krytykę czołowych republikańskich polityków, którzy „zdradę Kurdów" uznali za przejaw słabości prezydenckiej polityki. Przewodniczący Senatu Mitch McConnell, kluczowy dla Trumpa sojusznik w jego obronie przed impeachmentem, uznał, że decyzja prezydenta „leży wyłącznie w interesie Rosji, Iranu i Asada". Z obiektywnej perspektywy to oczywiście nieprawda: prawdziwym beneficjentem decyzji Trumpa jest Turcja, a przede wszystkim personalnie Erdoğan, którego siła i respekt wzrosły teraz niepomiernie. Z kolei inny czołowy republikanin, senator Lindsey Graham uznał decyzję prezydenta za „smutną i niebezpieczną". Republikanie byliby skłonni bronić amerykańskiej obecności w Syrii i pilnowania tam globalnych interesów USA i ich sojuszników. Trump nie od dziś twierdzi coś całkiem odmiennego. Że Ameryka nie ma już czego szukać w Syrii, którą jeszcze za prezydentury Obamy odzyskali Asad i Rosjanie, a także że trzeba tam wpuścić Turków, którzy z jednej strony są sojusznikiem z NATO, a z drugiej – ich interesy zmuszą ich do politycznej konfrontacji z ekspansją rosyjską. To samo zresztą twierdził już dawno najtwardszy bodaj imperialista amerykański John Bolton (w świetnym wywiadzie dla „Octavian Report"), zdymisjonowany teraz przez Trumpa za „nadmiar imperializmu".

> W sensie politycznej hegemonii Syria została podzielona pomiędzy Rosję i Turcję, które ustanowiły w niej własne strefy wpływów

W każdym razie choć polityczny los Kurdów jest deprymujący, głoszona przez wielu analityków (zwłaszcza wrogich wobec Trumpa, choć nie tylko) teza o wielkiej porażce Ameryki i Zachodu, jaka się właśnie teraz miała dokonać w Syrii, jest ewidentnie fałszywa. Efekt obecnej postawy Ameryki to swego rodzaju „uporządkowanie frontów" w konflikcie syryjskim. Owszem, opieka USA nad syryjskimi Kurdami mogła wynikać ze względów moralnych i humanitarnych. W końcu, jak podaje ONZ, co najmniej 100 tys. ludzi musiało uciekać teraz ze swych domów w Rożawie. Ale jeśli na rzecz spojrzeć z perspektywy polityki realnej, to jest najzupełniej jasne, że uparty, cierpliwy i bezwzględny Erdoğan, którego kraj ma rozległą granicę z Syrią, będzie bardziej kłopotliwym dla Moskwy i Damaszku partnerem do dzielenia się wpływami w Syrii, niźli Ameryka, z nieliczną grupą swoich lotników i komandosów operujących w Rożawie. Skupianie przez najbliższe lata całej politycznej energii USA na Bliskim Wschodzie na powstrzymywaniu sojuszniczej Turcji przed otwartą wojskową interwencją w Syrii musiałoby zakrawać na jakiś strategiczny absurd. Trump zrobił co prawda krok ryzykowny, także dla losów własnej prezydentury. Ale z pewnością tym krokiem uśmierzył narastający na tle Rożawy rozłam między Waszyngtonem i Ankarą, coraz groźniejszy dla całości i siły NATO. Turcja, wraz ze swoimi imperialnymi aspiracjami, stała się jednoznacznie (rzecz by można) „plenipotentem" zachodniego sojuszu w konflikcie syryjskim. Erdoğan jest świadom, że tylko sojuszowi z Ameryką i wsparciu Trumpa zawdzięcza tak łatwe osiągnięcie swoich celów w Syrii.

eprasa.pl 5322f2ded0

Jest jeszcze co naprawiać



Ani w tym, ani w przyszłym roku nic się nie zawali w polskiej gospodarce ani finansach, choć opozycja jeszcze bardziej będzie przeszkadzać, by Polska ponownie nie odniosła sukcesu gospodarczego, który niektórzy niemieccy politycy i eksperci nazywają małym cudem gospodarczym nad Wisłą



JANUSZ SZEWCZAK

Choć Międzynarodowy Fundusz Walutowy obniżył prognozę wzrostu światowej gospodarki do wyjątkowo niskiego poziomu ok. 3 proc., czyli czasów kryzysu gospodarczego z 2008 r., to jednak dla Polski prognozę wzrostu PKB podwyższył z 3,8 proc. do 4 proc., choć obecnie jest to nawet 4,3 proc. Niestety musiała się wygłupić kolejna agencja ratingowa, jak to już się wcześniej zdarzało. Tym razem była to agencja Moody's, która stwierdziła, że „polityka gospodarcza PiS będzie negatywna dla profilu kredytowego naszego kraju", a to według owych ekonomicznych mądrali miałoby być rzekomo spowodowane: kontynuacją zmian w sądownictwie, podwyższeniem płacy minimalnej, wypłaceniem 13. i 14. emerytury. Czyli według Moody's negatywny skutek gospodarczy (obniżenie konkurencyjności Polski) miałyby przynieść: podtrzymanie czy wręcz ponowne nakręcenie koniunktury, konsumpcji oraz sprzedaży detalicznej. Prowadzi to do absurdalnych wniosków, że nędznie opłacany pracownik i skandalicznie niskie emerytury to gwarancja prawdziwej konkurencyjności. I tak rzeczywiście było, ale za rządów PO-PSL. Na dowód stabilności naszej gospodarki i finansów złoty ani drgnął, nie tylko po wyborach, lecz również po kontrowersyjnej ocenie Moody's, polskie obligacje skarbu państwa biją zaś kolejne rekordy opłacalności. Warto pamiętać, że nasz wzrost gospodarczy w przeważającej mierze nadal opiera się na wysokiej konsumpcji, ale także na doskonale funkcjonującym eksporcie, a obecnie również na rozpoczynających się dużych inwestycjach infrastrukturalnych – CPK, budowie stu obwodnic, dróg szybkiego ruchu, dróg lokalnych (6 mld zł), kilkudziesięciu mostów, rekonstrukcji linii kolejowych czy wreszcie przekopie Mierzei Wiślanej.

Najbardziej martwią się stanem polskiej gospodarki i finansów niemieckie media w Polsce, dziennikarze „GW", TVN24 i coraz bardziej śmieszny prof. Leszek Balcerowicz, który już dawno oderwał się od rzeczywistości gospodarczej i który dziś na temat stanu polskiej gospodarki i finansów opowiada tak katastroficzne bajki, że bardziej to żenuje, niż przestrasza. Różni medialni celebryci od ekonomii związani z totalną opozycją już załamują ręce nad tym, jak bardzo dotknie nas spowolnienie gospodarcze w Niemczech i krajach strefy euro i co będzie z deficytem sektora finansów publicznych w Polsce w latach 2023–2024, choć to dość odległa perspektywa. Włos im się jeży na głowie, że bezrobocie jest najniższe od 30 lat i wynosi 5,1 proc., że zaplanowano zrównoważony budżet na 2020 r., że 80 mld zł trafiło już w ramach programów społecznych do polskich rodzin, że uzyskano blisko 100 mld zł więcej wpływów podatkowych, odbierając je mafiom VAT-owskim. A z drugiej strony, że polski rząd nie chce wydawać publicznych pieniędzy na tzw. uchodźców, na propagowanie ideologii LGBT czy gender.

Jednak twarde dane mówią same za siebie. Choć w całej strefie euro popyt na nowe samochody spada, to w Polsce rośnie o mniej więcej 2 proc., po dziewięciu miesiącach tego roku to już ponad 410 tys. nowo zarejestrowanych aut, a we wrześniu wzrost ten sięgnął blisko 30 proc. Świetnie sprzedają się obligacje indeksowane skarbu państwa

Fot. Shutterstock

66/0919/F

eprasa.pl 5322f2ded0

dla indywidualnych klientów i z pewnością pobity zostanie rekord ubiegłorocznej sprzedaży (12,7 mld zł), dużym strumieniem płynie również do Polski inwestycyjny kapitał zagraniczny na rynek nieruchomości komercyjnych. Można się spodziewać na koniec tego roku wpływów z VAT na rekordowym poziomie ok. 200 mld zł. Czarne wizje opozycji wieszczącej zapaść polskiej gospodarki i finansów to raczej marzenia malkontentów.

Nie tyle więc globalne spowolnienie będzie spędzać sen z powiek rządowych ekspertów, ile raczej naprawa polskiego systemu służby zdrowia. I nie o same dosypanie kolejnych 60 mld zł (obecnie to już 102 mld zł) tu chodzi. Nie mniej ważne jest uszczelnienie tego systemu, jego usprawnienie o wystarczające kadry medyczne, o nowoczesne zarządzanie. Wyzwaniem jest również nowy wymiar finansowy polityki klimatycznej i energetycznej w UE i płynących z tej strony nacisków kompletnie nieliczących się z naszymi możliwościami, bo jest rzeczą nierealną, by z roku na rok znaleźć na ten cel ok. 200 mld zł. Można jeszcze wiele zrobić w sferze konsolidacji, lepszego nadzoru, synergii pomiędzy działaniami wielkich spółek skarbu państwa, które po zlikwidowaniu cztery lata temu Ministerstwa Skarbu Państwa stały się po części udzielnymi księstwami i zostały podporządkowane resortowym strategiom.

Niewątpliwie należy wzmocnić realną władzę premiera i wicepremierów nad sektorem gospodarczym, by nasze „srebra rodowe" nie tyle z sobą rywalizowały o wpływy i pieniądze, ile umiejętnie współpracowały, a nawet łączyły się w silniejsze struktury biznesowe, tak jak czyni to dziś perspektywicznie i sensownie PKN Orlen i Lotos. Tu również opozycja jest bardzo aktywna i przedstawiciele PO stają na głowie, by nie dopuścić do tej koniecznej wręcz fuzji polskich firm na rynku petrochemicznym. Rosnące zamówienia zakupowe w polskich zakładach zbrojeniowych (PGZ) w kwocie ok. 7 mld zł to dopiero początek korzystnych działań ze strony MON, ale i tu przydałyby się wielkie działania modernizacyjne i restrukturyzacyjne. Musimy rozpocząć realne procesy inwestycyjne w ramach tzw. ponownego uprzemysłowienia, choćby poprzez budowę fabryk leków i farmaceutyków, bo leki to produkt strategiczny. Znacząco przyspieszyć trzeba budowę Polskiego Holdingu Spożywczego z licznymi przetwórniami, zamrażalniami, suszarniami czy ubojniami, tak by zysków producentów rolnych, nie tylko tych z Polski, lecz również tych z Ukrainy, którzy wkrótce staną się groźnym konkurentem dla polskiej żywności i surowców rolniczych, nie przechwytywały zagraniczne koncerny, tak jak to się dzieje obecnie.

Niewątpliwie nowa stara ekipa rządowa będzie miała jeszcze przed sobą wiele wyzwań gospodarczych i finansowych, bo wiele jeszcze zostało do naprawy w polskim państwie. Te wyzwania trzeba będzie podjąć, bo Polacy oczekują dalszej poprawy warunków życia.

REKLAMA



eprasa.pl 5322f2ded0



Optymistycznie, ale bez fajerwerków po wyroku TSUE w sprawie frankowiczów

Wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), choć korzystny dla konsumentów, nie wywoła żadnych automatycznych skutków prawnych. Tak jak dotychczas osoby uznające, że ich umowy kredytowe zawierają postanowienia abuzywne, będą musiały skierować sprawę do sądu, a te zbadają każdą ze spraw w sposób indywidualny

3 października tego roku TSUE ogłosił wyrok w wyczekiwanej przez bardzo liczną rzeszę polskich kredytobiorców sprawie państwa Dziubaków przeciwko Raiffeisen Bank International AG. Wydanie orzeczenia nastąpiło w tzw. trybie prejudycjalnym, czyli na skutek pytań zadanych przez Sąd Okręgowy w Warszawie rozpoznający tę sprawę z powództwa ww. kredytobiorców. Zapadłe orzeczenie może mieć istotny wpływ na sytuację kredytobiorców, którzy zawarli z bankami umowy kredytowe indeksowane do franka szwajcarskiego (CHF), ale nie wywoła dla nich automatycznych skutków prawnych.

CZY RADOŚĆ NIE JEST PRZEDWCZESNA?

Tuż po ogłoszeniu wyroku w domach frankowiczów – jak przyjęto określać grupę setek tysięcy osób, które zaciągnęły kredyty związane ze szwajcarską walutą – oraz w przestrzeni publicznej pojawiło się wiele komentarzy i opinii, tłumaczących przyszłe konsekwencje ogłoszenia przez TSUE ww. wyroku. Stopień skomplikowania sprawy i brak jasnego przekazu mógł jednak wprowadzić potencjalnych kredytobiorców zainteresowanych złożeniem pozwu przeciwko bankom w zakłopotanie. Zaczęły padać pytania – czy to już czas na pozwanie banku, w którym wzięliśmy kredyt, czy nasza umowa zawiera wady pozwalające na skuteczną walkę z bankiem? Jaką właściwie zawarłem/zawarłam umowę – indeksowaną, denominowaną, a może walutową?

Podkreślić trzeba, że wyrok TSUE, choć korzystny dla konsumentów, nie wywoła żadnych automatycznych skutków prawnych. Tak jak dotychczas osoby uznające, że ich umowy kredytowe za wierają postanowienia abuzywne, będą musiały skierować sprawę do sądu, a te będą badały każdą ze spraw w sposób indywidualny. Na takim stanowisku stoi także Kancelaria Prezydenta RP w opublikowanym niedawno komunikacie.

Zdaniem zastępcy rzecznika finansowego Pawła Zagaja tzw. przeciętny frankowicz może mieć problemy z samodzielnym dokonaniem oceny zawartej przez siebie umowy z bankiem, rozważeniem wszystkim możliwości działania, skutków prawnych czy też aspektów ekonomicznych. Podobne stanowisko prezentuje Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Z takim stanowiskiem trudno się nie zgodzić.

Frankowicze nie powinni liczyć także na ewentualną możliwość zawarcia ugód z bankami. Pomimo, jak się wydaje, korzystnego dla kredytobiorców rozstrzygnięcia przed TSUE, banki nie zamierzają zmieniać swojego dotychczasowego stanowiska względem fran-

eprasa.pl 5322f2ded0

kowiczów. Tak przynajmniej wynika z licznych komentarzy, jakie wygłaszają publicznie w ostatnich dniach przedstawiciele sektora bankowego.

W takich okolicznościach jedynym sposobem dochodzenia swoich praw, pozostaje skierowanie sprawy na drogę postępowania sądowego.

CO STWIERDZIŁ TSUE W WYROKU?

Trybunał wskazał, m.in. że:

1. prawo unijne nie stoi na przeszkodzie temu, aby sąd krajowy, po stwierdzeniu nieuczciwego charakteru niektórych warunków umowy kredytu indeksowanego do waluty obcej i oprocentowanego według stopy procentowej bezpośrednio powiązanej ze stopą międzybankową danej waluty, przyjął zgodnie z prawem krajowym, że ta umowa nie może nadal obowiązywać bez takich warunków z tego powodu, że ich usunięcie spowodowałoby zmianę charakteru głównego przedmiotu umowy,
2. skutki dla konsumenta wynikające z unieważnienia całości umowy należy oceniać w świetle okoliczności istniejących lub możliwych do przewidzenia w chwili zaistnienia sporu, zaś dla samej oceny decydująca jest wola wyrażona przez konsumenta w tym względzie,
3. prawo unijne stoi na przeszkodzie wypełnieniu luk w umowie, spowodowanych usunięciem z niej nieuczciwych warunków, które się w niej znajdowały, wyłącznie na podstawie przepisów krajowych o charakterze ogólnym, w szczególności na zasadzie słuszności.

CO WYNIKA Z ORZECZENIA TRYBUNAŁU

Z komentowanego orzeczenia jasno wynika, że sąd orzekający w danej sprawie nie będzie mógł zastąpić postanowienia uznanego za abuzywne przepisami krajowymi z zakresu prawa cywilnego. Jeżeli rozpoznający sprawę sąd polski uzna, że mechanizm przewalutowania lub przeliczania zadłużenia kredytu zawarty w umowie jest sprzeczny z prawem (a więc stanowi tzw. klauzulę abuzywną – postanowienie niedozwolone), to nie będzie mógł go zastąpić innym mechanizmem, np. indeksowaniem według średniego kursu NBP. W konsekwencji, w braku indeksacji do franka, kredyt stanie się formalnie kredytem złotowym. Tak więc, jeśli sąd umowy nie unieważni, to zaciągnięty kredyt z braku mechanizmu indeksacji do CHF de facto stanie się kredytem złotowym, oprocentowanym wskaźnikiem LIBOR (oprocentowanie dla waluty szwajcarskiej na rynku międzybankowym). Oznacza to, że sąd krajowy będzie rozstrzygał, czy umowa kredytu po wyłączeniu „mechanizmu indeksacji" jest zgodna z prawem polskim i możliwa do utrzymania. Jeśli nie, to prowadzić to będzie do jej unieważnienia. Jeśli umowa zostanie uznana za nieważną, to wypłacone przez bank środki staną się świadczeniem nienależnym i bank może żądać ich zwrotu. Kwestia, od jakiej daty oraz czy nie może dochodzić tu do przedawnienia tego roszczenia banku, jest osobnym zagadnieniem. Osobnym zagadnieniem, które nie bez racji podnoszą banki, jest ewentualne roszczenie banku wobec kredytobiorcy o zapłatę wynagrodzenia za korzystanie z kapitału, który podlega zwrotowi w związku z unieważnieniem umowy.

Ponadto TSUE uznał, że jeśli usunięcie z umów kredytowych klauzul niezgodnych z prawem zmieni „charakter i główny ich przedmiot" (tzw. essentialia negotii) – po usunięciu klauzuli abuzywnej z umowy, w ocenie sądu, nie będzie możliwości jej dalszego wykonywania – prawo unijne nie stoi na przeszkodzie, by takie umowy unieważnić. Warunkiem wydania takiego rozstrzygnięcia jest uzyskanie zgody kredytobiorcy. Skutek eliminacji klauzuli abuzywnej zawsze musi bowiem uwzględniać interes konsumenta.

KTO NA TYM SKORZYSTA

Wszystko zależy od rodzaju umowy kredytowej, jaką zawarł konsument. Kredyty frankowe możemy podzielić zasadniczo na dwie grupy: kredyty indeksowane i denominowane.

Kredyty denominowane to takie, których wartość wyrażona jest w oparciu o kurs kupna CHF z tabeli banku z dnia wypłaty kwoty kredytu (wypłata kredytu następuje w złotych). Spłata kredytu następuje w złotych i stanowi równowartość wysokości raty w obcej walucie. W wyniku uznania przez sąd, iż tego typu umowa zawiera postanowienia niedozwolone wpływające na sposób określenia wartości świadczenia głównego umowy (czyli wysokości zaciągniętego przez konsumenta zobowiązania), istnieją podstawy do twierdzenia, że umowa taka zostanie uznana za nieważną.

Kredyty indeksowane to te, gdzie wysokość świadczenia głównego wskazana jest w treści umowy w złotówkach, natomiast ostateczna kwota kapitału do spłaty przez kredytobiorcę zostaje ustalona według kursu wymiany złotych na walutę obcą. Raty kredytu określane są w walucie obcej, ale spłata następuje w złotówkach, po kursie obowiązującym w banku w dniu spłaty. W wypadku tego typu umów istnieje możliwość dokonania ich tzw. odfrankowienia (poprzez usunięcie niedozwolonych postanowień indeksacyjnych, jeśli takowe znajdują się w umowie, i utrzymaniem pozostałej części umowy w mocy) lub uznania całej umowy za nieważną.

W praktyce spotyka się także (choć stosunkowo rzadko) kredyty walutowe wyrażone w CHF. Tu zarówno wartość kredytu, jak i kwota jego spłaty wyrażona jest w CHF. W umowach takich nie występują zazwyczaj mechanizmy waloryzacji i indeksacji do CHF. Kredyty walutowe (w tym również te wyrażone we frankach szwajcarskich) nie były przedmiotem badania TSUE w komentowanym wyroku.

CZY WARTO WALCZYĆ?

Wyrok TSUE z całą pewnością stanie się ważnym orężem w sądowej walce o prawa frankowiczów w sądach w Polsce. Jego sposób oddziaływania na konkretne postępowanie będzie jednak zależał od wielu czynników, w tym przede wszystkim rodzaju i treści umowy kredytowej, która będzie badana przez sąd w każdej indywidualnej sprawie.

adw. Konrad Godlewski
adw. Robert Małecki
wspólnik kancelarii adwokackiej
Małecki Pluta Dorywalski
i Wspólnicy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 5322f2ded0

Hit tygodnia

Walkman Sony NW-ZX507

Firma Sony ogłosiła wprowadzenie nowego odtwarzacza walkman NW-ZX507, który umożliwia odtwarzanie muzyki z wielu źródeł. Nowy model jest wyposażony w platformę Android i łącze Wi-Fi. Pozwala słuchać nagrań z serwisów streamingowych lub pobierać je do pamięci odtwarzacza – bez pogorszenia wysokiej jakości dźwięku. Odtwarzacz NW-ZX507 to źródło dźwięku o bardzo wysokiej jakości. Do jej uzyskania przyczyniają się m.in. symetryczne łącze o średnicy 4,4 mm, obsługa formatu DSD (11,2 MHz) bez konwersji, odtwarzanie dźwięku PCM 384 kHz/32 bity i wzmacniacz S-master HX. Dzięki technologii DSEE HX wcześniejsze nagrania brzmią niemal tak, jak muzyka o wysokiej rozdzielczości, a procesor DSEE HX działa nawet przy słuchaniu muzyki z serwisów streamingowych. Odtwarzacz NW-ZX507 umożliwia ponadto bezprzewodową transmisję dźwięku o wysokiej rozdzielczości przy użyciu kodeka LDAC, daje więc pełną swobodę słuchania takich nagrań zgodnie z własnymi preferencjami. Platforma Android i łącze Wi-Fi zapewniają dostęp do milionów utworów, oferowanych zarówno w transmisji strumieniowej, jak i do pobrania za pośrednictwem aplikacji muzycznych zainstalowanych w odtwarzaczu. Urządzenie można też podłączyć do komputera, aby słuchać nagrań z własnej kolekcji muzycznej. **Zapowiedź**



Plusy i minusy

+ alternatywa dla słuchania muzyki na smartfonie
– jeżeli już, to że nie jest tak wielofunkcyjny jak smartfon



Huawei P30 Pro

Huawei zaprezentował dwie nowe wersje flagowego smartfona Huawei P30 Pro: fioletową Misty Lavender i niebieską Mystic Blue. Nowe wersje kolorystyczne Huawei P30 Pro inspirowane są kolorami natury – Mystic Blue czerpie z barwy morza i odbitego w nim nieba, a Misty Lavender nawiązuje do koloru plaży o zachodzie słońca. Dolna część obudowy telefonu wyróżnia się matową powierzchnią, odporną na pozostające odciski palców, natomiast górna została wykończona na wysoki połysk. Huawei P30 Pro jest pierwszym na rynku smartfonem, który został wyposażony w peryskopowy zoom – umożliwia on wykonywanie zdjęć w niespotykanym dotąd zbliżeniu, przy użyciu 10-krotnego zoomu hybrydowego lub 50-krotnego zoomu cyfrowego. Poczwórny aparat główny, stworzony we współpracy z firmą Leica, wyposażony jest też w superczuły sensor, który umożliwia wykonywanie wysokiej jakości zdjęć nawet w słabych warunkach oświetleniowych. **Premiera**

Razer Blade Stealth 13 GTX



Razer zaprezentował nowy laptop Razer Blade Stealth 13 z kartą graficzną NVIDIA GeForce GTX 1650 – pierwszy na świecie gamingowy ultrabook. Napędzany nowym procesorem Intel dziesiątej generacji Razer Blade Stealth 13 ma cienką obudowę – 15 mm i waży tylko 1,3 kg. Modele Razer Blade Stealth 13 GTX są dostępne w dwóch wariantach: z wyświetlaczem Full HD lub 4K UHD Touch Display. Oba są wyposażone w najnowszy procesor Intel 10th Gen Core i7-1065G7 oraz PCIe SSD o pojemności 512 GB wraz z charakterystycznym dla Razera wielotonacyjnym, matowoczarnym wykończeniem. Razer Blade Stealth 13 będzie też dostępny w stylowej edycji Mercury White, wyposażonej w procesor o większym zasilaniu Intel Core i7-1065G7 25W.

Cena: od około 1,7 tys. euro

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 5322f2ded0

Czy Polska pójdzie śladem Niemiec?



Niemieckie władze już zdecydowały o kierunku rozwoju sieci 5G w swoim kraju. Tamtejsze organy regulacyjne wydały wytyczne dla potencjalnych dostawców technologii 5G, na podstawie których chiński gigant technologiczny Huawei nie zostanie wykluczony z budowy niemieckiej sieci najnowszej generacji. Technologia 5G została już uruchomiona w Wielkiej Brytanii, Finlandii czy właśnie w Niemczech, a zaawansowane prace trwają również w krajach naszego regionu: w Rumunii, na Węgrzech, a nawet w Rosji. W Polsce nadal toczą się prace nad procesami legislacyjnymi do uruchomienia nowej sieci, co może wpłynąć na opóźnienia w rozwoju polskiej gospodarki, a to wydaje się korzystne głównie z perspektywy tego ostatniego kraju – Rosji.

Komisja Europejska zobowiązuje wszystkie kraje członkowskie do tego, aby do 2020 r. wyposażyły chociaż jedno miasto w technologię 5G w wariancie już dostępnym dla użytkowników końcowych. Według Instytutu Staszica spełnienie przez Polskę wymogów Komisji Europejskiej ws. 5G jest zagrożone. Dodatkowo, według ekspertów Instytutu, obecny wzrost gospodarczy Polski jest zbyt wolny, aby zmniejszać dystans do krajów wysokorozwiniętych, a nie może znacząco przyspieszyć, ponieważ w minimalnym stopniu opiera się na wzroście innowacyjności i produktywności technologicznej.

Do tej pory swoje największe obawy dot. cyberbezpieczeństwa wnosiły Stany Zjednoczone, które uniemożliwiły operatorom korzystanie z technologii Huawei, zarzucając jej, że zawierała ona „tylne drzwi" umożliwiające chińskim władzom szpiegowanie. Pomimo obaw związanych z cyberbezpieczeństwem sieci 5G są rozwijane nawet w Rosji – już teraz rosyjscy użytkownicy mogą korzystać z coraz wyższej przepustowości i szybkości przesyłu danych. Polska zostaje w tyle, nie wiadomo też, kiedy ta sytuacja się zmieni – w szybszym wprowadzeniu nowej technologii pomogłyby decyzje polskiego rządu, które byłyby zgodne z wytycznymi europejskimi.

Dokument wydany przez niemiecką Federalną Agencję Sieci ws. wytycznych dot. bezpieczeństwa zawiera wymóg zobowiązujący wszystkich operatorów i dostawców technologii do udowodnienia m.in., że nie będą przekazywać poufnych informacji za granicę. Podobne zapisy znalazły się w dokumencie Komisji Europejskiej oceniającej ryzyko związane z siecią 5G.

Huawei zawsze odrzucał oskarżenia dot. zagrożenia cyberbezpieczeństwa. W oficjalnym oświadczeniu firma oznajmiła, że „upolitycznianie cyberbezpieczeństwa tylko opóźni rozwój technologii i postęp społeczny, bez podejmowania jakichkolwiek działań w tym zakresie, które dotyczą wszystkich krajów".

Według firmy Niemcy promują wysokie i bardziej jednolite standardy bezpieczeństwa dla wszystkich dostawców, gdzie wszyscy będą jednakowo traktowani i zapraszani do udziału w budowie sieci 5G, o ile tylko spełnią wymogi bezpieczeństwa.

„Z zadowoleniem przyjmujemy działania rządu niemieckiego, podjęte w celu zapewnienia równych szans wszystkim dostawcom infrastruktury dla sieci 5G. W pełni konkurencyjny rynek infrastruktury cyfrowej będzie napędzał dalszą digitalizację gospodarki i przemysłu w Niemczech, niosąc z sobą bardziej zaawansowane rozwiązania informatyczne i lepsze usługi dla klientów" – czytamy w oświadczeniu przesłanym przez Huawei.

Chiński gigant ma obecnie największą liczbę patentów na technologię 5G na świecie. Zapis w niemieckich wytycznych niewykluczający żadnego z dostawców technologii daje firmie szansę na objęcie pozycji lidera w rozwoju nowej infrastruktury.

Technologia 5G umożliwi w najbliższym czasie upowszechnienie tzw. internetu rzeczy (IoT), będącego nieodłącznym elementem gospodarki 4.0. Wiąże się ona ze znacznym obniżeniem kosztów przesyłania danych przy ogromnym wzroście ich objętości, pojawieniem się nowych rodzajów mobilnych urządzeń elektronicznych, a także „inteligentnych" czujników reagujących na obecność człowieka i prowadzących z nim interakcję. Sieć 5G ma również wesprzeć przyspieszenie badań nad sztuczną inteligencją (AI).

Patrycja Kostrzewa

9/0919/F
eprasa.pl 5322f2ded0

Hit tygodnia

Luksus z Rosji, którym jeździ sam Putin



Aurus to rosyjska marka luksusowych samochodów, która modelem Aurus Senat zadebiutowała na targach motoryzacyjnych w Moskwie w 2018 r. Sam projekt ruszył w 2013 r. i miał pochłonąć dotychczas z państwowej kasy ok. 200 mln dol. (ano dlatego, że to luksusowa limuzyna samego Władimira Władimirowicza). Jak widać, samo auto nowością nie jest, ale teraz będzie można je kupić legalnie i oficjalnie, ponieważ w Moskwie został otwarty pierwszy salon Aurusa. Aby stać się posiadaczem tej limuzyny i poczuć się jak sam władca Rosji, wystarczy ok. 18 mln rubli, czyli lekko licząc, ponad 1 mln zł. Jednak nie wszystkim przypadł do gustu – nomen omen – Aurus. Zastrzeżenia co do pojawienia nowej marki na rynku europejskim mają: Toyota, która ma model Auris, Lamborghini – model Urus i Michelin – produkujący opony Taurus.

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Od początku nowego roku wchodzą w życie zmienione przepisy dotyczące przerejestrowania i wyrejestrowania aut. Najważniejsza jest zmiana terminu do 30 dni obowiązku rejestracji lub wyrejestrowania pojazdu. Za niedotrzymanie terminu grozi kara do 1 tys. zł (będzie ją nakładał starosta, pieniądze zaś trafią do powiatowego budżetu). Karane będą także firmy, nie tylko osoby.

4 września zadebiutował Porsche Taycan, ale już wcześniej wiedzieliśmy, jak sobie daje radę. Zwłaszcza na torze w Nürburgringu – właśnie pobił rekord czasem przejazdu – 7 minut i 42 sekundy. Warto dodać, że to pojazd elektryczny. Czyli jednak nie takie wolne te elektryki?

Najczarniejszy z czarnych – tak można powiedzieć o BMW X6 Vantablack. Dlaczego? Otóż pokryty jest tak doskonałą czarną farbą (Vantablack VBx2 – technologia nanorurek wykorzystywana w przemyśle kosmicznym), że odbija światło w prawie w 100 proc. (dokładnie 99,965). Jaki



jest tego efekt? Pomalowany tak samochód staje się dla ludzkiego oka... dwuwymiarowy. BMW X6 Vantablack został pokazany na IAA we Frankfurcie (10–22 września).

Jeszcze jedna informacja dotycząca Porsche. Tym razem mowa o zainwestowaniu przez niemieckiego producenta w izraelski start-up TriEye. Pracuje on nad kamerą, która będzie pomagać samochodom wykrywać przeszkody podczas złej widoczności. Technologia znajdzie zastosowanie przede wszystkim w pojazdach autonomicznych.

Smutna wiadomość dla wszystkich fanów programu „Pogromcy mitów". Jessi Combs zginęła w wypadku samochodowym, próbując pobić rekord prędkości, swój własny w dodatku. Była zawodowym kierowcą, osobowością telewizyjną, nazywano ją „najszybszą kobietą czterech kółek". Miała 39 lat.

Jeszcze w tym roku na rynek trafi pierwszy polski samochód elektryczny Elimen E-VN1. Dawno temu pisaliśmy o nim, ale dla przypomnienia: samochód przeznaczony jest głównie do logistyki ostatniej mili. Premiera samochodu odbyła się 5 czerwca 2018 r. podczas II Międzynarodowego Forum Energetyka i Środowisko. Łatwość konfiguracji wersji zabudowy nadwozia w zależności od biznesowych potrzeb odbiorcy, bardzo duży – do 300 km – zasięg na jednym ładowaniu oraz niezwykle niski koszt przejechania 100 km sprawiają, że E-VN jest idealnym wyborem zarówno dla miejskich spółek komunalnych, jak i firm kurierskich lub branży gastronomicznej. Jest oferowany w trzech wersjach nadwozia: zabudowanej, pick-up i przeznaczonej do indywidualnej zabudowy.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl 5322f2ded0

Debata o logistycznej strategii

Na Uniwersytecie Gdańskim odbędzie się w tym roku jubileuszowa, 20. edycja konferencji naukowej „Modelowanie systemów i procesów logistycznych”

Konferencje od 2000 r. organizuje Katedra Logistyki Wydziału Ekonomicznego gdańskiej uczelni w swojej siedzibie w Sopocie. Celem dwudniowego grudniowego spotkania będzie prezentacja i omawianie w gronie naukowców i praktyków zarówno światowych, jak i krajowych kierunków rozwoju wsparcia logistycznego procesów społeczno-gospodarczych w skali makro i mikro. Interesująco zapowiadają się też prezentacje logistycznych metod i narzędzi zwiększania efektywności działalności usługowej, handlowej oraz produkcyjnej. Głównym profilem tematycznym konferencji od jej pierwszej edycji są ponadto zagadnienia związane z modelowaniem systemów wsparcia logistycznego, jako nieodzownych podsystemów każdej celowej działalności ludzkiej, za pomocą różnorodnych metod i narzędzi modelowania: od modeli opisowych po sformalizowane modele matematyczne i informatyczne.

Partnerem gospodarczym tegorocznej konferencji będzie PKP Cargo SA. W jej trakcie odbędzie się debata „Praktyka i nauka w rozwoju krajowego operatora logistycznego PKP Cargo SA w Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju”, której celem będzie m.in. zidentyfikowanie barier logistycznych w krajowej gospodarce i w rozwoju współpracy międzynarodowej. Te bariery są jednymi z zasadniczych czynników ograniczających rozwój społeczno-gospodarczy Polski. W trakcie dyskusji dojdzie do próby zdefiniowanie zadań operatora logistycznego w modelach obsługi logistycznej 3PL i 4PL oraz nakreślenia wizji i koncepcji narodowego operatora logistycznego, którego twórcą i liderem ma zostać PKP Cargo. Uczestnicy debaty będą również dyskutować o potencjalnych korzyściach ekonomicznych i społecznych oraz zagrożeniach związanych z realizacją przez PKP Cargo projektu narodowego operatora logistycznego.

– W przestrzeni publicznej już od dłuższego czasu obecny jest temat zdefiniowania i wdrożenia narodowej strategii logistycznej, którą nasz kraj będzie mógł realizować przy pomocy narodowego operatora logistycznego. Liczymy, że podczas konferencji naukowej w Sopocie poznamy koncepcje i pomysły naukowców oraz praktyków na zrealizowanie tego zadania. Sopocka szkoła logistyczna ma dokonania i renomę w kraju i za granicą, więc tym bardziej cenne będą dla nas opinie wygłaszane podczas tego spotkania – mówi Czesław Warsewicz, prezes PKP Cargo. – Wszystkim nam zależy na jednym: rozwoju gospodarczym i społecznym Polski, podnoszeniu konkurencyjności naszego kraju w świecie, ale nie dokonamy tego bez dobrze funkcjonującej logistyki – dodaje Warsewicz.

Sopocka konferencja logistyczna już na trwałe wpisała się w kalendarz naukowych wydarzeń z obszaru logistyki w Polsce. Nad Bałtyk przyjeżdżają naukowcy z różnych ośrodków akademickich krajowych i zagranicznych, przedsiębiorcy, parlamentarzyści, przedstawiciele rządu, samorządowcy. Co ważne, w trakcie konferencji przedstawiane są najnowsze trendy i rozwiązania technologiczne, jakie są teraz lub mogą być w przyszłości stosowane w logistyce.



50/1019/F

eprasa.pl 5322f2ded0





Aronia, dereń, pigwa. Nie znacie? Spróbujcie, a pokochacie

Ta wielka trójka powinna się znaleźć w każdym szanującym się zimowym kredensie. Trzeba na te owoce czasem zapolować, ale to najbardziej opłacalne łowy i całkowicie nieszkodliwe dla otoczenia

Fot. archiwum autorki

To nie są popularne u nas owocowe krzewy, choć w dawnej Polsce były uprawiane w przypałacowych ogrodach, a później także w miejskich parkach. Zwłaszcza dereń był traktowany jak roślina ozdobna. Aronię sadzono sporadycznie w lasach.

PIGWA LEPSZA NIŻ CYTRYNA

Moja ulubienica. Zapach wywęszę na kilometr. Posadziłam nawet w moim lasku trzy drzewka, ale zjadły mi je jakieś paskudne robale, zanim zdążyły wydać pierwszy prawdziwy plon, bo kilka pokręconych jabłuszek trudno za takowy uznać. Zdecydowałam się wtedy na pigwowce japońskie – to te mniejsze i twardsze – ale one z kolei potrzebują więcej słońca, a w każdym razie ciepłej pogody wtedy, gdy kwitną i czekają na zapylacze. Ostatnie dwa czy trzy lata były wyjątkowo pechowe, bo pigwowce zakwitły akurat wtedy, gdy złapał wiosenny przymrozek i pszczoły się pochowały. Miałam więc na krzaczkach trzy smętne owocki, twarde jak kamienie, bo była susza, a i mój las nie należy do miłych we współżyciu dla innych roślin, bo sosny wypiją wszystko dokoła.

W tym roku szczęście się do mnie uśmiechnęło, bo pewnego dnia pod firmę podjechał jeden ze współpracowników i krzyknął gromkim głosem, że ma dla nas niespodziankę w bagażniku. Ruszyły się raptem trzy osoby, bo tradycja w narodzie najwyraźniej zamiera. Nie będę z tego powodu rozpaczać, zwłaszcza że dzięki temu dostałam całą siatkę wielkich, dorodnych i wspaniale pachnących pigw. Gdy wiozłam je samochodem do domu, kwiatowa, orzeźwiająca woń wydostała się z bagażnika i zapanowała nad całym autem. Podróż upłynęła mi więc wyjątkowo miło na marzeniach o tym, co zrobię z mojej pigwy: sok dla córci, elegancki miodowy syrop do deserów, oczywiście naleweczkę na zimowe wieczory.

Chociaż daleko jej do twardych jak kamień pigwowców, i tak dała nam solidnie w kość. Każde zajęło się krojeniem owoców na takie przetwory, jakie lubi najbardziej. Ogryzki zalewałam wrzątkiem i parzyłam pyszne herbatki. Może to złudzenie, ale czułam się po nich jak młody bóg i przestało mnie boleć podziębione gardło.



Pokrojone w cieniutkie plasterki owoce zasypałam obficie trzcinowym cukrem. Niemal natychmiast puściły sok, a po kilku dniach spędzonych na słonecznym parapecie słój był pełen złocistego płynu. Został zlany do wyparzonych butelek i zapasteryzowany. Dla pewności zakrętki i gwinty przetarłam, jak zwykle, spirytusem. Owoce przesmażyłam na patelni z miodem faceliowym, połowę doprawiłam odrobiną cynamonu, resztę imbirem i załadowałam do słoików. Na zimowe przeziębienia i chandrę będą jak znalazł. Poprawią nam też humory przy sobotnich śniadaniach, gdy polejemy nimi biały ser, naleśniki czy omlety.

Mąż nastawił nalewkę – początek jest podobny, potem, gdy sok z owoców rozpuści cukier, zalewa się je spirytusem 70-procentowym i odstawia w zaciszne miejsce. Trzeba słojem potrząsać i okazywać mu zainteresowanie, żeby się dobrze przegryzało. W okolicach Wigilii można degustować. My owoce z nalewki mrozimy i dodajemy do pieczonych mięs albo zapiekanych warzyw korzeniowych. Są kwaskowate i nadają piękny różowawy kolor.

CIERPKI DEREŃ

O ile pigwę lub pigwowca ostatnimi czasy znajdziemy na straganach, ba, pewna duża sieć sklepów sprzedawała nawet owoce na sztuki w dziale warzywnym, o tyle derenia raczej nie kupicie. Chyba że w bolestraszyckim arboretum, które ma największą w Polsce kolekcję jadalnych owoców tych wspaniałych krzewów, obowiązkowo sadzonych dawniej w parkach dworskich. Z owoców robiono jedną z najsmaczniejszych nalewek, lekko cierpką, o pięknym rubinowym kolorze.

U nas w rodzinie specjalistką była moja teściowa, która miała swoje dereniowe miejsce w Warszawie, w Ogrodzie Krasińskich. Starsi mieszkańcy znali ten krzew, a właściwie wiekowe drzewo, doskonale. Babuleńki z koszyczkami od święconki ścigały się jesienią i obrywały dokładnie owoce, do których udało im się doskoczyć o lasce. Gdy mogły zapędzić do tych żniw wnuków – wysocy młodzieńcy obskubywali wyższe partie drzewa. Z reszty cieszyły się ptaki. Niestety, po remoncie ogrodu nie odnaleźliśmy starego derenia. Poszedł pod piłę, a wraz z nim skończyła się era babcinej dereniówki. Mamy w barku odrobinę w malutkiej butelczynie i wyciągamy ją od czasu do czasu, żeby nacieszyć oczy tym muzealnym eksponatem. Próbowałam dereń zasadzić w ogródku, ale nawet gdyby się przyjął (a niestety odmówił współpracy), owocami cieszyłoby się kolejne pokolenie, bo to drzewo, podobnie jak śródziemnomorskie oliwki, sadzi dziadek dla wnuków.

Jeśli chcesz skosztować szlachetnej nalewki, musisz dawać ogłoszenia w sieci, rozpuszczać wici pocztą pantoflową albo iść na żebry do działkowców. Mąż był uparty i po kilku tygodniach poszukiwań kupił dereń na bazarku przy Hali Mirowskiej. Warto się poświęcić, bo dereń to niemal lekarstwo. Witaminy C ma jeszcze więcej niż pigwa, poprawia poziom hemoglobiny i żelaza, a więc soczek po łyżeczce można podawać dzieciom z anemią.

Owoce najlepiej zbierać po przymrozkach, ale na to rzadko pozwalają ptaki. Moi znajomi rozkładają pod swoim dereniem stare prześcieradło i strząsają na nie owoce. Generalnie korzystamy z każdej okazji, a gdy już kupimy lub dostaniemy owoce, wkładamy je na dobę do zamrażalnika. Gdy złapią temperaturę pokojową – nakłuwamy każdą śliweczkę, zalewamy litrem spirytusu (porcja na 1 kilogram) i odstawiamy słój na parapet. Oczywiście potrząsamy i codziennie doglądamy. Po miesiącu zlewamy alkohol (smakosze mówią o kilku miesiącach), a owoce zasypujemy kilogramem cukru. Gdy się po kilku dniach rozpuści, syrop mieszamy z dereniowym spirytusem i odstawiamy butelki do sklarowania. Muszą trochę poleżakować, najlepiej nawet pół roku, choć z tym jest zazwyczaj jeszcze większy problem, niż ze znalezieniem samego derenia.

Z owoców można też robić marmolady i dżemy.

ZDROWA ARONIA

Robi się modna, bo jest świetnym krzewem na żywopłoty. Nie dość, że można ją przycinać, to jeszcze szybko się zagęszcza, daje schronienie ptakom, nie przepuszcza złodziei, a na jesieni liście nabierają kolorów niemal tak intensywnych jak sumak octowiec. Na Dolnym Śląsku widziałam takie żywopłoty we wsiach – wyglądały genialnie. Tak mi się spodobały, że postanowiłam zaprosić aronię do ogrodu.

Jej sok jest bardzo cierpki, ale doprawiony miodem i cytryną zimą ratuje nam życie. Aronię mamy własną, hodujemy ją jak małe drzewko przed domem. Jest odporna na wszystko, ale jeśli mamy suszę, owoce są małe i suche. Na szczęście tych na rolniczych bazarkach nie brakuje, więc uzupełniamy bez problemu nasze zbiory.

Aronia należy do superfoods, bo sama niewymagająca, walczy z chorobami cywilizacyjnymi. Regularnie pita poprawia stan naczyń krwionośnych, chroni przed miażdżycą, obniża ciśnienie. Ma mnóstwo antocyjanów, jest doskonałym przeciwutleniaczem. Zapobiega degeneracji plamki żółtej oka, chroni przed zaćmą. Podobnie jak sok z syberyjskiego rokitnika aroniowy można podawać pacjentom onkologicznym, żeby wzmocnić ich w czasie chemioterapii.

Jej jedyną wadą jest to, że nie można jej tak po prostu rwać z krzaczka i podjadać. Nie może konkurować z porzeczkami, agrestem czy truskawkami, bo jest cierpka i ma skórę jak na byku. Zanim się do niej weźmiemy, musimy ją przemrozić. Owoce trzeba posiekać blenderem, a papkę z cukrem (pół kilograma na kilogram owoców) zalać litrem wody i pogotować na wolnym ogniu. Na koniec doprawiamy sokiem cytrynowym, zlewamy na gorąco, przecedzamy, a słoje pasteryzujemy. Cierpki, tępy smak tych owoców można złagodzić listkami wiśni. Oczywiście świetnie nadaje się też na konfitury, galaretki i nalewki.

Anna Monicka

Autopromocja

eprasa.pl 5322f2ded0

Nowe wydanie w kioskach!

wSIECI HISTORII

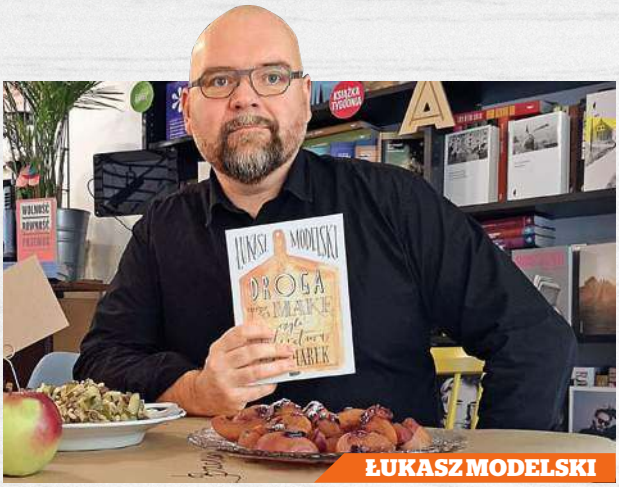
W numerze:

- **WIELKI DA VINCI**
  Nieznany polski ślad w życiu geniusza renesansu
- **ZASZCZUĆ KSIĘDZA**
  Zabójstwo ks. Popiełuszki – śmierć za wolne słowo
- **W CIENIU ŚMIERCI**
  Historia jednej z najstarszych ofiar grudnia'70



www.wSieciHistorii.pl

DOŁĄCZ DO NAS NA FACEBOOKU.
WWW.FACEBOOK.COM/wSIECIHISTORII



ŁUKASZ MODELSKI

W doborowym towarzystwie

Hemingway, Balzac, Wells, Cervantes, Petroniusz, Potocki, Flaubert, Zola... 50 arcydzieł literatury, 50 rozmów, 50 przepisów w książce o przewrotnym tytule „Droga przez mąkę, czyli literatura dla kucharek". Przebogata uczta, choć to ledwie część materiału powstałego z rozmów, które odbywały się na radiowej antenie.

– W książce znalazły się tytuły kanoniczne – opowiada autor. – Najwcześniejsza jest, pochodząca z I w. n.e. „Uczta Trymalchiona", zachowany niemal w całości fragment „Satyryków" przypisywanych Gajuszowi Petroniuszowi. Mówiąc dzisiejszym językiem, to show-off. Oto wzbogacony wyzwoleniec stara się olśnić towarzystwo, wydając wykwintną ucztę, podczas której nie bardzo potrafi się zachować. Bogactwo i potrzeba pokazania się są kanwą opowieści zabawnej, a przy tym szczegółowej w opisie tego, co podano, w jakiej kolejności, w jaki sposób... Część potraw jest do odtworzenia i dziś.

Następny obszar czasowy jest z przeciwnego bieguna, ale chronologicznie następuje zaraz po pierwszym. Historie, które pochodzą z późnej starożytności i wczesnego średniowiecza, są raczej o niejedzeniu. Rozmawiamy o klasztornych normach, jeszcze przed regułą św. Benedykta, który te kwestie uporządkował, ale też zliberalizował.

Niesłychanie ważnym dziełem jest „Żywot św. Marcina z Tours" Sulpicjusza Sewera. Jeden, jak byśmy to dziś powiedzieli, z bestsellerów świata Śródziemnomorza przede wszystkim, choć i średniowiecza w ogóle, który ustami bohatera książki porusza również kwestie związane z jedzeniem.

Wiek XII to czas francuskiego poety Chrétiena de Troyes. Nawiązując do legend arturiańskich i eposów rycerskich, rozmawiamy o pasztecie – daniu godnym rycerza i – w pewnej opozycji – o serze, potrawie wieśniaków. W finale pojawia się hipokrates – napój na trawienie i zgagę, po który w średniowieczu sięgano w bardzo wielu krajach.

Zauważamy wczesne pisarstwo stricte kulinarne – protorenesansu i renesansu we Włoszech i prześlizgujemy się po wieku XVII, robiąc jednak ukłon w stronę Miquela de Cervantesa, który po chwili rezonuje z Janem Potockim i „Rękopisem znalezionym w Saragossie". Okazuje się, że obaj bohaterowie, czyli zarówno Alfons van Worden z powieści Potockiego, jak i Don Kichot, właściwie jedzą to samo. To olla podrida – rodzaj mięsnego bigosu.

Wybuch literatury związanej bardzo ściśle z gastronomią następuje po rewolucji francuskiej, wraz z pojawieniem się restauracji, w których zatrudnienie znajduje wielka liczba bezrobotnych kucharzy. Po przywróceniu łączności między Wielką Brytanią a Francją i po okresie terroru wracają też ci, którzy gotowali dla brytyjskiej arystokracji. Mamy schyłek XVIII w.

Przychodzi wreszcie pora na triumfalny wiek XIX – z Balzakiem, Zolą, Czechowem, Flaubertem... to pochód wielkich powieści, w których jedzenie jest elementem obecnym w sposób oczywisty; zarazem bardzo wyraźnie niosącym funkcję społeczną, co ci pisarze znakomicie widzą, ale też jest okazją do zmysłowego, sensualnego opisu. Czasami multisensorycznego... jak u Zoli, gdy sery w halach paryskich wydają różne dźwięki, „grają", wręcz tworzą orkiestralną muzykę. Wiek XIX pod tym względem jest jedyny w swoim rodzaju. Ale i po nim wiele się w związku literatury i kulinariów dzieje.

Nasze rozmowy prowadzą do przyszłości i jedzenia, którego jeszcze nie ma, ale które może być. Jest rok 802 701. Nawiązaniem do „Wehikułu czasu" H.G. Wellsa domykamy pierwszą część drogi, w którą zapraszam czytelników książki wydanej właśnie przez Znak, ale też słuchaczy audycji „Droga przez mąkę" nadawanej co sobotę o godz. 10 (nagrania dostępne są też w internecie).

***Jolanta** Gajda-Zadworna*

***Łukasz Modelski**, historyk z wykształcenia, dziennikarz z zawodu. W radiowej Dwójce prowadzi literacko-kulinarną „Drogę przez mąkę"*

Dip deep space

Ten dip bardzo elegancko łączy się z tematem, który poruszaliśmy. Jest ciemny jak kosmos, mroczny jak podróż przez niewiadomą, a składa się z czterech łyżeczek konfitur z czarnej porzeczki – proponuję, żeby były jak najbardziej naturalne, bez dosładzaczy, sztucznych dodatków – które mieszamy z czterema łyżeczkami ciemnej bawarskiej słodkiej musztardy. Do tego dodajemy łyżeczkę ciemnego sosu sojowego, obficie sypiemy czarny, świeżo mielony pieprz. Ten dip powinien naprawdę smakować kosmosem. (przepis: Paweł Brylski)

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 5322f2ded0

SŁODKO-SŁONY

Dożynki na pieńku

ANNA MONICKA



Gdy oglądałam w tym roku popisy grzybiarzy na Facebooku, trochę mnie kłuło z zazdrości na widok tych prawdziwków jak stołki, rydzów i kań wielkich jak miednice. W bagażnikach, na gankach domków letniskowych, na blatach kuchennych. W naszym lesie niedaleko starorzecza Bugu aż takiej orgii nie było. Do czasu, gdy wreszcie rzuciły się opieńki.

Lubię je zbierać, bo na efekty nie trzeba długo czekać. Idziesz sobie na krótki spacerek i wracasz z łupami. Gdy znajdziesz dobrze skolonizowany pień, którego przed tobą nikt nie wypatrzył – tniesz jak kosą i zaraz masz pełne wiadro. A grzybki to pyszne. Zawsze wspominam wujka, który wymieniał na nie borowiki. Jego zdaniem żaden prawdziwek nie przebije orzechowego smaku opieniek.

Czemu zawdzięczają nazwę? Lubią rosnąć na butwiejących czy spróchniałych pniach i konarach. Są mocno inwazyjne; a ich rodziny ogromne – nikogo nie dziwią setki przytulonych do siebie kapeluszy z ciemniejszymi wyrostkami, jedne już dorosłe, inne malutkie. Zaczynają rosnąć, gdy inne grzyby kończą. Ich czas to październik i listopad. Tegoroczna pogoda bardzo im sprzyja. Choć las jest już zasłany dywanem kolorowych liści, pod którymi trudno wypatrzyć kapelusze podgrzybków czy koźlaków, opieńki widać, bo są ponad nimi. Najbardziej lubią się dobierać do buków, ale spotkamy je też w lasach sosnowych. Zazwyczaj zdrowe i mało upiaszczone, bo blaszki zasłania błonka, która zanika, gdy grzybek rośnie.

Czyścimy je szczoteczką, moczymy chwilę w osolonej wodzie i wkładamy delikatnie na wrzątek. Korzonki wyrzucamy, przygotowujemy same główki.

Najsmaczniejsze są w marynacie – do słoików bierzemy małe łebki. Większe można panierować jak kanie (i tu ważna informacja – zawsze po uprzednim obgotowaniu) albo obgotować i uszlachetniać nimi smak zupy kartoflanej lub sosów. Przechowują się świetnie w zamrażalniku – spakowane w foliowe woreczki.

Trzeba tylko pamiętać, żeby nie wdychać oparów z garnka – może od tego boleć głowa.

Fot. Archiwum autorki



WILCZYM OKIEM

Skrzetuski, tatarak i Tatarzy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy Jan Skrzetuski przekradał się ze Zbaraża, żeby sprowadzić odsiecz dla oblężonych przez kozacko-tatarską nawałę wojsk Jaremy, był skrajnie wycieńczony z głodu, ran i od gorączki. Chociaż brodził po pas w wodzie – wybrał bowiem drogę przez staw i zarośniętą rzeczkę, żeby umknąć oczu straży, które szczelnym kordonem obstawiły zbaraski okop, cierpiał z pragnienia. Wody stawu były niezdatne do picia z powodu wielkiej ilości trupów.

W czasach dzisiejszych, kiedy wielką popularnością cieszy się „bushcraft", czyli umiejętność przeżycia w dziczy, zdobycia pożywienia, przenocowania itp., opis przeprawy Skrzetuskiego powinien się znaleźć w podręcznikach survivalowych z powodu przydatnych umiejętności, jakich można się nauczyć z lektury tej części Trylogii.

Naprzód, jak podkraść się do opuszczonego ogniska tatarskiego, gdzie zawsze można liczyć na resztki pieczonej baraniny i parę rzep zostawionych w popiele, po wtóre, jak przespać się na suchszej kępie wśród mokradeł i jak zaspokoić pragnienie – to ostatnie, jak wspomniałem, było trudne ze względu na zatrutą wodę. Skrzetuski radził sobie, wysysając łodygi wodnych grążeli. Nie wiem, czy woda wyssana akurat z łodygi grążela rzeczywiście jest oczyszczona; podobno jednak, dla jej zdezynfekowania i aromatyzowania, Tatarzy wrzucali do swoich bukłaków kłącza innej wodnej rośliny, którą później nazwano tatarakiem *Acorus calamus*. W ten też sposób tatarak, który nie jest naszą rodzimą rośliną, miał przybyć do Polski jeszcze w czasach XIII-wiecznych najazdów i stąd zyskał swoją polską nazwę.

Tatarak uważany był dawniej za roślinę leczniczą, podejrzewano też, że ma działanie halucynogenne. Obecnie jednak wskazuje się raczej na działanie potencjalnie toksyczne i odradza jego spożywanie. Historia pojawienia się tataraku w Polsce jest prawdopodobną hipotezą. Wskazuje, jak różnorodne są drogi przemieszczania się roślin i jak dawno temu proces ten się rozpoczął – niekiedy w przeszłości tak zamierzchłej, że przebieg wędrówki rośliny jest niemożliwy do odtworzenia i możemy jedynie na podstawie pośrednich informacji, badań genetycznych itp. próbować go zrekonstruować.

eprasa.pl 5322f2ded0

Wierność odwiecznym zasadom



Alina Czerniakowska

Z racji wykonywanego zawodu spotykam różnych ludzi, cały przekrój społeczny, i coraz bardziej niepokoi mnie obecnie, wręcz przeraża, masowość tzw. cwaniactwa w różnych odmianach, niezależnie od wykształcenia, przynależności do grupy społecznej czy wykonywanego zawodu. „Ja wiem, ja mam rację, ja dawno już mówiłem, co należało zrobić, ja jestem mądrzejszy, co tam ktoś będzie mi mówił, pouczał" – tacy ludzie są niereformowalni, trudno z nimi rozmawiać, cokolwiek wytłumaczyć, zmienić, nawet gdy ich myślenie i czyny są w wyraźnej sprzeczności z prawdą, faktami czy logiką. Oni wiedzą najlepiej, jak powinien być zarządzany kraj, co powinien powiedzieć prezydent, jakie decyzje powinni podejmować premier i ministrowie. „Ja bym zrobił tak" – mówią z cwaniacką miną, z przekonaniem, że są najmądrzejsi i nikt im nie podskoczy.

Takie rozmowy słyszy się wszędzie – na warszawskich podwórkach, pełnych nudzących się emerytów, teraz już warszawiaków pełną gębą, a przecież to są ci, którzy po wojnie zapełnili miejsca po prawdziwych przedwojennych mieszkańcach stolicy, wymordowanych w czasie okupacji i powstania warszawskiego. Resztę wyrzucono jako „relikt zgniłego kapitalizmu – wrogów ludowej Polski". Podobnie stało się na wsi – właścicielom ziemskim zabrano ziemie, młyny, tartaki, a dworakom rozdano cudzą własność. Prawdziwych gospodarzy od pokoleń nazwano „kułakami", zbiedzono i zniszczono ekonomicznie, ostali się tylko ci, co to szybko polubili nową władzę komunistyczną, tak wychowali swoje dzieci i już tak zostali, ze skrzywionym kręgosłupem, brakiem jakichkolwiek zasad wychowania, już nie tylko dobrego. W ten sposób mamy kolejne pokolenia wyrosłe z awansu społecznego: „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera" – ludzi pozbawionych solidnej wiedzy, kultury bycia, leniwych, kombinatorów, przekonanych, że im się należy, bezczelnych cwaniaków, z którymi każdy skromny, grzeczny człowiek po prostu przegrywa.

Często skończyli nawet studia, otrzymali jakieś tytuły naukowe, mające się jednak nijak do ich zachowania i braku nawet podstawowej wiedzy. Człowiek prosty, z zasadami, honorem, wrodzoną delikatnością, kulturą, budzi szacunek, w przeciwieństwie do prostaka cwaniaka. Ten typ jest zawsze taki sam – pod barem z piwem, za kierownicą mercedesa, w luksusowym apartamencie czy w wielkim gabinecie na wysokim stanowisku. Takiemu nie przeszkadza wulgarnie odezwać się publicznie, rzucić papier na ulicy, charknąć. Co to go obchodzi, że w ten sposób niszczy nasz polski wizerunek w oczach obcych.

Jakże często, przechodząc, podnoszę walające się papiery i rzucam do kosza, bo to przecież moja stolica. Zapamiętałam prorocze słowa pięknej duchem i ciałem, przedwojennej damy: „Jeszcze wam ten awans społeczny wyjdzie bokiem" – i niestety miała rację. Dla pokoleń mojego ojca i dziadka nie do pomyślenia było zachowanie się wbrew odwiecznym zasadom opartym na wysokiej osobistej kulturze, takcie, przyzwoitości i skromności, w myśl prostego stwierdzenia „inaczej po prostu nie wypada". To „nie wypada" było silniejsze niż jakiekolwiek zakazy, nakazy, to było w genach, jak „ojców odwieczne pacierze", dzisiaj przez obecne elity zupełnie niepojęte, bo im wulgarniej, głupiej, pokrętniej, tym lepiej i podobno modniej.

Hrabia Marek Raczyński, powstaniec Warszawy, wielki patriota, recytował z pamięci wiersz „Czerwona zaraza" napisany przez jego kolegę z barykad, 23-letniego Józefa Szczepańskiego „Ziutka". W moim filmie o powstaniu warszawskim mówił mocnym, stanowczym głosem, że za ten jeden dzień 1 sierpnia 1944, gdy wyszli walczyć, oddałby całe życie. Po zmianach w 1989 r. przyjechał ze Stanów Zjednoczonych do Polski. Razem z prof. Zbigniewem Brzezińskim miał być doradcą ekonomicznym w nowej III RP, ale po roku wyjechał z powrotem do Ameryki. Na pożegnalnej kolacji powiedział do mnie smutne słowa: „Nie mogę pogodzić się, że ta moja wyśniona Polska tak schamiała. Opuściłem moją Warszawę jako 16-letni chłopak z powstania i całe życie marzyłem o powrocie, a teraz wyjeżdżam".

I wcale nie chodzi o to, by jakoś szczególnie wyróżniać ludzi z herbowych rodzin, bo prawdziwej arystokracji już nie ma, ale więcej wymagać od osób publicznych czy nominowanych na wysokie stanowiska, którzy nadają ton, są wzorem dla innych, szczególnie dla młodszych pokoleń. Często jedynym kryterium wyboru takich, a nie innych osób na najwyższe stanowiska w państwie są znajomości i wzajemne układy, zamiast odpowiedniej osobowości i wysokich umiejętności. To musi ulec zmianie, jeśli chcemy piąć się coraz wyżej jako jednostki i cały naród. Trzeba odszukiwać i dawać szansę wykazania się ludziom skromnym, stojącym dalej, na uboczu, ale mającym dużą wiedzę, niekiedy bardzo zdolnym, a do tego kulturalnym, wiernym świętym zasadom – przede wszystkim posiadającym zasady. Naprawdę tacy ludzie istnieją, i to w wśród młodych, ale nie mają „znajomości"...

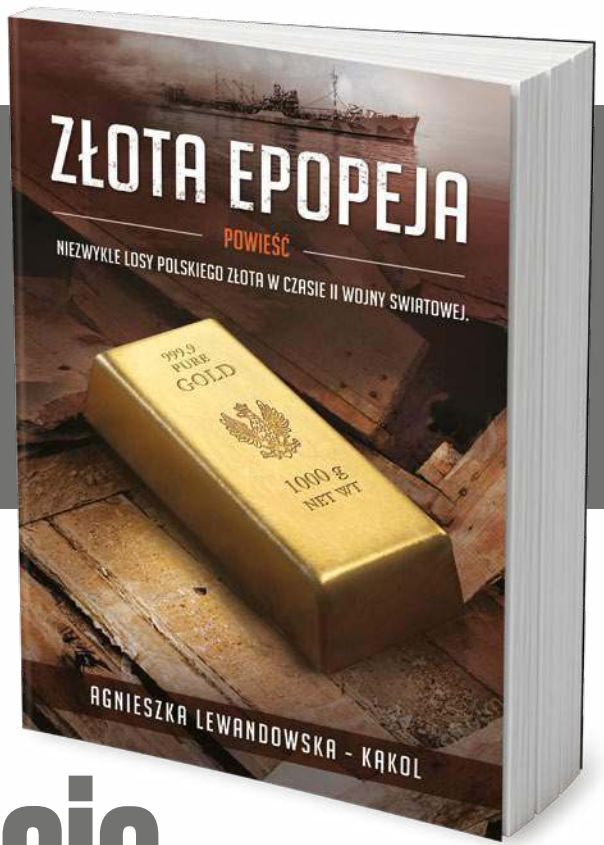
Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

Autopromocja

eprasa.pl 5322f2ded0

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100 książek w prezencie





Zamów roczną prenumeratę pakietu:
tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za 280 zł,
a książkę „Złota epopeja" otrzymasz gratis!

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!

tel. 22 616 15 70 prenumerata@fratria.pl www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Sprawdź dostępność książek na www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata pakiet i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 5322f2ded0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Obrońca ziemi i lasów


www.wojciechreszczynski.pl

Dumne słowa śp. Jana Szyszki o Polsce, w której „cały czas wycinaliśmy lasy, a mamy ich coraz więcej”, muszą być zapamiętane

Pogrzeb śp. Jana Szyszki, zmarłego nagle 9 października 2019 r., zgromadził tłumy. Nie pamiętam, bym widział tak licznie obecne poczty sztandarowe – leśnicy, myśliwi, uczelnie, instytuty, samorządy. Zmarły Jan Szyszko stworzył samym sobą, swoim wielkim autorytetem i wiedzą, imponującą, unikatową instytucję.

Tereny wokół kościoła pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa w Starej Miłośnie, na północ od centrum Warszawy, gdzie odbywały się uroczystości pogrzebowe, szczelnie zapełniły autokary i samochody. Tylko rządowe limuzyny mogły się przedostać w pobliże kościoła, stąd ludzie podążali pieszo, na szczęście w środę 16 października, w dzień pogrzebu profesora, zawitała przepiękna, ciepła, jesienna pogoda. Udało się w końcu dotrzeć w pobliże kościoła, ale tak się dzieje, że gdy służby ochraniają równocześnie prezydenta, premiera, marszałków Sejmu i Senatu oraz innych dostojników państwowych, legitymacja dziennikarska jest nieprzydatna, niczego nie ułatwia. Na szczęście rozstawiono olbrzymie telebimy.

Homilię wygłosił biskup senior diecezji drohiczyńskiej Antoni Pacyfik Dydycz. Obecni byli też arcybiskup Leszek Sławoj-Głódź, bp Edward Frankowski, bp Stanisław Stefanek oraz o. Tadeusz Rydzyk, który o zmarłym powiedział: „Ojczyzna po Bogu była Twoją największą miłością”.

Prezydent Andrzej Duda do słów o zmarłym wybitnym naukowcu i polityku dodał: „Ale przede wszystkim był to życzliwy człowiek, pasjonat przyrody […] z przymrużeniem oka patrzył na ludzi nawiedzonych, którzy go atakowali”. Prezes PiS Jarosław Kaczyński zauważył, że śp. Jan Szyszko „odszedł przedwcześnie, z którym ja i moje środowisko szło razem przez 30 lat […] był kimś o twardych poglądach […] był twardy jak stal”. Żegnali profesora dyrektor generalny Lasów Państwowych Andrzej Konieczny, a w imieniu wychowanków i studentów Paweł Sałek, obecnie doradca prezydenta RP. Przypomniał stworzoną przez prof. Szyszkę Terenową Stację Badawczą w Tucznie, kształcącą studentów i doktorantów. O „prywatnych lasach ministra Szyszki” i o jego „prywatnym biznesie” w Tucznie pisali niechętni profesorowi lewaccy pismacy. Uruchomiona prokuratura w końcu umorzyła śledztwo. Ale za chwilę było nowe zawiadomienie w sprawie wyprawionej skóry rysia, która wisiała na ścianie stacji.

Stacja zajmowała się badaniem populacji dwóch groźnych dla otoczenia leśnego owadów, jakimi są strzygonia choinówka i brudnica mniszka. Od tego czasu Jan Szyszko, członek PAN, specjalista entomolog, będzie kojarzony z owadami, a szczególnie z kornikiem drukarzem, którego niszczycielski wpływ na lasy Puszczy Białowieskiej, wbrew środowiskom pseudoobrońców przyrody, chciał za wszelką cenę powstrzymać.

Niestety, w tych dniach dowiadujemy się, że kornik, który zniszczył już 25 proc. puszczy, pojawił się na Podlasiu. Monika Strus-Wolos, właścicielka lasu na Podlasiu, pisze na Facebooku, że całe Podlasie stanęło na krawędzi największej katastrofy lasów, może nawet w historii” i dodaje: „Bo kiedyś nie było durnych ekologów, a ludzie robili po prostu racjonalne cięcia sanitarne”. Właśnie przed taką katastrofą przestrzegał śp. Jan Szyszko także urzędników z Komisji Europejskiej gotowej nakładać sankcje finansowe za jedynie słuszną obronę i ochronę puszczy, jaką winna być wycinka zarażonych drzew. Bo kornik niszczy drzewa, ale pozbawia także inne gatunki naturalnych siedzib. Bez lasu zamiera życie.

Dziś już wiemy, że pseudoekolodzy, szczególnie ci z Greenpeace, nie kierują się dobrem przyrody, ale ideologią i polityką, za którą kryje się chęć przedstawienia polskiego konserwatywnego rządu w niekorzystnym świetle. Dlatego organizacja ta oraz Komisja Europejska nie reagowały, gdy wycinano zarażone kornikiem drzewa w Bawarii. No cóż, podwójne standardy to już norma w Unii Europejskiej.

Dumne słowa śp. Jana Szyszki o Polsce, w której „cały czas wycinaliśmy lasy, a mamy ich coraz więcej, rąbaliśmy to drewno, służyło człowiekowi, a mamy go coraz więcej”, muszą być zapamiętane. To Jego testament, który musimy wykonać wbrew wszelkim przeciwnościom, po to, aby słowa te były zawsze aktualne. Tak też profesor tłumaczył, czym jest „zrównoważony rozwój”. To nic innego, jak „korzystanie z zasobów przyrodniczych dla dobra człowieka z równoczesnym, racjonalnym użytkowaniem tych zasobów i przestrzeganiem praw człowieka”.

Chciałoby się jeszcze przypomnieć piękne mowy na grobem śp. Jana Szyszki. Ale na zakończenie niechże wybrzmią słowa z jednego z transparentów niesionych przez zwykłych ludzi: „Dziękujemy panie profesorze Janie Szyszko, obrońco polskiej ziemi i lasów”.

eprasa.pl 5322f2ded0

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Platforma Okupacji trwa



Witold Gadowski

Po klęskach powstań polska świadomość rozdarła się na dwoje. Z jednej strony byli ci, którzy trwali w romantycznych przeświadczeniach o konieczności oporu, wierzyli, że Polska przetrwa tylko wtedy, gdy Polacy nie dadzą się mentalnie zniewolić, i ci złamani, sprzedani, skruszeni. Jednak kolejne zrywy prowadziły do systematycznego mordowania elity wolnych Polaków. Po 1939 r. działacze niepodległościowi mordowani byli solidarnie przez Niemców i Sowietów. Siłą rzeczy rosła grupa tych, którzy zwątpili w możliwość istnienia polskiej niepodległości. Oni właśnie – rodzimi zdrajcy i kapitulanci – zostali podlani naporem nawożonych do naszego kraju sprzedawczyków i obcych, których osiedlano na górze drabiny społecznej. Obcy byli premiowani, niepodlegli spychani w nędzę, wygnanie i niziny życia. Tak trwało do 1989 r.

Cóż zatem zżymać się na to, że po „okrągłym stole niewolników układających się z nadzorcami" powstała niepełnosprawna mutacja państwa. Obciążona elitami wywiedzionymi z kolonialnej PRL Polska nie radziła sobie z pomysłem na własne istnienie. Kompradorzy bowiem uznali, że wystarczy przywrócić stare symbole i naród jakoś to zaakceptuje. Niepodlegli byli nieświadomi, pozbawieni elit, przemawiali bardziej czuciem niż rozsądkiem. Bardzo wiele czasu minęło, zanim miliony Polaków znów mogły zrzucić ze świadomości przeświadczenie o nieuchronności obcej dominacji. Obcy urządzili się znakomicie na szczytach władzy i dominowali przez prawie cały okres funkcjonowania Republiki Okrągłego Stołu, dla niepoznaki nazwanej III RP. Narzucano nam świadomościowe okowy. Stworzono półniewolniczą kulturę, publicystykę i polityczne byty. Właściwie do dziś trudno znaleźć partię czy większe środowisko polityczne, które nie byłyby skażone kompleksem wobec postkolonialnej – z czasem ewoluującej w stronę kosmopolityczną i międzynarodówkową – „Gazety Wyborczej" i jej środowiska. Postawa niepodległa była wyszydzona i zepchnięta na margines tego, co w Polsce nowoczesne i pożądane. III RP dbała o to, aby nie powstała niepodległościowa elita polityczna i ideowa.

Dziś najważniejsze pytanie brzmi: ile w PiS jest już dojrzałej myśli niepodległościowej, a ile jeszcze Platformy Okupacji? Gdy widzę, jak były oficer PO, niejaki Gut-Mostowy, wprowadzany jest przez Gowina do rządzenia, zaczynam nad tym smętnie rozmyślać. Czy dzisiejsza elita władzy jest już toczona pasożytniczą chorobą osmozy zdrady i umysłowego szmelcu?

Ratowanie i zabijanie



Lech Makowiecki

Jesteśmy coraz słabsi, coraz mniej odporni na alergeny, bakterie, wirusy, na wzrastające zatrucie środowiska. W sukurs cherlawemu społeczeństwu przychodzi współczesna medycyna, ratująca tych, którzy jeszcze kilkanaście lat temu nie mieliby szans na przeżycie. Zdarza się, że astronomiczne koszty leczenia nietypowych schorzeń przekraczają możliwości finansowe pacjentów i ich rodzin. Często zdesperowani rodzice w internecie lub mediach szukają funduszy na operację czy rehabilitację chorego dziecka. Jeśli uda im się zaistnieć w telewizji, poruszyć sumienia wielu darczyńców – mają szansę zebrać brakujące kilkaset tysięcy lub więcej złotych bezcennego (bo na wagę życia) kapitału. Ostatnio cała Polska kibicowała sześcioletniemu Filipowi, który rządowym samolotem poleciał do Bostonu (USA) na skomplikowaną operację serca.

Kolejną cywilizacyjną przypadłością są problemy wielu małżeństw z naturalnym zajściem w ciążę. Sprawa jest na tyle poważna, że refundacja zabiegu in vitro stawiana jest dziś przez niektóre polityczne ugrupowania jako obietnica wyborcza! Mimo ryzyka powikłań i realnego zagrożenia „dzieci z probówki" dziedziczeniem wad wrodzonych (jak również znacznego dyskomfortu tego zabiegu dla kobiety) coraz więcej par decyduje się na sztuczne zapłodnienie. Podziwiam determinację rodziców poświęcających cały swój czas i majątek dla idei posiadania dzieci lub ratowania ich zdrowia.

Tymczasem lewackie środowiska wysuwają kategoryczne żądania ustawowej aborcji na życzenie. Dla zwolenników powszechności skrobanek ludzki embrion to tylko nic nieznaczący „zlepek komórek", w niektórych stanach USA istnieje możliwość usunięcia płodu aż do dziewiątego miesiąca! Gdy medycyna dokonuje dziś prawdziwych cudów, by ocalić przed śmiercią anemicznych „słabeuszy", często w tych samych szpitalach masowo usuwa się zarodki bez żadnych wad (czyli potencjalnie mogących wzmocnić każdą populację). Dokąd zdąża ten świat?

eprasa.pl 5322f2ded0

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

R.I.P.



Aleksander Nalaskowski

Za kilka dni pójdziemy na cmentarze i zapalimy ten zupełnie niezrozumiały symbol życia – ogień. Postoimy przy grobach bliskich, zmówimy modlitwę, porozmawiamy z rodziną. Pamiętam, jak kilka lat temu przyjechał do mnie profesor z Anglii. Jest u nas taki zwyczaj, że gdy tylko są warunki, to się gościowi nie pozwala nocować w hotelu, ale zaprasza się do domu. Jesteśmy wszak ciekawi, jak żyją inni. Sam również z tego korzystałem niejednokrotnie. W Meksyku mój gospodarz, specjalnie z mojego powodu, najął dodatkową pokojówkę. A gdy sobie sam wyprasowałem koszulę, to mnie zrugał, bo miałem to zlecić tej starej Indiance.

Zatem przyjechał ów profesor z Anglii i tak się złożyło, że trafił na 1 listopada. Zabrałem go na cmentarz, a wieczorem obwiozłem po toruńskich nekropoliach spowitych łuną świateł emitowanych przez znicze. Na przemian bladł, uśmiechał się, zasępiał, coś bąkał pod nosem. Przeżywał chyba szok i chociażby dla tych reakcji warto mu było to wszystko pokazać. Nie mógł uwierzyć, że w kraju, w którym przez niemal pięć dekad panował ateizujący komunizm (a o komunizmie wiedział wiele i miał jak najgorsze zdanie), ludzie mogli przenieść taką tradycję, religijność i pamięć. Najwyraźniej blask zniczy go oślepił, a może nawet olśnił. Bo każdy ze zniczy był położony ludzką ręką, a było ich chyba milion. Dwa dni później, w trakcie wykładu dla doktorantów, nie potrafił o swoim doświadczeniu milczeć. Stwierdził, że może i nauka jest w jego wizycie ważna, ale to, co zobaczył, zabierze jako najważniejsze doświadczenie. Powiedział, że na cmentarzach zobaczył nie tylko szacunek i pamięć dla zmarłych, ale też umiłowanie ojczyzny. Było to dlań coś naprawdę niesamowitego i kompletnie zaskakującego. Byłem wtedy dumny z mojego kraju, moich rodaków, z naszej historii i pamięci. Wiele lat później napisał do mnie maila, czy mógłby przyjechać do mnie z małżonką, aby i jej pokazać 1 listopada w Polsce, bo tego opowiedzieć się nie da. Było to w czerwcu. Oczywiście z radością zaprosiłem, zaoferowałem kilkudniową gościnę (bo dom spory) i transport z i na lotnisko. We wrześniu dostałem wiadomość, że zmarł na zawał. I tak sobie myślę, że gdybym nie miał tu zobowiązań wobec swoich bliskich zmarłych, tobym bodaj wsiadł w samolot i gdzieś tam na londyńskim cmentarzu zapalił mu mnóstwo zniczy. Za to, że nazwał mi coś ważnego, że pokazał, że Polska może zadziwiać nawet brytyjskiego intelektualistę, że mamy skarby, których sami nie doceniamy i na co dzień nie widzimy.

Chodząc po podlaskich, zwłaszcza wiejskich, cmentarzach, widzę coraz więcej szczególnych, bo pustych grobów

Chodząc po podlaskich, zwłaszcza wiejskich, cmentarzach, widzę coraz więcej szczególnych, bo pustych grobów. Pięknie wypolerowane marmury albo gładkie lastryko i dość osobliwa tablica informująca, że tu spoczywa ktoś taki a taki, urodzony – tutaj data, zmarł i... brak daty. Ludzie stawiają sobie nagrobki za życia! A niekiedy w Dzień Zaduszny zapalają na nich znicz. Sami sobie? Takich grobów naprawdę tam przybywa. Na moim Pomorzu jest ich bardzo, bardzo niewiele. To rzadkość, a tam niemal powszechność. Dlaczego to robią? Często dlatego, że nie mają pewności, czy zostaną godnie pochowani. Dzieci zrobiły karierę w miastach, ziemia sprzedana, samotność jest tak powszechna, jak szyby w oknach. Czy ktoś mnie pochowa jak należy, czy przeznaczonych na nagrobek pieniędzy nie roztrwoni, czy nie zapomni? Za tymi pustymi grobami czają się ludzkie dylematy, niekiedy desperacja, a pewnie czasem i próżność – bo pomnik musi być przepiękny, wielki i taki, aby zadziwiał sąsiadów.

Najdziwniejszy cmentarz zobaczyłem w Goniądzu, a zatem też na Podlasiu. Tam większość nagrobków jest do siebie podobna. Jakby sękate krzyże odlane z betonu. A ich zagęszczenie daje niesamowity widok, jakby leżącej fasady Sagrada Familia z Barcelony. Taki horyzontalny, podlaski Gaudi. Czasami nagrobki mają jakąś opowieść. Na jednym z nich widać głębinę morską i czyhającego w niej diabła. Nie umiem powiedzieć, co to oznacza. Raczej nie jest to grób topielca, bo wzmianki o tragicznej śmierci nie ma, a człowiek tam pochowany dożył sędziwego wieku. Dlaczego więc morze i diabeł? Księdza na plebanii nie zastałem, a zatem nie mógł się stać moim informatorem. Wyjechałem więc stamtąd z tajemnicą w głowie. Może czasem trzeba mieć takie sprawy, których się nie rozumie?

Wyjątkowy jest też cmentarz w Wasilkowie koło Białegostoku i jego starsza część. Nagrobki są niekiedy monumentalne, kolumnowe, niezwykle obszerne, kamienne, betonowe marmurowe, ale gabarytowo niespotykane. Niektóre przypominają ruiny budowli antycznych, inne kolumnady, obeliski.

Ale i tak najważniejsza na każdym cmentarzu jest ludzka pamięć, wiara w Zmartwychwstanie i miliony indywidualnych, niepowtarzalnych historii. Niech wszyscy spoczywają w pokoju, oczekując na Paruzję.

73/1019/F

eprasa.pl 5322f2ded0

PRZEZ ŚWIETLIK

Jesień średniowiecza



Wiktor Świetlik

Właśnie obejrzałem w telewizji, jak kilku nowych posłów jest pytanych o to, ilu owych posłów w sumie ma Sejm. Nie wiedzieli, ale obiecywali, że się nauczą. Szkoda, że reporter nie poszedł dalej i nie zapytał np., czy w obecnym parlamencie będzie zasiadać więcej posłów niż w poprzednim czy mniej. Inna sprawa, że odpowiedź na to pytanie byłaby trudna, gdyż indagowani posłowie czym prędzej uciekali przed wścibskimi jegomościami z kamerą i mikrofonem. Obraz ten nastręczył mi pewną trudność.

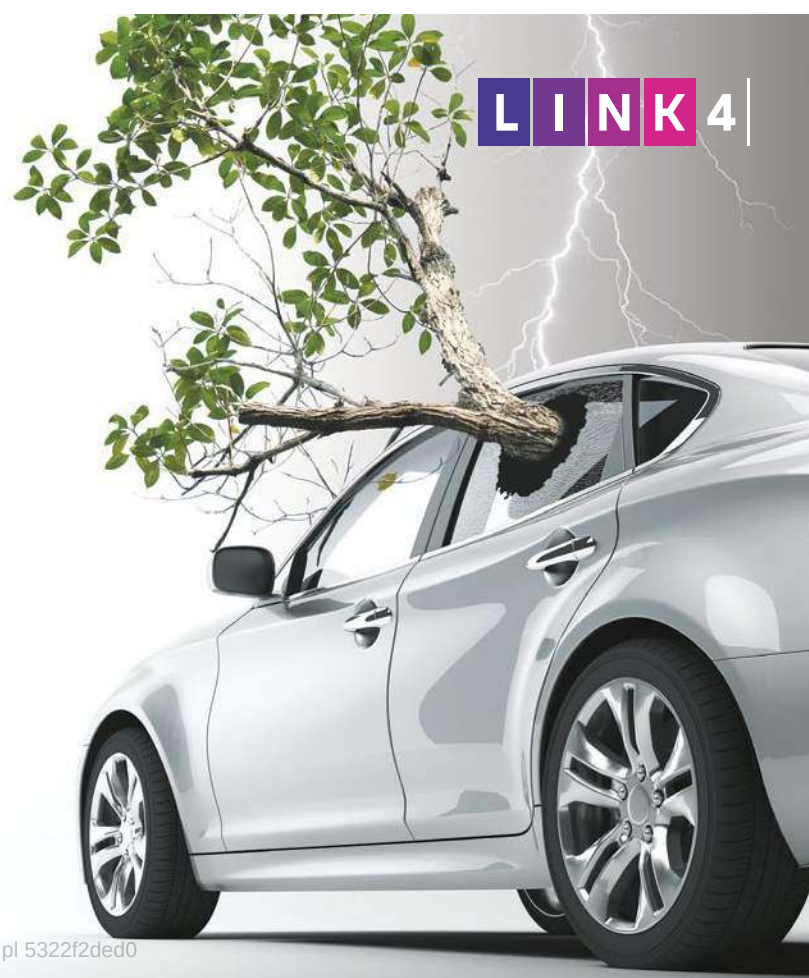
Miało być o historii. O tym, że Robert Biedroń i jego akolici znowu coś gadają o średniowieczu, myśląc, że wówczas panował jakiś obyczajowy terror. A badania jasno pokazują, że życie większości społeczeństw, czyli przede wszystkim kmieci, było spokojne, tolerancyjne i nikt im się do łóżek nie wtrącał, jak dziś mają to ochotę robić sponsorowani przez Brukselę aktywiści od Biedronia.

Ale co tu pisać o średniowieczu, jego jesieni, tym z Johana Huizingi czy „Pulp Fiction" – obojętne, jeśli mamy do czynienia z zawodnikami, którzy nie wiedzą, ilu jest posłów. Oznacza to, że nie oglądali nawet powyborczych symulacji dotyczących tego, kto gdzie będzie siedział i czy będą w opozycji czy w koalicji, bo cóż oznacza, że PiS zajmie 235 miejsc w Sejmie, skoro nie wiadomo, do czego to odnieść?

Zresztą taka interpretacja jest najlepsza dla nowych posłów, choćby Darii Gosek-Popiołek z Razem. Wedle gorszej dla nich, owe infografiki oglądali, ale działają na nich już tylko kolorki zajmujące półtorcik parlamentarny, bo liczby są zbyt abstrakcyjne. Albo w ogóle nic z tego nie zrozumieli. Strach pomyśleć, jak dotarli na Wiejską, szczególnie w czasach gdy trzeba połączyć numerek na bilecie lotniczym czy PKP z konkretnym siedziskiem wewnątrz pojazdu. Naprawdę wymuszanie na nowych posłach wiedzy o tym, czym jest Konwent Seniorów (Konrad Berkowicz z Konfederacji odparł na to: „Nie jestem biurokratą"), to szaleństwo. Podobnie jak polecanie „Historii społecznej i gospodarczej średniowiecza" Robertowi Biedroniowi. Na razie trzeba tabliczkę mnożenia, „czerwone stój – zielone idź", kwadratowy klocek do kwadratowej dziurki, a okrągły do okrągłej. Z pobieraniem diet sami sobie pewnie poradzą.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

Gdy drzewami wicher miota,
kup Smart Casco na wypadek wgniota
już od 199 zł rocznie!
Sprawdź
22 444 44 44
www.link4.pl lub zapytaj agenta



SMART CASCO od 199 zł dot. wariantu „Szkoda całkowita, Kradzież i Żywioły". Ubezpieczenie dostępne tylko w pakiecie z OC. Cena zależna od wariantu ubezpieczenia i wartości pojazdu. Szczegóły sprawdź na www.link4.pl

REKLAMA

eprasa.pl 5322f2ded0



Zatrzymać lokowanie wrogich idei

Dzisiaj wróg staje się tak nachalnie wszechobecny, że przestaliśmy go dostrzegać

JAN POSPIESZALSKI

Akcje typu „tęczowy piątek" to zaledwie drobny element potężnego zjawiska. Wojna o duszę młodego pokolenia, a więc o kształt naszej przyszłości, toczy się z całą zaciekłością na wielu frontach, a my trwamy w uśpieniu, nie wiedząc, jak zareagować.

Nie korzystamy z obserwacji krajów Zachodu, gdzie idee feministyczno-gejowskie przepoczwarzały się w wojujący genderyzm. Wprawdzie proces, jak radykalne subkultury stają się obowiązującą doktryną polityczną, analizuje część konserwatywnych publicystów, kilku naukowców i jeden instytut prawniczy, ale z opisem zagrożenia nie pojawia się refleksja: co należy robić. Nieliczni potrafili dostrzec obezwładniającą siłę operacji na języku, która sprawia, że tym, którzy nawet chcą się przeciwstawić, wytrącono narzędzia opisu. Nie wyciągamy też wniosków z niedawnej (i łatwej do obserwacji, bo skondensowanej w czasie) operacji cywilizacyjnego demontażu, jaki nastąpił w ostatnich dwóch dekadach w Hiszpanii, Irlandii i na Malcie. Dziś normalsi, wszyscy my, którym zależy na trwaniu łacińskiej cywilizacji, robimy wrażenie, jakbyśmy się dopiero obudzili. Wprawdzie próbujemy tu i tam stawiać opór, budować front obrony, łatać tamę w miejscach, gdzie agresor robi wyłom, ale są to działania reaktywne – zazwyczaj spóźnione.

Dopiero od niedawna głośno się mówi, że rozproszone (wyglądające często niewinnie) poszczególne inicjatywy i akcje to zorganizowana groźna ofensywa. Przeciwnik jest trudny do nazwania – jakiś nieuchwytny. I nie dlatego, że go nie widać – wręcz przeciwnie. Dzisiaj wróg staje się tak nachalnie wszechobecny, że przestaliśmy go dostrzegać. Możemy go spotkać w teatrze, w rolu nazwisk tylówek seriali, wśród nagrodzonych Oscarami, w zespole scenarzystów hitów kinowych, wśród kuratorów wystaw, autorów bestselerów i noblistek. Zagnieździł się w telewizjach, zaludnia fundacje, NGO-sy i stowarzyszenia. Opanował wiele katedr na uniwersytetach, a po liście Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich, zapowiadającym sankcje za krytykę subkultury LGBT, wiemy, że tam ma już większość. Jest w wielkich kancelariach prawniczych, ma sporą część specjalnej kasty sędziów. Rozpycha się w instytucjach państwa. I nie mówię tu np. o obecnym Rzeczniku Praw Obywatelskich, zachowującym się jak zwolennik subkultur wynaturzeń. Mam na myśli osoby ulokowane w ważnych miejscach ministerstw, np. edukacji i zdrowia. Nie zajmują głównych stanowisk. Szefowie resortów przecież przychodzą i odchodzą, a oni trwają, redagując rozporządzenia, programy i dzieląc środki.

Gdy w 2004 r. zaczynaliśmy z naszą redakcją przygodę w telewizji publicznej, widziałem nieśmiałe próby środowisk homoseksualnych, aby zaistnieć, pokazać się, zakomunikować: „Jesteśmy przecież tacy sami jak wy". O związkach partnerskich, tym bardziej o małżeństwach, nie było mowy, a o adopcji dzieci nikomu się nawet nie śniło. Dziś po 15 latach widzimy zmianę postaw społecznych. Badania CBOS z 2017 r. pokazują, że na pytanie o prawo zawierania związków partnerskich osób tej samej płci 36 proc. Polaków odpowiada „tak" i „raczej tak", a 30 proc. popiera jednopłciowe „małżeństwa". W obu kwestiach nastąpił wzrost odpowiedzi pozytywnych o 10 proc. w ciągu zaledwie sześciu lat. Nie dzieje się to samo z siebie. Ten walec jedzie – sprawnie wyposażony w fundusze, wsparty sztabem akademików, afirmowany kulturą masową. Media mają obowiązek informować odbiorców o lokowaniu produktu. To jedna z form reklamy. Ale nikt nas nie ostrzega, że filmy, seriale, programy śniadaniowe i rozrywkowe nachalnie lokują idee LGBT – reklamując de facto nurt wrogi polskim wartościom konstytucyjnym. Wrogi małżeństwu, rodzinie, konsensowi społecznemu.

Telewizja publiczna w lokowaniu ideologii LGBT ma także spory udział. Jeżeli w przypadku marek i produktów można było wprowadzić regulacje, dlaczego tu jest wolnoamerykanka? Decydenci, przynajmniej w mediach publicznych (a na te media prorodzinna władza ma przecież wpływ), powinni najpierw zdać sobie z tego sprawę, a potem wyciągnąć wnioski.

„Tęczowy piątek" przy zarazie, jaka sączy się codziennie z ekranów, to tylko szczegół.

eprasa.pl 5322f2ded0

Stan oblężenia



Jerzy Jachowicz

W chwili, w której piszę te słowa, pełna napięcia, wręcz dramatyczna sytuacja w Platformie Obywatelskiej nie jest ciągle rozwiązana. Trwa od trzech ostatnich dni mijającego tygodnia (w niedzielę miałem ostatni meldunek z pola oblężenia, gdzie tkwi zabarykadowany) i nic nie zapowiada, aby konflikt szybko się zakończył. Nie będę ukrywał dłużej istoty faktów. To dramat przewodniczącego Grzegorza Schetyny. Nie wolno jednak zapominać, że jego osobista tragedia rzutuje na wizerunek całej partii. Jak w większości tragedii jej początkiem stał się z pozoru niewinny i niespójny splot okoliczności. W tym epizod ze stłuczoną filiżanką z kawą plus wcześniejsze jedno nieostrożne słowo. To wystarczyło, by wywołać lawinę zdarzeń o skutkach na ten moment nie do przewidzenia.

W środę w południe pod nieobecność sekretarki przewodniczącego, która wzięła wolny dzień na okresowe badania dziecka, Schetyna osobiście pofatygował się do kuchenki na czwarte piętro siedziby partii, aby zrobić sobie kawę. Drzwi były uchylone. Mimo woli usłyszał znany sobie głos Joanny Muchy: „Borys spokojnie. W piątek postawimy mu ultimatum i nie będzie miał wyjścia". Schetyna chwilę odczekał. Głośno zamruczał jakąś melodię pod nosem i wszedł do środka. Na jego widok Mucha upuściła filiżankę z kawą, ta roztrzaskała się. Budka zaczął z nią sprzątać.

W czwartek Schetyna zamówił do swego gabinetu catering. Konserwy, wędzone wędliny, skrzynki soków i wody. Poprosił też o dostarczenie elektrycznego czajnika i kawy. W piątek zjawił się w południe. Po obiedzie puścił do domu sekretarkę.

Kiedy zjawiła się piątka młodych posłów na umówione spotkanie, zastali zamknięte drzwi. W zamku tkwił klucz od wewnątrz. Zaczęli łomotać i wołać: „Panie przewodniczący, prosimy". „Grzesiek, nie wygłupiaj się". Po kilku godzinach usłyszeli: „Nie otworzę! Nie podam się do dymisji!".

W niedzielę nad ranem przez okna na piątym piętrze próbowali wedrzeć się dzielni strażacy. Wycofali się, gdy zobaczyli za szybą afisz ze zdjęciem Schetyny i odręczny napis: „Zniszczę was!".

CO MNIE PRZYGNĘBIA

Po innej stronie



Katarzyna Łaniewska

Księdza Jerzego Popiełuszkę noszę w sercu i w pamięci. Przywołałam nasze pierwsze spotkanie na Rynku Starego Miasta. Dżinsowy chłopak w czerwonej koszuli w kratę. Ksiądz, który zaprosił m.in. mnie do udziału w mszach za ojczyznę. Ksiądz Jerzy nigdy nie stracił w mszy świętej wierności Ewangelii. Mówił do coraz większych tłumów. Warto go było słuchać. Widząc, że jego kazania przyciągają, podróżował po całej Polsce. My, aktorzy, stawaliśmy z tremą przy ołtarzu. Mówiliśmy Słowackiego, Norwida i Konopnicką, ale i współczesnych, którzy zaczęli pisać. Zrodzili się ludzie pióra jak Teresa Boguszewska. My, aktorzy, też jeździliśmy po całej Polsce. Jaką inną grupą byliśmy my, którzy w stanie wojennym, w wojnie polsko-jaruzelskiej stanęliśmy po stronie Polski. Tych, którzy zostali po tamtej stronie, można było policzyć na palcach jednej ręki. Wyklaskiwaliśmy ich w teatrze. To była nasza wewnętrzna demonstracja. Nie występowaliśmy w środkach masowego przekazu, które kłamały. Teatry były za to pełne i grały przyzwoity repertuar, niewyśmiewający ani obrażający Boga ani Kościoła.

Co dziś się stało z moimi wspaniałymi kolegami? Co im kazało stanąć po dziwnej stronie? Większość z nich to przecież osoby wierzące. Mówią, że nie ma demokracji i o nią walczą, że jest gorzej niż w stanie wojennym. Może się zaczyna gorzej dziać, bo wtedy mordowano księży, a teraz napada się idących do kościoła czy odprawiających mszę. Profanuje się wartości w pochodach LGBT. Wtedy mieliśmy wybór i teraz też mamy wybór. Dlatego też moje wielkie zdziwienie w stosunku do moich kolegów. Z kim oni idą, z kim chcą stanąć w jednym szeregu? Jak można oklaskami aprobować słowa, że krzyż jest pałką do bicia? A wtedy stawali w kościele i się modlili. Nie chcę ich obrażać, ale dlaczego oni obrażają nas w sposób tak nielicujący z tym, czym ich nazwiska się wpisały w kulturę polską.

Jest mi przykro, że doczekałam czasów, że moi koledzy nie potrafią być na takim poziomie, na jakim byliśmy w najciemniejszych czasach stanu wojennego. Jest mi bardzo przykro i nie mogę tego zrozumieć.

eprasa.pl 5322f2ded0

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Karykatura wymiaru

Fiasko reformy sądów powoduje, że mamy kpinę zamiast prawa i sprawiedliwości

Miejskiego aktywistę, mającego zasługi w nagłośnieniu roszczeniowego przejmowania kamienic w Warszawie, skazano na dotkliwą finansową karę, rzędu 200 tys. zł, za zwrot „dzika reprywatyzacja" w kontekście jednego z mecenasów. O ironio losu! Tenże sam działacz palił świeczkę i popierał wolne sądy.



Ryszard Makowski

Wojewódzki Sąd Administracyjny był łaskaw uchylić decyzję komisji weryfikacyjnej dotyczącą zwrotu nieruchomości przy ul. Nabielaka 9. Gdy wzburzona „hasaniem" sądu córka Jolanty Brzeskiej, bestialsko zamordowanej podczas wydzierania ludziom mieszkań, opuszczała salę, sędzia ze składu śmiał się w najlepsze. Sędziowie muszą mieć poczucie humoru, jeśli wydają tak komiczne wyroki. Potrącenie staruszki na pasach – niewinny. Ukradzenie 50 zł przez innego sędziego – roztargniony. Zwrot kamienicy 128-latkowi – proszę bardzo. Nabijanie się z tefałenowskiej celebrytki – 500 tys. zł kary.

Rozgrzane sądy dobre są w czarnej komedii. W rzeczywistości wywołują poczucie życia w rozklekotanym państwie. Sądy przejęły też funkcję cenzury. Dopadają dziennikarzy, oczywiście tych prawicowych.

Jeśli cztery lata nie wystarczyły dobrej zmianie do wyrwania społeczeństwa z uścisku kasty, to ile tych lat potrzeba? Kiedyś była teoria, że wymiar sprawiedliwości sam się oczyści. Jak widać, ilość ścieku wpływającego do środowiska sędziowskiego sprawia, że przyroda nie daje rady. Czas uruchomić prawdziwą oczyszczalnię, by zrewitalizować brzydko pachnące bajorko w togach.

eprasa.pl 5322f2ded0

***Zawistowski prezentuje:* Sejm i senat**



Wycinki z przeszłości

„Przyjaciel Młodzieży", pismo katolickich Stowarzyszeń Młodzieży Polskiej, notował w październiku 1927 r., czym żyła Polska i świat:

„W Polsce bawiła wycieczka Polaków z Ameryki w liczbie 900 osób. Byli oni przyjmowani uroczyście, a po zwiedzeniu większych miast wrócili do Ameryki.

We Wiedniu, stolicy Austrii, wybuchła w dniu 15 lipca rewolucja, która po dwóch dniach została zgnieciona. Żniwem było 100 osób zabitych i 1200 rannych, zniszczenie kilku gmachów, podpalenie ministerstwa skarbu. Rewolucję wywołali bolszewicy, przeto, kiedy się nie udała, odwołano posła sowieckiego, Bierzina, z Wiednia.

W Rumunii zmarł król rumuński, którego zwłoki zabalsamowano i przewieziono do Bukaresztu, gdzie złożono je w grobach królewskich. Następcą tronu jest 6-letni książę Michał, za którego rządy sprawować ma rada regencyjna.

Ziemię świętą nawiedziło straszliwe trzęsienie ziemi. Jerozolima, Betlejem uległy katastrofie. Grób Chrystusa został uszkodzony, otaczające go wieże zawaliły się, grzebiąc pod gruzami bezcenne pamiątki i relikwie. Liczbę zabitych i rannych na całą Palestyną szacuje się na 2 tys. ludzi.


PRZYJACIEL MŁODZIEŻY

POD SZTANDAREM KRZYŻA

Na Jasnej Górze, w Częstochowie chyliło swe czoła i składało korne modlitwy u stóp Królowej Korony Polskiej w ostatnim roku 5 milionów pątników. Świadczy to o kulcie, jaki żywi nasza ludność do cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej". ***(mk)***

Quasi una fantasia
(fragment)



Leszek Długosz

O jak z głębokich snu pokładów
Przychodzą jeszcze do nas
– Na ziemi i w zaświatach
Dawno rozproszeni...
– W czyjej tam oni teraz władzy?

Kto ich sprowadza
I pod osłoną nocy wiedzie orszak cieni
Rozpadlinami pamiętania
Krainą złud i fantasmagorii
– Jakim paliwem nasycona jest lampa
Tego przewodnika
Co mrok rozprasza i ścieżki ku nam odnajduje?
Śnie
– Czyje jest owo terytorium
Chwile przelotne i wieczności na nim
Wszystkie tam dzienne i wieczorne sprawy
– Z ciał naszych to poczęte i wysnute jest przędziwo
Czy to bogowie zakryci
Krucjaty ślą tu ku nam swoje ciemne
Z przestrogą
Choćby z przypomnieniem?
I gaszą znaki te i głosy
Dotykiem jawy
O świtaniu... (...)

Śnie
Jak na początku i na końcu
– Kalejdoskopie czarodziejski
W rękach posiwiałego dziecka...
– Szczelino mroczna pomiędzy światami (...)

– O jak z głębokich snu pokładów
Przychodzą jeszcze do nas Zmarli
Z rozpadlin dziejów
Z rumowisk burz, pożądań i tkliwości
– Jaka ich jeszcze tu przywodzi siła?
Tobołki każe zbierać o świtaniu
Przedzierać się aż gdzie rogatki
Naszych rojeń
Aby usłyszeć to, co i my od nich
I nie więcej:
Ach Drodzy nieobecni
Niedobici
Nieumarli jeszcze dla nas
– Nie dość pokochani
– Jeszcze nieodkochani...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 5322f2ded0



OD A DO ZYBERTOWICZ

W kółko to samo

Pisze książki, nagrywa audiobooki. Najbardziej może znany jest jako duchowny youtuber, gość, który nagrywa filmiki i puszcza je w necie

Nie powiedział niczego nowego. A przecież nikt chyba w wielkim tłumie tych, którzy przyszli, by go słuchać, nie żałował czasu spędzonego w trzy ciepłe październikowe wieczory w kościele Zbawiciela w Warszawie.

„Już godzinę przed rozpoczęciem mszy świętej wszystkie miejsca siedzące w ławkach są zajęte, a i stojących powoli zaczyna brakować. Piętnaście minut przed rozpoczęciem liturgii w zakrystii pada decyzja: rezygnujemy z procesji, bo nie przejdziemy przez tłum".

Rekolekcje...

ŻYWE SŁOWO

Mówi o potrzebie bliskości drugiego, ale i o trudzie miłowania. Mówi o małżeństwie jako relacji kobiety i mężczyzny, w której przede wszystkim jedno drugiemu oddaje swoje słabości i mankamenty w poczuciu bezpieczeństwa i zaufania. Mówi i młodzi ludzie go słuchają.

We współczesne opowieści, ubarwiane anegdotami, zręcznie wplata odwieczne Prawdy Boże.

FENOMEN

Sam czasem określa siebie wędrownym kaznodzieją. Pisze książki, nagrywa audiobooki. Najbardziej może znany jest jako duchowny youtuber, gość, który nagrywa filmiki i puszcza je w necie. Jego wideodziennik internetowy „Langusta na palmie" ma ponad pół miliona subskrypcji. Ludzie lubią go słuchać, bo mówi ujmująco i barwnie. Ma ogromne poczucie humoru. Za to także jest kochany. Mówi prosto o sprawach nader zawiłych – takie ma się wrażenie.

Przez dwa wieczory byłam częścią niezwykłego tłumu w kościele na tzw. Zbawiksie. Nie będę tu snuć typowej refleksji socjologicznej, choć dla socjologa każde religijne spotkanie potrafi być frapujące. Nie byłam tam jako bezstronny obserwator.

PRZECHYTRZYŁ INTERNET?

Szustak. Ojciec Adam Szustak – jeden z najpopularniejszych rekolekcjonistów oraz polskich youtuberów.

Internet bezlitośnie kradnie nasze dzieci. I nasze życie. Zmienia naszą psychikę, wrażliwość, wykoślawia wspólne relacje. Jest przestrzenią, w której zamęt sam się sieje. Dla chrześcijaństwa na pewno stanowi wyzwanie – tak jak kraje, do których jedzie się na misje.

Przeczytałam, że o. Adam powiedział, że YouTube jest jedną z największych ambon świata i on postanowił to wykorzystać. Spotkałam też komentarz, że vlog Szustaka w tych naszych „pokręconych czasach" jest jak światełko w tunelu.

A jednak tak całkiem przed wątpliwościami się nie uchroniłam, także przed pytaniami, co przyciąga tych młodych ludzi? Mimo atmosfery skupienia i modlitwy kołatał się we mnie lekki dystans wobec księdza, który – było nie było – często najpierw postrzegany jest jako internetowy celebryta.

BOŻE PRAWDY

Ojciec Szustak głosi Ewangelię. Od lat. W Warszawie, w kościele Zbawiciela przyznał, że w zasadzie w kółko opowiada to samo. Nieustannie opowiada o miłości, o kochaniu, potrzebie kochania i potrzebie bycia kochanym.

I niech tak będzie. Niech powtarza. To trzeba w kółko powtarzać, bo dzisiaj świat rozmazuje podstawowe znaczenia ludzkiego życia, atakuje swe własne fundamenty, rozrywa więzi, pozbawia wiary w trwałość uczuć, każe preferować sukces zawodowy nad wzajemną duchowość, nad solidarność międzyludzką.

Motywem przewodnim rekolekcji warszawskich było...

...SERCE

W czasach tak hołubiących indywidualną wolność, tak pielęgnujących nacisk na jednostkowe wyjątkowości jakże trudno popatrzeć w swoje własne serce. W domyśle chodzi oczywiście o duszę. Relacja z samym sobą w świecie, który wszystko rozgrzesza i wszystkim kusi, paradoksalnie bywa nie do udźwignięcia. Ale sytuacja nie jest beznadziejna, bo – przypomina o. Szustak – mamy wzór serca Jezusa. Ostatniego dnia o. Adam nauczał, jak patrzeć w swoje serca wzajemnie.

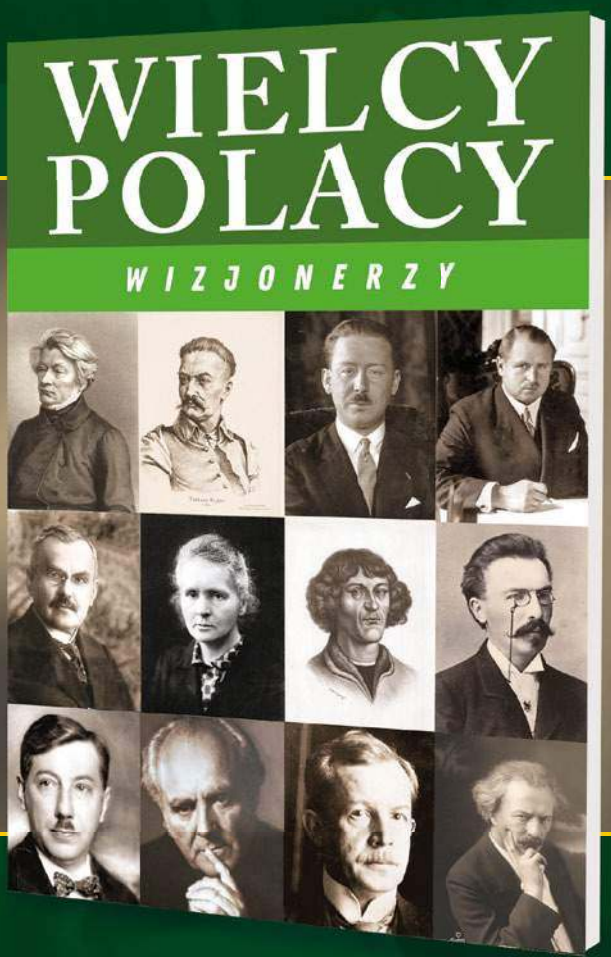
„Spodziewałem się tłumów, ale nie spodziewałem się takiej atmosfery, takiej modlitwy, takiego milczenia w kilkutysięcznym tłumie" – mówi ks. Piotr Rymuza, duszpasterz akademicki DA Sandał w Warszawie, gdzie o. Adam Szustak głosi właśnie rekolekcje. Tłumy młodzieży są tak wielkie, że chwilami zablokowały przejazd tramwajów" (stacja7.pl).

Andrzej Zybertowicz

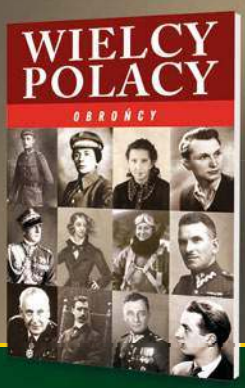
Autopromocja | 31/0919/F

eprasa.pl 5322f2ded0

Tygodnik SIECI z patriotyczną książką w sprzedaży od 28 października



50 fascynujących wizjonerów, dla których najważniejszy był rozwój państwa i narodu



Kolejna książka „Wielcy Polacy. Obrońcy" ukaże się 12 listopada

Tygodnik z książką w cenie 9,90 zł

Szukaj w wybranych punktach sprzedaży m.in.: ◆ Empik ◆ Relay ◆ InMedio ◆ 1-Minute ◆ Tabak ◆ Media Star ◆ Poczta Polska

Salony prasowe: ◆ Kolporter ◆ Ruch ◆ Garmond Press

Stacje benzynowe: ORLEN i LOTOS

Partner wydania

90 lat Bank Pekao

eprasa.pl 5322f2ded0

Do pensji jeszcze chwila?



ZAGRAJ

WYGRAJ

Ekstra Pensja

Ekstra Premia

5000 zł miesięcznie przez 20 lat

Graj w punktach

LOTTO

eprasa.pl 5322f2ded0